

Rewelacyjny thriller psychologiczny.  
Ta powieść mnie zachwyciła.

**LEE CHILD**



**GORZKA  
CZEKOLADA**

Poruszająca  
lektura.  
**POLECAM!**

**Anna  
Dereszowska**

# CÓRKA KRÓLIA MOCZARÓW

**KAREN DIONNE**

**Media Rodzina**

# **CÓRKA KRÓLA MOCZARÓW**

KAREN DIONNE

Tłumaczyli  
Małgorzata Hesko-Kołodzińska  
i Piotr Budkiewicz

**Media Rodzina**

Tytuł oryginału

THE MARSH KING'S DAUGHTER

Copyright © 2017 by K Dionne Enterprises LLC

Published by arrangement with Folio Literary Management, LLC

Copyright © 2017 for the Polish edition by Media Rodzina Sp. z o.o.

All rights reserved

Projekt okładki

Hannah Wood – LBBG

Zdjęcia na okładce

Stephen Mulcahey / Arcangel Images Limited

Sandra Cunningham / Trevillion Images

Schutterstock

Projekt logotypu Gorzka Czekolada

Dorota Wątkowska

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki — z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych — możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Niniejsza książka jest dziełem fikcyjnym. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.

Fragmety *Córki króla moczarów* H.Ch. Andersena w przekładzie Bogusławy Sochańskiej. Copyright © by Bogusława Sochańska

Fragmety wierszy Roberta Frosta w przekładzie Stanisława Barańczaka za zgodą właściciela praw.

Motto: Carl Gustav Jung SYMBOLE DER WANDLUNG © 1973 Walter Verlag AG, Olten; © 2007

Stiftung der Werke von C.G. Jung, Zürich

ISBN 978-83-8008-359-2

**Media Rodzina Sp. z o.o.**

ul. Pasięka 24, 61-657 Poznań

tel. 61 827 08 60

[mediarodzina@mediarodzina.pl](mailto:mediarodzina@mediarodzina.pl)

[www.mediarodzina.pl](http://www.mediarodzina.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer** firmy Elibri.



*Rogerowi, za wszystko*

*Owoce namiętności są przyczyną naszej zguby. Gdy następne pokolenie dojrzeje, poprzednie chyli się ku upadkowi. Potomkowie nieoczekiwanie zmieniają się w naszych najgroźniejszych wrogów. To właśnie oni przetrwają i wyrwą nam władzę ze zniedołężniałych rąk.*

Carl Gustav Jung

Bociania para spędzała każde lato na drewnianym domu wikinga przy moczarach. Pewnego wieczoru bocian bardzo długo nie wracał do domu, a kiedy wrócił, był zdyszany i zaaferowany.

— Muszę ci powiedzieć o czymś strasznym! — oświadczył bocianie mamie. — Tu, w środku bagna, wiesz, jest jakby jezioro. Możesz kawałek dojrzeć, jeśli się uniesiesz; tam, do trzciny i zielonego trzęsawiska sięgał stary, olchowy pień; na nim usiadły trzy łabędzie, trzepotały skrzydłami i rozglądały się dookoła, a potem jeden zrzucił z siebie upierzenie, i poznałem naszą księżniczkę z domu, z Egiptu. Siedziała tam bez jakiegokolwiek okrycia, miała tylko te swoje długie, czarne włosy; słyszałem, jak prosi te dwie inne księżniczki, żeby dobrze pilnowały jej łabędzich piór, kiedy ona zanurkuje pod wodę, by zerwać kwiat, który, jak sądziła, widać.

Przytaknęły i uniosły się w górę z tą luźną sukienką z piór; ciekawe, co też chcą z nią zrobić, pomyślałem, a ona najwyraźniej zapytała je o to samo, bo dostała odpowiedź, pokazały jej! Wzleciały do góry z jej ubraniem z piór; „Nurkuj sobie! — zawołały. — Już nigdy nie polecisz w łabędzich piórach, już nigdy nie zobaczysz Egiptu! Siedz sobie w tym bagnie!”. I podarły jej ubranie na tysiące kawałków, że aż pióra fruwały dookoła, jakby sypał śnieg! I odleciały sobie te wstrętne księżniczki!

— To straszne! — zawołała bociania mama. — Nie mogę tego słuchać! Mów, co było potem.

— Księżniczka płakała i rozpaczała. Łzy spływały na olchowy pień, a on się poruszył, bo był to król moczarów we własnej osobie, ten, który mieszka w bagnie! Widziałem, jak pień się odwrócił i już nie był pniem; długie,

*ociekające błotem gałęzie sterczały w górę niby ramiona; to biedne dziecko przeraziło się i zeskoczyło na grząskie trzęsawisko, ale tam nawet ja nie mogę utrzymać się na powierzchni, a co dopiero ona; natychmiast ją pochłonęło, a pień olchy zaraz też się zanurzył, to on pociągnął ją w dół; na powierzchni pojawiły się tylko wielkie, czarne bąble powietrza, potem nie było już nic.*

H.CH. ANDERSEN  
*Córka króla moczarów*

## HELENA

Gdybym wyjawiała wam nazwisko matki, natychmiast byście je rozpoznali. Moja matka była sławna, choć wcale tego nie pragnęła. Nikt nie życzyłby sobie tego rodzaju sławy, jakiej zaznały Jaycee Dugard, Amanda Berry, Elizabeth Smart. Wspominam je, choć matka nie była żadną z nich.

Rozpoznałybyście jej nazwisko, gdybym je wam zdradziła, a potem zaczęłybyście się zastanawiać — zaledwie przez chwilę, bo czasy, kiedy ludzie interesowali się moją matką, dawno przeminęły — gdzie matka jest teraz. Czy po zaginięciu przypadkiem nie urodziła córki? Co się stało z tamą dziewczynką?

Mogłabym wam powiedzieć, że miałam dwanaście lat, a moja matka dwadzieścia osiem, kiedy uwolniono nas z rąk jej porywacza, i że spędziłam te lata na, jak to opisały gazety, zrujnowanej farmie otoczonej mokradłami w środkowej części Górnego Półwyspu w stanie Michigan. Umiejętność czytania zawdzięczam stosikowi czasopism „National Geographic” z lat pięćdziesiątych i poźółkłemu zbiorkowi wierszy Roberta Frosta. Nie chodziłam do szkoły, nigdy nie jeździłam na rowerze, nie wiedziałam, czym są prąd i bieżąca woda. Przez dwanaście lat rozmawiałam tylko z matką i ojcem i nawet nie zdawałam sobie sprawy z tego, że obie jesteśmy jego więźniarkami, dopóki nie znalazłyśmy się na wolności.

Mogłabym dodać, że matka zmarła dwa lata temu. Choć odnotowano ten fakt w mediach, zapewne nie zwróciliście na niego uwagi, bo gdy to się stało, na świecie działy się znacznie bardziej interesujące rzeczy. Mogę powiedzieć



wam to, czego nie dowiedzieliście się z gazet: że nigdy nie doszła do siebie po latach niewoli, że nie była ładną, elokwentną i zdeklarowaną rzeczniczką swojej sprawy. Mojej skromnej, trzymającej się na uboczu matce, która stała się wrakiem człowieka, nie zaproponowano napisania książki ani zdjęcia na okładce tygodnika „Time”. Unikała zainteresowania tak, jak liście mimozy dotyku.

Nie zdradzę wam jednak, jak się nazywała. To nie jest opowieść o niej, tylko o mnie.

# 1

— Czekaj tu — mówię do swojej trzylatki.

Wsuwam rękę przez otwarte okno pikapa, żeby wyszperać między dziecięcym fotelikiem a drzwiami pasażera plastikowy kubek niekapek z ciepławym sokiem pomarańczowym. Moja córka cisnęła go tam w przypiływie frustracji.

— Mamusia zaraz wróci — dodaję.

Jak piesek Pawłowa, Mari sięga po kubek. Jej oczy zachodzą łzami, wydyma dolną wargę. Rozumiem ją, jest zmęczona. Ja też.

— Eeh, eeh, eeh — stęka, kiedy odchodzę.

Wygina grzbiet i mocuje się z pasem, jakby to był kaftan bezpieczeństwa.

— Siedź spokojnie, zaraz wracam.

Mrużę oczy i grożę jej palcem. Musi zrozumieć, że to nie żarty. Potem przechodzę za samochód i macham do chłopaka ustawiającego towar na rampie przeładunkowej przy magazynie sklepu Markham. Chyba ma na imię Jason. Opuszczam tylną klapę bagażnika i sięgam po pierwsze dwa pudła.

— Dzień dobry, pani Pelletier! — Jason macha dwa razy bardziej entuzjastycznie niż ja.

Unoszę dłoń i jesteśmy kwita. Już go nie proszę, żeby mówił mi po imieniu.

Ze środka auta słyhać walenie — *łup, łup, łup*. To Mari tłucze kubkiem o występ pod oknem. Domyślam się, że już wszystko wypła. W odpowiedzi uderzam dłonią o podłogę platformy bagażowej — *bum, bum, bum* — a Mari podskakuje i się odwraca. Cienkie dziecięce włosy kołyszą się niczym włókna kukurydzy nad jej twarzą. Rzucam jej spojrzenie, które mówi: „Przestań, jeśli

nie chcesz wpakować się w kłopoty”, a potem dźwigam pudła i stawiam je sobie na ramieniu. Stephen i ja mamy brązowe włosy i oczy, podobnie jak nasza pięciolatka Iris, więc zdumiewało go to niezwykle złociste dziecko, które stworzyliśmy, dopóki nie usłyszał ode mnie, że moja matka była blondynką. Niczego więcej o niej nie wie.

Sklep spożywczy Markham to przedostatnie miejsce dostawy z czterech i główny odbiorca moich dżemów, nie licząc zamówień, które przyjmuję przez internet. Turystom robiącym zakupy w Markham podoba się, że moje wyroby są miejscowe. Podobno wielu klientów kupuje po kilka słoików, na pamiątkę i na prezent. Układam na nakrętkach kółka wycięte z tkaniny w kratkę i obwiązuję słoiki rzeźniczym sznurkiem, a potem oznaczam je kolorami, zależnie od zawartości: czerwony dla dżemu malinowego, fioletowy dla dżemu z czarnego bzu, niebieski dla borówkowego, zielony dla pałkowo-borówkowego, żółty dla mniszkowego, różowy dla dżemu z dzikich jabłek i owoców czeremchy wirginijskiej. Wiadomo, o co chodzi. Moim zdaniem wygląda to głupawo, ale ludziom się chyba podoba, a jeśli mam sobie poradzić na terenie tak słabym gospodarczo jak Górny Półwysep, muszę dawać klientom to, czego chcą. Żadna filozofia.

Mogłabym wykorzystać mnóstwo dzikich roślin, i to na rozmaite sposoby, ale na razie ograniczam się do dżemów. W każdym biznesie trzeba się na czymś skupić. Moje logo to rysunek pałki wodnej, umieszczam go na wszystkich etykietach. Jestem prawie pewna, że nikt poza mną, wyrabiając dżem, nie miesza mielonego korzenia pałki z borówkami. Niewiele jej dodaję, wyłącznie tyle, by móc użyć słowa *pałka* w nazwie. Kiedy dorastałam, młode pędy pałki były moim ulubionym warzywem. Nadal są. Każdej wiosny wrzucam wadery i wiklinowy koszyk na tył pikapa i ruszam na południe, w kierunku bagien. Stephen i dziewczynki za nic nie tkną pałek, ale Stephenowi nie przeszkadza, że je przyrządzam, pod warunkiem że nikogo

nimi nie częstuję. Wystarczy pogotować czubki przez kilka minut w solonej wodzie, żeby uzyskać wyjątkowo delikatny przysmak. Pałki mają nieco suchą i mączystą konsystencję, więc teraz jadam je z masłem, ale oczywiście w dzieciństwie nie znałam jego smaku.

Borówki zrywam na terenach po wyrębie, też na południe od naszego domu. Niektóre lata są bardziej urodzajne niż inne. Borówki przepadają za słońcem, więc dawniej Indianie wypalali podszycie, żeby zwiększyć zbiory. Przyznam, że też miałam taką pokusę. Nie tylko ja wychodzę na równiny podczas sezonu borówkowego, więc ludzie stosunkowo szybko pustoszą tereny położone najbliżej starych dróg dojazdowych dla drwali. Często schodzę z utartej ścieżki i nigdy się nie gubię. Kiedyś dotarłam na kompletne odludzie, gdzie wypatrzyli mnie i zatrzymali strażnicy w helikopterze departamentu zasobów naturalnych. Gdy ich przekonałam, że wiem, gdzie jestem i co robię, dali mi spokój.

— Straszny upał, co? — pyta Jason i zdejmuje pierwsze pudło z mojego ramienia.

W odpowiedzi tylko pomrukuje. Kiedyś nie miałabym pojęcia, jak zareagować na takie pytanie. Moja opinia na temat pogody niczego nie zmieni, więc dlaczego interesuje go, co myślę? Teraz wiem, że nie muszę odpowiadać, bo to przykład tego, co Stephen nazywa „pogawędką”, rozmową dla samej rozmowy, zapchajdziurą, podczas której z założenia nie przekazuje się istotnych informacji. Tak właśnie porozumiewają się prawie obcy sobie ludzie. Nadal nie rozumiem, w czym to jest lepsze od milczenia.

Jason się śmieje, jakbym opowiedziała dowcip dnia. Stephen twierdzi, że to stosowna reakcja, choć nie mówiłam nic zabawnego. Po opuszczeniu bagien naprawdę męczyłam się z nieznaną konwenansów. Podawaj rękę, gdy kogoś spotykasz. Nie dłoń w nosie. Stań w rzędzie. Czekaj na swoją kolej. Podnieś rękę, jeśli chcesz zadać pytanie w klasie, a potem czekaj, aż

nauczyciel pozwoli ci zabrać głos. Nie bekaj i nie puszczaj bąków przy ludziach. W gościnie przed skorzystaniem z łazienki zapytaj o pozwolenie. Pamiętaj o myciu rąk i spuszczeniu wody. Nie macie pojęcia, jak często czułam, że wszyscy poza mną wiedzą, jak się zachowywać. Kto ustala te zasady? Dlaczego muszę się do nich stosować? Jakie poniosę konsekwencje, jeśli tego nie zrobię?

Stawiam drugie pudło na rampie i wracam do pikapa po ostatnie. Trzy pudła po dwadzieścia cztery słoiki, czyli razem siedemdziesiąt dwa słoiki, które dostarczam co drugi tydzień w czerwcu, lipcu i sierpniu do magazynu. Mój zysk na każdym pudle to 59 dolarów i 88 centów, co oznacza, że przez lato tylko w Markham zarabiam ponad tysiąc dolarów. Nie najgorzej.

Wiem, co pomyśleliby ludzie, widząc, że podczas rozładunku zostawiam Mari samą w pikapie, i to jeszcze przy opuszczonych szybach. Nie zamierzam jednak ich zamykać. Parkuję pod sosną, od zatoki wieje lekki wiatr, ale przez cały dzień temperatura przekraczała trzydzieści stopni Celsjusza, a jestem świadoma, jak szybko zamknięte auto zamienia się w piekarnik.

Zdaję sobie sprawę również z tego, że ktoś bez trudu mógłby sięgnąć przez otwarte okno i wyciągnąć Mari. Wiele lat temu podjęłam jednak decyzję, że nie wychowam swoich córek w strachu przed tym, co przydarzyło się mojej matce.

Jeszcze jedno słowo na ten temat i kończę. Gwarantuję, że jeżeli ktoś ma problem z tym, jak wychowuję córki, nigdy nie mieszkał na Górnym Półwyspie w stanie Michigan. To wszystko.

W pikapie nie widzę Mari, specjalistki od uciezek. Podchodzę do okna od strony pasażera i zaglądam do środka auta. Mała siedzi na podłodze, przeżuując znalezione pod fotelem opakowanie po cukierku, jakby to była guma. Otwieram drzwi, wyciągam celofan z jej ust i wpycham do kieszeni, po czym wycieram palce o dzinsy i zapinam pas córce. Do samochodu wpada

motyl i ląduje na czymś lepkiem na desce rozdzielczej. Mari klaszcze w dłonie i wybucha radosnym śmiechem. Uśmiecham się, nie mogę się powstrzymać. Jej śmiech jest cudowny, gardłowy, spontaniczny, i nigdy mi się nie znudzi. Kojarzy się z filmikami z YouTube'a, na których maluchy śmieją się bez opamiętania z czegoś kompletnie błahego, jak skaczący pies albo człowiek drący kawałki papieru. Śmiech Mari jest właśnie taki. Mari to rozmigotana woda, złocisty promyk, kwakanie kaczek karolinek pod chmurami.

Odpędzam motyla i uruchamiam silnik. Autobus Iris podjeżdża pod nasz dom za piętnaście piąta. Zazwyczaj Stephen pilnuje dziewczynek, kiedy zajmuję się dostawami, ale dzisiaj wróci dopiero późnym wieczorem, bo pokazuje nowy zestaw zdjęć latarni morskiej właścicielowi galerii, który sprzedaje jego fotografie w Soo, czyli w Sault Sainte Marie — wymawia się to „Soo”, a nie „Sault”, jak mówią ludzie, którzy nie mają o tym pojęcia — drugim co do wielkości miście na Górnym Półwyspie, co zresztą nie stanowi wielkiego powodu do dumy. Siostrzane miasto po kanadyjskiej stronie jest znacznie większe. Miejscowi po obu stronach rzeki Saint Mary's nazywają swoje miasto „The Soo”. Ludzie ściągają z całego świata, żeby zobaczyć śluzy w Soo i przyjrzeć się, jak przepływają tędy gigantyczne masowce z rudą żelaza. To wielka atrakcja turystyczna.

Dostarczam ostatnie pudło z asortymentem dżemów do sklepu z pamiątkami Gitche Gumee Agate and History Museum, po czym jadę nad jezioro i parkuję. Na widok wody Mari macha rękami i krzyczy: „Ła-ła, ła-ła”. Wiem, że w tym wieku powinna już mówić całymi zdaniami. W zeszłym roku raz w miesiącu zabieraliśmy ją do psychologa rozwojowego w Marquette, ale jak dotąd „ła-ła” to szczyt osiągnięć Mari.

Następną godzinę spędzamy na plaży. Mari siedzi obok mnie na ciepłym żwirze, próbując uśmierzyć ból dziąsła spowodowany wyrzynającym się trzonowcem. Gryzie kawałek przyniesionego przez morze drewna, które

opłukałam w jeziorze. Powietrze jest parne i nieruchome, jezioro spokojne, fale chlupoczą cicho jak woda w wannie. Po jakimś czasie zdejmujemy sandały, brodzimy w wodzie i dla ochłody ochlapujemy się nawzajem. Jezioro Górne to największe i najgłębsze z Wielkich Jezior, więc woda w nim nigdy się nie rozgrzewa, ale po co komu ciepła woda w taki dzień jak dzisiaj?

Odchylam się i opieram na łokciach. Kamienie są ciepłe. Przez tę pogodę aż trudno uwierzyć, że kiedy Stephen i ja przywieźliśmy tu Iris i Mari parę tygodni temu, żeby oglądać deszcz Perseidów, potrzebowaliśmy śpiwora i kurtek. Stephen uznał, że przesadzam, gdy pakowałam je do jeepa cherokee, ale oczywiście nie miał pojęcia, jak zimno robi się nad jeziorem po zachodzie słońca. Wszyscy czworo wcisnęliśmy się do podwójnego śpiwora i leżeliśmy na plecach, patrząc w niebo. Iris naliczyła dwadzieścia trzy spadające gwiazdy i przy każdej czegoś sobie życzyła, a Mari przespała niemal cały pokaz. Za parę tygodni wybierzemy się tu obserwować zorzę.

Siadam i sprawdzam, która godzina. Nadal trudno mi znaleźć się w konkretnym miejscu o wyznaczonej porze. Kiedy dorasta się wśród natury, to ona dyktuje, co się robi i kiedy. Nie mieliśmy zegara, bo i po co? Dostroiliśmy się do otoczenia, jak ptaki, owady i zwierzęta, rządził nami ten sam dobowy rytm. Moje wspomnienia są związane z porami roku. Nie zawsze pamiętam, ile miałam lat, kiedy działa się dana rzecz, ale mam przed oczyma, jaka to była pora roku.

Teraz wiem, że dla większości ludzi rok kalendarzowy zaczyna się pierwszego stycznia. Na mokradłach nic nie odróżniało stycznia od grudnia ani od lutego czy marca. Nasz rok zaczynał się wiosną, pierwszego dnia, gdy zakwitły błotne kaczeńce. Kaczeńce to spore krzaczaste rośliny pokryte setkami jaskrawożółtych kwiatów. Wiosną kwitną też na przykład kosaciec różnobarwny czy trawy, ale błotne kaczeńce rosną tak bujnie, że nic się nie da porównać z ich imponującym żółtym dywanem. Mój ojciec co roku wkładał



wadery, wychodził na błota i wykopywał jeden krzaczek. Wkładał go do starego ocynkowanego cebra, do połowy wypełnionego wodą, i ustawiał na werandzie z tyłu domu, gdzie roślina promieniała jak słońce.

Kiedyś chciałam mieć na imię Marigold, tak brzmi angielska nazwa błotnego kaczeńca. Padło jednak na Helenę i teraz często muszę wyjaśniać, że wymawia się to „Helejna”. Podobnie jak w wielu innych kwestiach, to była decyzja ojca.

Niebo przybiera późnopołudniową barwę, co oznacza, że na nas pora. Sprawdzam, która godzina, i ku swojemu przerażeniu uświadamiam sobie, że mój wewnętrzny zegar nie dotrzymuje kroku zegarkowi. Chwytam Mari i nasze sandały, biegnę do samochodu. Mari piszczy, kiedy przypinam ją pasem. Rozumiem ją, też chciałabym zostać tu dłużej. W pośpiechu siadam za kierownicą i przekręcam kluczyk. Zegar na tablicy rozdzielczej wskazuje szesnastą trzydzieści siedem. Może uda mi się dojechać w ostatniej chwili.

Wyjeżdżam z parkingu i kieruję się na południe drogą M-77, najszybciej jak mogę sobie na to pozwolić. W okolicy nie ma zbyt wielu radiowozów, a policjanci na patrolach poza wlepianiem mandatów za przekroczenie prędkości nie mają dużo pracy. Dostrzegam ironię sytuacji. Śpieszę się, bo jestem spóźniona, a jeśli zatrzymają mnie za pośpiech, spóźnię się jeszcze bardziej.

Podczas jazdy Mari coraz bardziej się rozwściecza. Wierzga nogami, a piasek z jej stóp rozsypuje się po całym samochodzie. Kubek niekapek odbija się od przedniej szyby, z nosa mojej córki wypływają smarki. Panna Marigold Pelletier zdecydowanie nie jest szczęśliwa. Ja też nie jestem.

Nastawiam radio na publiczną rozgłośnię Northern Michigan University w Marquette w nadziei, że muzyka zainteresuje Mari albo ją uspi. Nie jestem wielbicielek klasycznych utworów, ale tylko tę stację dobrze słyhać.

Zamiast muzyki właśnie nadają wiadomości.

— ...więzień, porywacz dziecka... zbiegł... Marquette...

— Cicho! — krzyczę i podkręcam głośność.

— *Rezerwat przyrody w Seney... uzbrojony i niebezpieczny... nie zbliżać się...*

Początkowo nie udaje mi się usłyszeć niczego więcej, ale muszę wiedzieć. Rezerwat jest niespełna pięćdziesiąt kilometrów od naszego domu.

— Mari, dość!

Mari mruga i milknie. Wysłuchuję powtórki komunikatu.

— *Uwaga, powtarzam. Policja stanowa donosi, że więzień odbywający karę dożywotniego pozbawienia wolności bez prawa do przedterminowego zwolnienia, skazany za porwanie dziecka, gwałt i morderstwo, zbiegł dziś krótko po godzinie szesnastej podczas transportu z więzienia o zaostrzonym rygorze w Marquette w stanie Michigan. Uciekinier jest podejrzany o zabicie dwóch eskortujących go strażników. Prawdopodobnie przebywa obecnie na terenie rezerwatu przyrody w Seney na południe od drogi M-28. Zbieg jest uzbrojony i niebezpieczny. Pod żadnym pozorem, powtarzam, pod żadnym pozorem nie wolno się do niego zbliżać. Ktokolwiek zauważy coś podejrzanego, proszony jest o natychmiastowe powiadomienie organów ścigania. Więzień Jacob Holbrook jest winny porwania młodej dziewczyny i przetrzymywania jej w niewoli przez czternaście lat. Ta głośna sprawa odbiła się szerokim echem po całym kraju...*

Moje serce przestaje bić. Nic nie widzę, nie mogę oddychać. Nie słyszę niczego poza pulsowaniem krwi w uszach. Zwalniam i ostrożnie zjeżdżam na pobocze. Trzęsącą się ręką wyłączam radio.

Jacob Holbrook uciekł z więzienia. Król Moczarów. Mój ojciec.

A to właśnie ja wpakowałam go za kraty.

## 2

Żwir pryska spod kół, kiedy wracam na jezdnię. Wątpię, by ktokolwiek patrolował tę część drogi, biorąc pod uwagę to, co się dzieje pięćdziesiąt kilometrów stąd na południe. Nawet jeśli są tu jacyś policjanci, mandat za przekroczenie prędkości jest teraz najmniejszym z moich zmartwień. Muszę się dostać do domu, mieć oko na obie córki. Muszę wiedzieć, że są ze mną i że nic im nie grozi. Z komunikatu radiowego wynikało, że ojciec oddala się od mojego domu i chce się ukryć w rezerwacie przyrody. Tylko ja wiem, że to nieprawda. Jestem gotowa postawić każdą sumę, że po paru kilometrach ślad się urwie, być może już się to stało. Ojciec potrafi przemierzać mokradła niczym duch wędrowca. Pozostawia trop tylko wtedy, gdy chce, żeby ktoś za nim podążał. Jeśli postanowił przekonać pogoń, że zaszył się w rezerwacie, nikt nie będzie go szukał na mokradłach.

Kurczowo zaciskam dłonie na kierownicy. Wyobrażam sobie, jak ojciec czai się wśród drzew, kiedy Iris wysiada i idzie po podjeździe. Dodaję gazu. Oczyma wyobraźni widzę, jak ojciec wyskakuje i chwytą ją, kiedy tylko autobus się oddali. Tak samo wyskakiwał z krzaków, żeby mnie nastraszyć, gdy wracałam z wychodka. Moja obawa o bezpieczeństwo Iris nie wynika z logicznych przesłanek. Zgodnie z komunikatem ojciec uciekł o szesnastej, może o szesnastej piętnaście. Teraz jest za piętnaście piąta. Wiem, że nie pokonałby pieszo pięćdziesięciu kilometrów w nieco ponad pół godziny, ale mój strach nie staje się przez to mniej rzeczywisty.

Od piętnastu lat nie zamieniłam z ojcem ani słowa. Zapewne nie wie, że po osiemnastych urodzinach zmieniłam nazwisko, bo nie mogłam ścierpieć, że

ludzie kojarzą mnie tylko z okolicznościami, w jakich dorastałam. Raczej nie ma też pojęcia, że gdy jego rodzice zmarli osiem lat temu, pozostawili mi w spadku tę nieruchomość. Ani że większość odziedziczonego majątku przeznaczyłam na zburzenie budynku, w którym się wychował, i postawienie domu z prefabrykatów. Ani że mieszkam tu teraz z mężem i dwiema małymi córkami. Jego wnuczkami.

A może jednak wie. Po dzisiejszym dniu wszystko jest możliwe, bo dzisiaj mój ojciec uciekł z więzienia.

Spóźniłam się minutę, z całą pewnością nie więcej niż dwie. Tkwiąc za szkolnym autobusem, a Mari nieustannie wrzeszczy. Doprowadziła się do takiego stanu, że chyba nawet nie pamięta, co ją rozwścieczyło. Nie wolno mi ominąć autobusu i skręcić na nasz podjazd, bo kierowca ustawił znak stopu i włączył mrugające czerwone światła. I co z tego, że tylko mój samochód jest na drodze i że wysiadła moja córka. Tak jakbym mogła przypadkowo przejechać własne dziecko.

Iris wysiada z autobusu. Wydaje się przygnębiona, kiedy wlecze się w stronę domu, na pewno myśli, że znowu zapomniałam wrócić dla niej na czas.

— Patrz, Mari. — Wskazuję palcem. — Nasz dom. Sissy wróciła. Ciii. Jesteśmy prawie na miejscu.

Mari patrzy w tamtą stronę, a na widok siostry momentalnie się ucisza. Czka i uśmiecha się.

— Iris! — woła.

Nie mówi „Aj-aj” ani „Ajsis”, ani „Sissy”, ani nawet „Ajlis”, tylko „Ajris”, czysto i wyraźnie. I bądź tu mądry, człowieku.

Kierowca w końcu dochodzi do wniosku, że Iris jest dostatecznie daleko od drogi, i gasi światła ostrzegawcze. Drzwi zamykają się z sykiem, a gdy tylko autobus rusza, skręcam na nasz podjazd. Iris się prostuje i rozpromienia,

machając do nas. Znowu stąpa po pewnym gruncie, bo mama wróciła. Szkoda, że nie mogę powiedzieć tego samego o sobie.

Wyłączam silnik i obchodzę samochód, żeby zapiąć Mari sandałki. Gdy tylko dotyka stopami ziemi, od razu rzuca się biegiem przez podwórze.

— Mamusia! — Iris podbiega i obejmuje mnie za nogi. — Myślałam, że cię nie ma.

Jej słowa nie brzmią oskarżycielsko, to raczej stwierdzenie faktu. Nie po raz pierwszy zawiodłam córkę. Chciałabym obiecać, że ostatni.

— Wszystko dobrze. — Ściskam jej ramię i głaszczę ją po głowie.

Stephen powtarza mi na okrągło, że powinnam częściej przytulać nasze córki, ale kontakt fizyczny nie przychodzi mi z łatwością. Psychiatra wyznaczona przez sąd po tym, jak ja i matka odzyskałyśmy wolność, doszła do wniosku, że mam problemy z zaufaniem, i kazała mi wykonywać różne ćwiczenia. Musiałam na przykład zamknąć oczy, skrzyżować ręce na piersi i paść do tyłu, wierząc, że mnie złapie. Opierałam się, a ona powiedziała, że zachowuję się agresywnie. Wcale nie miałam problemów z zaufaniem, po prostu uznałam jej ćwiczenia za głupie.

Iris mnie puszcza i pędzi za siostrą do domu. Drzwi są otwarte, nigdy nie zamykamy ich na klucz. Południowcy, właściciele dużych letnich domów nad klifem, z widokiem na zatokę, ryglowali drzwi i zamykali okiennice, ale generalnie nikt tutaj nie zaprzęta sobie tym głowy. Wiadomo, na co się zdecyduje złodziej, jeśli ma do wyboru pustą, stojącą na uboczu, pełną drogiej elektroniki rezydencję oraz widoczny z drogi dom z prefabrykatów.

Teraz jednak zamykam drzwi na klucz i idę na podwórze z boku domu, żeby sprawdzić, czy pies ma jedzenie i wodę. Rambo biega wzdłuż linki, którą rozciągnęliśmy dla niego między dwiema sosnami Banksa, i merda ogonem na mój widok. Nie szczeka, bo tak go nauczyłam. Rambo to moręgowaty pies gończy plott hound, czarno-jasnobrązowy z kłapciastymi uszami i ogonem jak

bicz. Kiedyś zabierałam go ze sobą, gdy w towarzystwie paru innych myśliwych z psami szłam polować na niedźwiedzie, ale dwa lata temu musiałam przenieść go na emeryturę po tym, jak niedźwiedź zabłąkał się na nasze podwórko i Rambo postanowił zapolować w pojedynkę. Dwudziestokilogramowy pies nie jest odpowiednim przeciwnikiem dla wążącego ponad dwieście kilogramów niedźwiedzia, bez względu na to, co się psu wydaje. Większość ludzi nie zauważa tego na pierwszy rzut oka, ale Rambo ma tylko trzy łapy. Przy dwudziestopięcioprocentowym upośledzeniu fizycznym niespecjalnie się już nadaje na wyprawy. Kiedy ostatniej zimy tak mu się nudziło, że pogonił za jeleniem, musieliśmy go uwiązać na stałe. W tej okolicy pies znany z atakowania jeleni może zostać zastrzelony bez ostrzeżenia.

— Mamy jakieś ciasteczka? — woła Iris z kuchni.

Wyprostowana, ze splecionymi dłońmi czeka cierpliwie przy stole, podczas gdy jej siostra zbiera okruszki z podłogi. Nauczycielka bez wątpienia uwielbia Iris, ale przyjdzie moment, kiedy pozna Mari. Nie pierwszy raz się zastanawiam, jak to możliwe, że ci sami rodzice mogą dać życie tak odmiennym istotom. Mari jest ogniem, Iris wodą. Iris to wierny stronnik, ale nie przywódca. Jest spokojnym, nazbyt wrażliwym dzieckiem, które woli czytać niż biegać i uwielbia swoich wyimaginowanych przyjaciół tak, jak kiedyś ja uwielbiałam swoich. W dodatku za bardzo bierze sobie do serca nawet najdrobniejszą przyganę. Żałuję, że z mojego powodu na chwilę wpadła w panikę. Iris o Wielkim Sercu już wybaczyła i zapomniała, ale ja nie. Nigdy nie zapominam.

Idę do spizarki i zdejmuję torebkę ciastek z górnej półki. Nie wątpię, że mój mały wiking pewnego dnia postanowi się tam wdrapać i dokonać spustoszenia, ale Iris Posłusznej nawet przez myśl to nie przejdzie. Układam na talerzu cztery ciastka, nalewam do dwóch szklanek mleko i ruszam do

łazienki, gdzie odkręcam kran i ochlapuję twarz wodą. Na widok swojej miny w lustrze uświadamiam sobie, że muszę wziąć się w garść. Postanawiam wyznać wszystko Stephenowi, gdy tylko wróci do domu. Na razie jednak dziewczynki nie mogą wiedzieć, że dzieje się coś złego.

Kiedy kończą jeść i pić, odsyłam je do ich pokoju. Mari jest za mała, żeby zrozumieć znaczenie takich określeń jak „ucieczka z więzienia”, „obława” czy też „uzbrojony i niebezpieczny”, ale Iris może się zorientować w sytuacji.

CNN pokazuje długie ujęcie z lecącego nad drzewami helikoptera. Jesteśmy tak blisko rejonu poszukiwań, że gdybym wyszła na werandę, pewnie zobaczyłabym ten śmigłowiec. Na pasku przewija się ostrzeżenie policji stanowej. Nikt nie powinien wychodzić z domu. Oglądam zdjęcia zabitych strażników i pustej karetki więziennej, wysłuchuję wywiadów ze zrozpaczonymi rodzinami. Patrzą na niedawno wykonaną fotografię ojca. Więzienne życie mu nie służy. Spoglądam na zdjęcia matki z dzieciństwa i jako kobiety o zapadniętych policzkach, na zdjęcia naszej chaty, fotografię samej siebie w wieku dwunastu lat. Jeszcze nie mówią o Helenie Pelletier, ale na wszystko przyjdzie czas.

Słyszę tupanie Iris i Mari na korytarzu. Wyciszam dźwięk.

— Chcemy się pobawić przed domem — mówi Iris.

— My — powtarza Mari. — Przed.

Zastanawiam się. Nie ma racjonalnego powodu, żebym zabroniła dziewczynkom wyjść. Ich placyk zabaw jest otoczony siatką dwumetrowej wysokości i cały teren widzę z okna w kuchni. Stephen zlecił zainstalowanie ogrodzenia po wypadku z niedźwiedziem.

— Dziewczynki w środku, zwierzęta na zewnątrz — oznajmił z satysfakcją, kiedy robotnicy skończyli, i otrzepał ręce o tył spodni, jakby sam stawiał słupki.

Gdyby tylko zapewnienie dzieciom bezpieczeństwa było takie proste.



— Dobrze — zgadzam się. — Ale tylko na kilka minut.

Otwieram drzwi z tyłu domu i wypuszczam dziewczynki, a potem wyjmuję z szafki opakowanie makaronu z serem i główkę sałaty, a do tego ogórek z lodówki. Godzinę temu Stephen przysłał esemesa, że wróci później, więc zje coś w drodze do domu. Dlatego dziewczynki dostaną gotowe danie, a ja zrobię sobie sałatkę. Naprawdę nie lubię gotować. Ludzie mogą uważać to za dziwne, biorąc pod uwagę, jak zarabiam na życie, ale w pracy trzeba korzystać z tego, co się ma. Borówki i truskawki rosły na naszym wzniesieniu, więc nauczyłam się robić dzemy. I tyle. W niewielu zawodach wymagane są takie kwalifikacje jak łowienie ryb pod lodem czy obdzieranie bobra ze skóry. Powiedziałabym wręcz, że nienawidzę gotować, ale wciąż pobrzmiewa mi w uszach łagodne upomnienie ojca: „*Nienawiść* to mocne słowo, Heleno”.

Wrzucam makaron do garnka z gotującą się słoną wodą i podchodzę do okna, żeby sprawdzić, co z dziewczynkami. Robi mi się słabo na widok tyłu barbie, kucyponków i księżniczek Disneya walających się po podwórku. Jak Iris i Mari mogą wypracować w sobie takie zalety, jak cierpliwość i opanowanie, skoro Stephen daje im wszystko, czego zapragną? W dzieciństwie nie miałam nawet piłki, sama robiłam sobie zabawki. Rozdzieranie skrzypów na kawałki i łączenie ich na powrót jest równie kształcące jak te zabawki, w których małe dzieci muszą dopasować kształty do otworów. Po posiłku złożonym z młodych pędów pałki pozostawała nam sterta resztek, które zdaniem mojej matki wyglądały jak plastikowe druty do robótek, choć mnie przypominały miecze. Wbijałam je w piasek przed tylnym wejściem do naszego domu, żeby tworzyły palisadę wokół fortu, w którym moi wojownicy z szyszek stoczyli wiele imponujących bitew.

Zanim moje zdjęcie znikło ze stojaka na brukowce w supermarkecie, ludzie pytali mnie, jaka była najbardziej niewiarygodna/niesamowita/nieoczekiwana rzecz, którą odkryłam po znalezieniu się w cywilizowanym świecie. Tak jakby

ich świat był nieporównanie lepszy od mojego albo faktycznie cywilizowany. Mogłabym z powodzeniem dowieść, jak nieuprawnione było użycie tego słowa do opisanego świata, który odkryłam w wieku dwunastu lat: wojna, zanieczyszczenie, chciwość, przestępczość, głodujące dzieci, nienawiść rasowa, przemoc o podłożu etnicznym — a to tylko początek. Czy tym czymś był internet? (Nie rozumiem dlaczego). Bary szybkiej obsługi? (Nic nadzwyczajnego). Samoloty? (Na litość boską, moja wiedza o technice lat pięćdziesiątych XX wieku była solidnie ugruntowana, a poza tym, czy ludziom naprawdę się wydaje, że samoloty nigdy nie przelatywały nad naszą chatą? Myślę, że w naszym mniemaniu były to jakieś ogromne, srebrne ptaki?). Loty w kosmos? (Przyznam, że akurat ta sprawa wciąż nie daje mi spokoju. Świadomość, że dwunastu ludzi spacerowało po Księżycu, nadal jest dla mnie trudna do ogarnięcia, choć widziałam materiał filmowy).

Zawsze pragnęłam odwrócić role i sama zadawać pytania. Czy potraficie odróżnić trawę od sitowia albo turzycy? Czy wiecie, które dziko rosnące rośliny można bezpiecznie zjeść? Umiecie je przyrządzić? Zdołacie trafić jelenia w brązową łatkę za łopatką, żeby od razu padł trupem i żebyście nie musieli go tropić przez resztę dnia? Wiecie, jak zastawić wnyki na królika? Umielibyście obedrzeć go ze skóry i wypatroszyć po złowieniu? Potraficie przyrządzić mięso nad otwartym ogniem w taki sposób, żeby w środku było upieczone, a na zewnątrz apetycznie zwęglone i chrupiące? A skoro o tym mowa, czy wiecie, jak rozpalić ogień bez zapalek?

Jestem pojętną uczennicą i szybko zdałam sobie sprawę, że większość ludzi nie docenia moich umiejętności. Cóż, szczerze mówiąc, ich świat oferował niejedno fenomenalne cudo techniki. Instalacja wodno-kanalizacyjna w domu to naprawdę świetna sprawa. Nawet teraz, kiedy zmywam naczynia albo nalewam wodę do kąpieli dla dziewczynek, chętnie trzymam dłonie pod kranem. Uważam tylko, żeby nie robić tego przy Stephenie. Niewielu mężczyzn

zniosłoby moje samotne całonocne wyprawy w poszukiwaniu żywności na odludziu, polowania na niedźwiedzie i zjadanie pędów pałki. Nie chcę przeciągnąć struny.

Oto szczerą odpowiedź: najbardziej niezwykłym odkryciem, jakie poczyniłam, odkąd wraz z matką znalazłam się w cywilizowanym świecie, jest prąd. Trudno mi pojąć, jak przez tyle lat dawałyśmy sobie radę bez niego. Patrząc na ludzi, którzy niefrasobliwie ładują swoje tablety i komórki, opiekają chleb i robią popcorn w mikrofalówce, oglądają telewizję albo czytają e-booki do późnej nocy, i wciąż nie mogę przestać się dziwić. Nikt, kto dorastał z elektrycznością, nie zastanawia się, jak poradzić sobie bez niej, chyba że akurat przypadkiem zabraknie prądu z powodu burzy. Dopiero wtedy wszyscy rzucają się po latarki i świece.

Wyobraźcie sobie, że w ogóle nie macie prądu. Nie korzystacie z małego AGD ani z lodówki. Nie używacie pralki ani suszarki, ani narzędzi elektrycznych. Wstawaliśmy, gdy robiło się jasno, i szliśmy spać o zmierzchu. Mieliśmy szesnastogodzinne dni latem i ośmiogodzinne zimą. Dzięki prądowi moglibyśmy słuchać muzyki, chłodzić się wiatraczkami, ogrzewać najchłodniejsze kąty pokoiów. Pompowalibyśmy wodę z bagien. Z łatwością zrezygnowałabym z telewizji i komputera, mogłabym nawet żyć bez telefonu komórkowego. Jest jednak coś, czego okropnie by mi brakowało, gdybym teraz musiała sobie bez tego poradzić, a mianowicie elektryczności.

Z placyku zabaw dobiega mnie wrzask, wyciągam szyję. Nie zawsze udaje mi się zorientować na podstawie krzyku córek, czy niebezpieczeństwo jest banalne, czy autentyczne. Prawdziwe zagrożenie wiązałoby się z wiadrami krwi bryzgającymi z jednej dziewczynki lub z obu, ewentualnie z baribalem wężącym za siatką. Banał to sytuacja, w której Iris wymachuje rękami i wrzeszczy, jakby najadła się trucizny na szczury, a Mari klaszcze i się śmieje: „Osa! Osa!”. To jeszcze jedno słowo, które wymawia bez trudu.

Wiem, niełatwo uwierzyć, że kobieta wychowana w skrajnej dziczy ma córkę, która się boi owadów. Tak to jednak wygląda. Już zrezygnowałam z zabierania Iris w teren, bo ciągle tylko narzekała na brud i brzydkie zapachy. Jak dotąd lepiej sobie radzę z Mari. Rodzic nie powinien faworyzować żadnego z dzieci, ale czasem trudno coś na to poradzić.

Czuwam przy oknie, dopóki osa nie wycofa się roztropnie w spokojniejszą przestrzeń, a dziewczynki się nie uspokoją. Przychodzi mi do głowy, że ich dziadek obserwuje je zza linii drzew. Jedna mała ma jasne włosy, druga ciemne. Wiem, którą by wybrał.

Otwieram okno i wołam je do środka.

### 3

Po uprzątnięciu naczyń kąpię Mari i Iris, a potem kładę je do łóżek, nie zważając na protesty. Wszystkie wiemy, że jest zbyt wcześnie. Bez wątpienia dziewczynki będą chichotać i gadać godzinami, zanim zasną, ale wystarczy mi, że nie ma ich w salonie.

Wracam tam akurat na wiadomości o szóstej. Minęły dwie godziny od ucieczki ojca i nikt go jeszcze nie widział, co mnie wcale nie dziwi. Nadal nie sądzę, żeby znajdował się choćby w pobliżu rezerwatu. Teren, który utrudnia poszukiwania, jednocześnie nastęrcza przeszkód w ucieczce. Inna sprawa, że ojciec nie robi niczego bez przyczyny. Na pewno jest powód, dla którego uciekł. Muszę go tylko poznać.

Zanim kazałam zrównać z ziemią dom dziadków, chodziłam od jednego pokoju do drugiego, próbując zrozumieć ojca. Chciałam wiedzieć, jak dziecko wyrasta na kogoś, kto molestuje dzieci. W protokołach z procesu znalazłam kilka istotnych szczegółów. Mój dziadek Holbrook był pełnokrwistym Ojibwa, który dostał swoje nieindiańskie imię, kiedy w dzieciństwie wysłano go do szkoły z internatem dla Indian. Krewni mojej babki byli Finami. Żyli w północno-zachodniej części półwyspu i pracowali w kopalniach miedzi. Dziadkowie poznali się i pobraли przed czterdziestką, ojciec urodził się pięć lat później. Obrona odmalowała rodziców ojca jako perfekcjonistów, zbyt starych i nieelastycznych, by adaptować się do potrzeb hałaśliwego syna. Karali go za najdrobniejsze występki. W szopie znalazłam cedrowy kij do bicia z wytartym do gładkości uchwytem, więc wiedziałam, że to prawda. W skrytce pod luźną deską w szafie w jego sypialni natrafiłam na pudełko po

butach z parą kajdanek i gniazdkiem blond włosów, zapewne ze szczotki babki, w którym, niczym ptasie jajka, leżały szminka i kolczyk z perłą. W pudełku były także białe bawełniane majtki. Założyłam, że również należały do mojej babki. Mogę sobie tylko wyobrazić, co z tymi rzeczami zrobiłby prokurator.

Reszta protokołów niewiele wyjaśniała. Rodzice ojca wyrzucili go z domu, gdy został usunięty ze szkoły w dziesiątej klasie. Przez jakiś czas ciął drewno na papierówkę, a potem zaciągnął się do wojska, skąd go dyscyplinarnie zwolniono nieco ponad rok później, bo nie mógł się porozumieć z innymi żołnierzami i nie słuchał dowódców. Zdaniem obrony ojciec nie zawinił. Był bystrym młodym człowiekiem, który zachowywał się tak, a nie inaczej, gdyż szukał miłości i akceptacji, których nie dostał od rodziców. Nie jestem tego taka pewna. Ojciec może i dobrze sobie radził na odludziu, ale nie pamiętam, by kiedykolwiek usiadł i przeczytał choć jeden numer „National Geographic”. Czasem się zastanawiałam, czy w ogóle potrafi czytać. Nawet nie chciało mu się oglądać zdjęć.

Nic nie pasowało do znanego mi ojca, dopóki nie znalazłam jego sprzętu wędkarskiego w zawieszonym pod belkami w piwnicy jutowym worku. Ojciec opowiadał historie o tym, jak w dzieciństwie łowił ryby w rzece Fox. Znał wszystkie najlepsze miejsca połowów, kiedyś nawet był przewodnikiem ekipy telewizyjnego programu „Michigan za progiem”. Odkąd znalazłam ten sprzęt, wielokrotnie łowiłam ryby zarówno we wschodniej odnodze, jak i w głównym nurcie rzeki. Wędka ojca jest wygodna i umożliwia szybki połów. Ze spławikiem na żyłce o czterech, pięciu, a czasem, jeśli łowię na nimfę albo na streamer, sześciu ciężarkach, zwykle wracam do domu z pełnym koszykiem. Nie wiem, czy jestem tak dobra w łowieniu pstrągów jak ojciec, ale mam nadzieję, że tak.

W trakcie wiadomości rozmyślam o jego wędkarskich opowieściach.

Gdybym zamordowała dwóch ludzi, żeby wydostać się z więzienia, to wiedząc, że moja ucieczka spowoduje jeden z największych pościgów w historii Michigan, nie płatałabym się na ślepo po mokradłach. Wyruszyłabym do jednego z nielicznych miejsc na ziemi, gdzie byłam szczęśliwa.

Jest za piętnaście dziewiąta. Siedzę na naszej frontowej werandzie i w oczekiwaniu na Stephena zabijam komary. Nie mam pojęcia, jak zareaguje na wiadomość, że uciekinier z więzienia to mój ojciec, ale wiem, że dobrze nie będzie. Mój mąż, łagodny fotograf przyrody, rzadko wpada w gniew, co zresztą było jednym z najważniejszych powodów, dla których mi się spodobał, ale wszystko ma swoje granice.

Rambo ułożył się na werandzie obok mnie. Osiem lat temu, na długo przed Stephenem i dziewczynkami, pojechałam po szczeniaka do hodowców plottów z Północnej Karoliny. Rambo to zdecydowanie pies jednego właściciela, co wcale nie oznacza, że w razie konieczności nie stanąłby w obronie Stephena i dziewczynek. Plott houndy są nieustraszone do tego stopnia, że wielbiciele tej rasy nazywają je psimi wojownikami ninja, najtwardszymi psami na świecie. Gdyby jednak przyszło co do czego i cała nasza rodzina znalazłaby się w niebezpieczeństwie, Rambo broniłby przede wszystkim mnie. Ludzie, którzy lubią idealizować zwierzęta, nazwaliby to miłością, lojalnością lub oddaniem, ale to po prostu jego natura. Plotty hoduje się po to, by całymi dniami tropiły zwierzynę i walczyły z poświęceniem, a dopiero w ostateczności uciekały. Nic nie poradzą na to, kim są.

Rambo szczeka i strzyże uszami. Przechylałam głowę. Słyszę świerszcze, cykady, szum wiatru wśród sosen Banksa, szelest w opadłych igłach, zapewne to myszy albo ryjówki, „hula nam chór, hula nam chór” puszczyka kreskowanego dobiegające z odległej części łąki między naszym domem a domem sąsiadów, klekot i skrzek pary czapli, które gniazdują na mokradłach



za naszym budynkiem, i dopplerowski świst pędzącego drogą auta. Tymczasem dla nadwrażliwych zmysłów psa noc jest pełna dźwięków i zapachów. Rambo cicho skowyczy, drżą mu łapy, ale się nie rusza. Nie zrobi tego, dopóki mu nie każę. Wytresowałam go tak, że słucha zarówno poleceń głosowych, jak i sygnałów dawanych ręką. Kładę dłoń na jego łbie, a on opiera go na moim kolanie. Nie wszystko, co porusza się w ciemności, trzeba zbadać i dopaść.

Oczywiście mówię o swoim ojcu. Wiem, że to, co zrobił mojej matce, jest złe, a zabicie dwóch strażników, by uciec z więzienia — niewybaczalne. Jednak jakaś część mnie, nie większa niż pyłek na kwiatku wieńczącym łodyżkę wyrastającą z trawy na mokradłach, ta część, która na zawsze pozostanie idealizującą ojca małą dziewczynką z warkoczykami, cieszy się, że jest wolny. Spędził ostatnie trzynaście lat w więzieniu. Miał trzydzieści pięć lat, kiedy porwał moją matkę, pięćdziesiąt, kiedy opuściliśmy mokradła, pięćdziesiąt dwa, kiedy go złapano, dwa lata później został skazany. Tego listopada skończy sześćdziesiąt sześć. W Michigan nie ma kary śmierci, ale kiedy myślę, że mój ojciec miałby spędzić następne dziesięć, dwadzieścia, a może nawet trzydzieści lat w więzieniu, gdzie doczekałby wieku własnego ojca, to uważam, że chyba powinna być.

Gdy opuściliśmy mokradła, wszyscy się spodziewali, że znienawidzę ojca za to, co zrobił matce, i tak właśnie było. Nadal go nienawidzę, ale jednocześnie mi go żal. Chciał żony, a żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie wyszłaby za niego z własnej woli. Wystarczy spojrzeć na sytuację z jego punktu widzenia — co innego miał zrobić? Był chory psychicznie, pełen wad, tak głęboko ukryty pod maską dzikiego Indianina, że nie zdołałby się oprzeć pragnieniu porwania mojej matki, nawet gdyby próbował. Psychiatri — zarówno zgłoszeni przez obronę, jak i prokuratora — zgodzili się co do diagnozy: osobowość dysocjalna, chociaż obrona oczywiście powoływała się na okoliczności łagodzące, takie jak pourazowe uszkodzenie mózgu ojca,

w dzieciństwie notorycznie bitego po głowie.

Jako dziecko kochałam ojca. Znany mi Jacob Holbrook był inteligentny, zabawny, cierpliwy i miły. Zajmował się mną, karmił mnie i ubierał, uczył wszystkiego, czego potrzebowałam nie tylko żeby przeżyć na mokradłach, ale wręcz dobrze tam sobie radzić. Poza tym mówimy o wydarzeniach, dzięki którym pojawiłam się na świecie, więc trudno, żebym żałowała, prawda?

Kiedy ostatnio widziałam ojca, wychodził powłócząc nogami w kajdanach z sądu okręgowego w Marquette, żeby trafić pod klucz wraz z tysiącem innych mężczyzn. Nie uczestniczyłam w procesie — moje zeznania uważano za niewiarygodne ze względu na mój wiek i wychowanie, a do tego zbędne, gdyż moja matka była w stanie zapewnić prokuratorowi tyle dowodów, że wystarczyłoby ich na kilka dożywotnich odsiadek. Mimo to rodzice matki przywieźli mnie z Newberry w dniu ogłoszenia wyroku. Zapewne mieli nadzieję, że jeśli zobaczą, jak ojciec dostaje za swoje, bo skrzywdził ich córkę, znienawidzę go tak jak oni. Tego samego dnia poznałam dziadków ze strony ojca. Wyobraźcie sobie moje zdumienie, gdy odkryłam, że matka człowieka, którego zawsze uważałam za Ojibwę, jest bladą blondynką.

Od tamtego czasu przejeżdżałam obok więzienia w Marquette ze sto razy, gdyż mijamy je zawsze, kiedy jedziemy do lekarza Mari, do kina albo na zakupy z dziewczynkami. Więzienia nie widać z drogi, można zobaczyć tylko kręty podjazd między dwoma starymi, kamiennymi murami. Wygląda to jak droga dojazdowa do wiekowej posiadłości bogaczy, biegnąca wśród drzew aż do skalistej skarpy nad zatoką. Wzniesione z piaskowca budynki administracji znajdują się na stanowej liście zabytków, a ich historia sięga 1889 roku, kiedy to otwarto więzienie. Oddział o zastrzonym rygorze, w którym umieszczono ojca, składa się z sześciu bloków z jednoosobowymi celami pod nieustannym nadzorem, otoczonych prawie siedmiometrowej grubości kamiennym murem, który wieńczy wysoka na ponad trzy metry druciana siatka. Muru i ogrodzenia

strzegą uzbrojeni strażnicy w ośmiu wieżach, z których pięć wyposażono dodatkowo w kamery do obserwacji wnętrza bloków mieszkalnych. Tak przynajmniej twierdzi Wikipedia, sama nigdy tam nie byłam. Kiedyś obejrzałam więzienie przez Google Earth, pokazujący widok z kamery satelitarnej. Na dziedzińcu nie było więźniów.

Teraz ich liczba zmniejszyła się o jedną osobę. To oznacza, że za kilka minut będę musiała powiedzieć mężowi prawdę, całą prawdę i tylko prawdę o tym, kim jestem i w jakich okolicznościach przyszedłam na świat. Boże, dopomóż.

Jakby na sygnał, Rambo szczeka ostrzegawczo. Po paru sekundach światła reflektorów omiatają podwórze, a lampa na zewnątrz domu się zapala, kiedy SUV wtacza się na podjazd. To nie jest cherokee Stephena. Ten samochód ma lampy ostrzegawcze na dachu i oznakowania policji stanowej na drzwiach. Przez ułamek sekundy łudzę się, że zdołam odpowiedzieć na pytania policjantów i pozbyć się ich, zanim wróci mój mąż. W tym samym momencie podjeżdża cherokee. Światła wewnątrz obu aut zapalają się jednocześnie. Obserwuję, jak zdumienie Stephena zmienia się w przerażenie na widok mundurów.

Biegnie do mnie przez podwórze.

— Helena! Nic ci nie jest? Dziewczynki? Co się stało? Wszystko w porządku?

— Nic nam nie jest. — Daję sygnał Rambo, żeby został, a sama schodzę z werandy, by powitać męża i policjantów.

— Helena Pelletier? — pyta ten ważniejszy.

Jest młody, mniej więcej w moim wieku, a jego partner wydaje się jeszcze młodszy. Zastanawiam się, ile osób już przesłuchiwali. Ile istnień zrujnowały ich pytania. Kiwam głową i szukam dłoni Stephena.

— Chcielibyśmy zadać pani kilka pytań w związku z pani ojcem, Jacobem Holbrookiem.

Stephen gwałtownie odwraca głowę.

— Twoim... Helena, co się dzieje? Zbiegły więzień to twój ojciec?

Znowu kiwam głową. Mam nadzieję, że Stephen odbierze to jako przeprosiny i jednocześnie wyznanie.

*Tak, Jacob Holbrook to mój ojciec. Tak, okłamywałam cię od dnia, w którym się poznaliśmy. Tak, krew tego złego człowieka płynie w moich żyłach i w żyłach twoich córek. Przepraszam. Przepraszam, że musiałeś dowiedzieć się w taki sposób. Przepraszam, że nie powiedziałam ci wcześniej. Przepraszam. Przepraszam. Przepraszam.*

Jest ciemno, jego twarz kryje się w cieniu. Nie wiem, o czym myśli Stephen, gdy powoli przenosi spojrzenie ze mnie na policjantów, a potem znów na mnie i na nich.

— Proszę — mówi w końcu.

Nie do mnie, tylko do nich. Puszczą moją rękę i prowadzi policjantów przez werandę do naszego domu.

Tak właśnie mury mojego starannie zbudowanego drugiego życia walą się w gruzy.

## 4

Funkcjonariusze policji stanowej Michigan siedzący na obu krańcach sofy w naszym salonie wyglądają jak para granatowych podpórek na książki. Mają takie same mundury i włosy, są tego samego wzrostu. Położyli czapki na środkowym siedzisku i rozchylili kolana, bo ze względu na niepozorny wzrost Stephena sofa jest niska. Wydają się wyżsi niż na naszym podwórzu, groźniejsi, tak jakby władza związana z mundurem w jakiś sposób wpłynęła na ich rozmiary. A może to po prostu pokój wydaje się mniejszy, kiedy tu są, bo rzadko miewamy gości. Stephen zaproponował kawę, ale odmówili, co mnie ucieszyło. Nie chciałabym, żeby zostali zbyt długo.

Stephen przycupnął na fotelu obok sofy jak ptak gotowy do lotu. Porusza nerwowo prawą nogą, a jego mina wyraźnie świadczy o tym, że chciałby być gdzieś indziej. Siedzę na jedynym wolnym krześle na drugim końcu pokoju. Nie uchodzi mojej uwagi, że nie mogłabym się znajdować dalej od swojego męża. Widzę też, że odkąd zaprosił policjantów do domu, starannie omija mnie wzrokiem.

— Kiedy ostatnio widziała pani ojca? — pyta wyższy rangą funkcjonariusz, gdy siadamy.

— Nie rozmawiałam z nim od dnia, w którym opuściłam mokradła.

Policjant unosi brew. Mogę sobie wyobrazić, co myśli. Mieszkam siedemdziesiąt pięć kilometrów od więzienia, w którym przez trzynaście lat przebywał mój ojciec, i nawet go nie odwiedziłam?

— Czyli od trzynastu lat. — Wyciąga długopis i notatnik z kieszeni na piersi, zupełnie jakby chciał zapisać tę liczbę.

— Od piętnastu — poprawiam go.

Po tym, jak matka i ja opuściłyśmy mokradła, ojciec przez dwa lata krążył po odludziu na Górnym Półwyspie, zanim go złapano. Policjant wie o tym równie dobrze jak ja. Ustala punkt odniesienia, zadaje pytania, na które już zna odpowiedź, żeby ocenić, kiedy kłamię, a kiedy mówię prawdę. Nie mam żadnych powodów, by kłamać, ale on jeszcze o tym nie wie. Rozumiem, że musi mnie traktować jak podejrzaną, dopóki nie znajdzie potwierdzenia mojej niewinności. Więźniowie zazwyczaj nie uciekają z więzień o zaostrowym rygorze, jeśli nie mogą liczyć na czyjaś pomoc, czy to w środku, czy na zewnątrz. Pomoc kogoś takiego jak ja.

— No tak. Czyli nie rozmawiała pani z ojcem od piętnastu lat.

— Proszę sprawdzić księgę gości, jeśli pan nie wierzy — mówię, choć nie wątpię, że już to zrobili. — Rejestr połączeń telefonicznych. Cokolwiek. Mówię prawdę.

Nie chcę przez to powiedzieć, że nigdy nie myślałam o odwiedzeniu ojca. Owszem, myślałam, i to wielokrotnie. Gdy go ujęto, rozpaczliwie pragnęłam się z nim zobaczyć. Newberry to niewielkie miasto, a areszt, w którym trzymano ojca przed procesem, znajdował się zaledwie kilka przecznic od mojej szkoły. W dowolnym momencie mogłam tam iść po lekcjach albo pojechać na rowerze. Nikt nie odmówiłby mi kilku minut z ojcem, ale się bałam. Minęły dwa lata, ja miałam już czternaście. Zmieniłam się, być może on również. Przejmowałam się, że nie zechce spotkać się ze mną, że będzie zły, bo to przeze mnie go złapano.

Po tym, jak został skazany, nikt nie zechciałby pokonać ponad stu pięćdziesięciu kilometrów z Newberry do Marquette i tyle samo z powrotem, żebym mogła zobaczyć się z ojcem, nawet gdybym miała odwagę o to poprosić. Później, gdy zmieniłam nazwisko i dorobiłam się własnego samochodu, nadal nie mogłam odwiedzić go w więzieniu, bo musiałabym

pokazać jakiś dokument i wpisać nazwisko do rejestru gości, a nie chciałam, żeby moje nowe życie skrzyżowało się ze starym. Nie tęskniłam za ojcem bez przerwy. Myśl o spotkaniu pojawiała się w mojej głowie tylko raz na jakiś czas, zazwyczaj wtedy, gdy Stephen bawił się z dziewczynkami i coś w ich zachowaniu przypominało mi dawne dni spędzone na mokradłach.

Ostatnio rozważałam wizytę u niego dwa lata temu, po śmierci matki. To był dla mnie trudny okres. Nie mogłam mówić głośno o jej odejściu, nie ryzykując, że ktoś doda dwa do dwóch i domyśli się, kim jestem. Byłam objęta programem ochrony świadków własnego pomysłu. Jeśli moje nowe życie miało sprawnie funkcjonować, musiałam odciąć się całkowicie od starego. Tyle tylko, że byłam jedynym dzieckiem matki i nieobecność na jej pogrzebie wydawała mi się zdradą. To, że nie miałam jej już nigdy zobaczyć i z nią porozmawiać, również bolało. Nie chciałam, żeby to samo powtórzyło się z moim ojcem. Może udałoby mi się podać za więzienną grupie albo dziennikarkę, na wypadek gdyby ktoś dociekał, dlaczego nagle postanowiłam się z nim spotkać. Ojciec jednak musiałby zaakceptować mój plan, a nie mogłam przewidzieć, czy się zgodzi, czy też odmówi.

— Ma pani jakieś podejrzenia, dokąd mógł się udać? — pyta policjant.  
— I co planuje?

— Nie.

Kusi mnie, żeby powiedzieć: *Poza tym, że chce jak najbardziej oddalić się od ludzi, którzy go poszukują.* Nie zamierzam jednak nastawiać przeciwko sobie uzbrojonych funkcjonariuszy. Przez chwilę zastanawiam się, czy nie zapytać o postępy w poszukiwaniach, ale sam fakt, że proszą mnie o pomoc, mówi mi wszystko, co chciałabym wiedzieć.

— Uważają panowie, że spróbuje się skontaktować z Heleną? — odzywa się Stephen. — Czy moja rodzina jest w niebezpieczeństwie?

— Byłoby dobrze, gdyby mogli państwo wyjechać na kilka dni.



Stephen blednie.

— Wątpię, żeby się tu zjawił — mówię szybko. — Ojciec nienawidził swoich rodziców. Nie ma powodu wracać do miejsca, w którym dorastał. Po prostu chce uciec.

— Czekał. Chcesz powiedzieć, że twój ojciec tu mieszkał? W naszym domu?

— Nie, nie, nie — zaprzeczam. — Nie w tym domu. To ziemia jego rodziców, ale po tym, jak ją odziedziczyłam, kazałam zburzyć tamten dom.

— Ziemia jego rodziców... — Stephen kręci głową.

Policjanci patrzą na niego z litością, jakby nieustannie byli świadkami takich sytuacji. *Kobiety*, mają wypisane na twarzy. *Nie można im ufać*. Mnie też szkoda Stephena, jest kompletnie zaskoczony. Żałuję, że nie wyznałam mu tego sama, w odpowiednim czasie i na własny sposób, tylko zostałam zmuszona do zrobienia widowiska z jego niewiedzy i dezorientacji.

Stephen wpatruje się we mnie uważnie, gdy odpowiadam na następne pytania. Niewątpliwie czeka, aż zrzucę kolejną bombę. Gdzie się znajdowałam, gdy mój ojciec uciekł? Czy ktoś był wtedy ze mną? Czy kiedykolwiek wysłałam ojcu paczkę do więzienia? Nie dostał ode mnie nawet słoika dżemu ani urodzinowej kartki?

Podczas przesłuchania Stephen świdruje mnie wzrokiem, oskarża, osądza. Pocą mi się dłonie. Moje usta układają się do stosownych odpowiedzi na pytania funkcjonariuszy, ale myślę tylko o tym, jak ta sytuacja wpływa na Stephena, jak moje milczenie naraziło na niebezpieczeństwo i jego, i nasze córki. Wszystko, co poświęciłam dla utrzymania tajemnicy, teraz nie jest już nic warte.

W końcu słyhać kroki w korytarzu. Iris wystawia głowę zza rogu i szeroko otwiera oczy na widok policjantów w salonie.

— Tatusiu? — pyta niepewnie. — Dasz mi buzi na dobranoc?

— Oczywiście, słonko — mówi Stephen bez grama napięcia, które oboje odczuwamy. — Wracaj do łóżeczka. Zaraz przyjdę. — Odwraca się do policjantów. — To wszystko?

— Na razie. — Dowódca posyła mi wymowne spojrzenie, jakby uważał, że wiem więcej, niż utrzymuję, po czym demonstracyjnie wręcza mi wizytówkę. — Jeśli przyjdzie pani do głowy coś, cokolwiek, co pomoże nam znaleźć pani ojca, proszę zadzwonić.

— Chciałam ci powiedzieć — mówię, gdy tylko drzwi zamykają się za nimi.

Stephen długo mi się przygląda, po czym powoli kręci głową.

— To dlaczego nie powiedziałaś?

Bardzo trafne pytanie, szkoda, że nie znam odpowiedzi. Z pewnością nie zamierzałam go okłamywać. Kiedy poznaliśmy się siedem lat temu na festiwalu borówek w Paradise i Stephen zaprosił mnie na hamburgera po tym, jak wykupił wszystko, co pozostało mi do sprzedania, nie mogłam przecież powiedzieć: *Bardzo chętnie się z tobą umówię. Jestem Helena Eriksson, a tak przy okazji, czy pamiętasz faceta, który w latach 90. porwał dziewczynę z Newberry i przez czternaście lat więził ją na mokradłach? Tego, którego nazywano Królem Moczarów? No właśnie, to mój tata.* Miałam dwadzieścia jeden lat i już od trzech lat rozkoszowałam się anonimowością. Nikt nie szeptał za moimi plecami, nikt nie plotkował ani nie wytykał mnie palcami. Byliśmy tylko ja i mój pies, pilnowaliśmy swoich spraw, zajęci polowaniami, łowieniem ryb i wędrówkami w poszukiwaniu żywności. Nie zamierzałam tego zmieniać dla nieznanego bruneta o ciemnych oczach, który podejrzenie lubił dżem z pałki wodnej i borówek.

Mogłam jednak poruszyć ten temat przy innych okazjach. Niekoniecznie na pierwszej, drugiej czy trzeciej randce, ale już po tym, jak zaczęliśmy się poznawać i przed tym, jak stanęliśmy przy relingu na statku wycieczkowym „Pictured Rocks”, rozumiejąc bez słów, że odtąd jesteśmy parą.

Zdecydowanie zanim Stephen przykląkł na skalistej plaży Jeziora Górnego. Wtedy jednak miałam wiele do stracenia i już nie widziałam, co mogłabym zyskać.

Stephen znów kręci głową.

— Daję ci tyle wolności, ile sobie życzysz, i w ten sposób mi... Czy protestuję, kiedy idziesz polować na niedźwiedzie? Albo kiedy sama zostajesz na noc w lesie? Kiedy zniknęłaś na dwa tygodnie, gdy Mari była mała, bo potrzebowałaś czasu dla siebie? Czyja żona poluje na niedźwiedzie? Pracowalibyśmy nad tym, Heleno. Dlaczego nie mogłaś mi zaufać?

Musiałabym wyrzucić z siebie tysiąc słów, żeby chociaż zacząć go przeproszać, ale wypowiadam tylko dwa.

— Przykro mi.

Brzmia beznadziejnie nawet w moich uszach, ale to prawda. Naprawdę mi przykro. Przeproszałabym go przez resztę życia, gdyby to pomogło.

— Okłamałaś mnie, a teraz narażasz rodzinę na niebezpieczeństwo. — Stephen mija mnie i idzie do kuchni.

Boczne drzwi trzaskają, słyszę, jak przesuwają rzeczy w garażu. Po chwili wraca z walizkami w dłoniach.

— Spakuj to, czego potrzebujesz dla siebie i dziewczynek. Jedziemy do moich rodziców.

— Teraz? — pytam.

Rodzice Stephena mieszkają w Green Bay, cztery godziny drogi stąd, nie licząc wielu postojów na siusiu, nieuniknionych w podróży z dwójką małych dzieci. Jeśli wyjedziemy natychmiast, nie dotrzemy na miejsce przed trzecią w nocy.

— A niby co mamy robić? Nie możemy tu zostać. Na pewno nie teraz, gdy psychopatyczny morderca jest na wolności.

Nie mówi *psychopatyczny morderca, który, tak się złożyło, jest twoim*

ojcem, ale równie dobrze mógłby to powiedzieć.

— Nie przyjdzie tutaj — podkreślam.

Nie mówię tego, bo tak uważam, ale dlatego, że Stephen musi w to uwierzyć. Nie zniosę, jeśli będzie myślał, że celowo i świadomie zrobiłam coś, co zagroziłoby mojej rodzinie.

— A skąd to wiesz? Możesz zaręczyć, że twój ojciec nie zjawi się po ciebie albo dziewczynki?

Otwieram usta, a potem je zamykam. Oczywiście, że nie mogę tego zagwarantować. Wyobrażam sobie, że potrafię przewidzieć, co robi ojciec, a czego nie robi, ale prawda jest taka, że wcale tego nie wiem. Zamordował dwóch ludzi, żeby uciec z więzienia, a tego zupełnie się nie spodziewałam.

Stephen zaciska dłonie w pięści. Szykuję się na cios. Nigdy mnie nie uderzył, ale zawsze jest ten pierwszy raz. Mój ojciec nie wahał się bić matki za drobniejsze przewinienia. Stephen bierze głęboki oddech, widzę prężące się mięśnie na jego piersi. Wypuszcza powietrze i ponownie nabiera je w płuca. Znowu wypuszcza powietrze, powtarza to samo jeszcze raz. Podnosi różową walizkę z książniczkami, odwraca się na pięcie i tupiąc, idzie korytarzem. Słyszę trzaskanie otwieranych i zamykanych szuflad.

— Tatusiu? — mówi płacząco Iris. — Złóścisz się na mamusię?

Chwytam drugą walizkę i idę do naszej sypialni. Pakuję wszystko, czego Stephen będzie potrzebował, żeby zostać u rodziców tak długo, jak będzie to konieczne, zanoszę walizkę do salonu i stawiam przy drzwiach wejściowych. Pragnę mu powiedzieć, że rozumiem, jak się czuje. Że chciałabym, aby było inaczej. Że jestem wstrząśnięta, widząc, jak się ode mnie odsuwa. Nic jednak nie mówię, bo kiedy wraca z walizką dziewczynek i niesie bagaże do samochodu, zachowuje się tak, jakbyśmy byli sobie całkiem obcy.

Bez słowa zapinamy sweterki dziewczynek na ich piżamach. Stephen przerzuca Mari przez ramię i niesie ją do auta. Idę za nimi, trzymając Iris za

rękę.

— Bądź grzeczna — mówię do niej, sadzając ją w foteliku i zapinając pas.  
— Słuchaj ojca. Rób, co każe.

Iris mruga i pociera oczy, jakby próbowała nie płakać. Głaszczę ją po głowie i wsuwam obok niej ulubionego pluszaka, którego nazywa Fioletowym Misiem. Potem obchodzę auto i staję przy drzwiach kierowcy.

Na mój widok Stephen unosi brwi i opuszcza szybę.

— Nie idziesz po Rambo? — pyta.

— Nie jadę — mówię.

— Helena... Nie rób tego.

Wiem, co myśli. To nie tajemnica, że boję się jeździć do jego rodziców nawet w najlepszych okolicznościach, a co dopiero zjawić się z dziewczynkami w środku nocy, bo mój ojciec to zbiegły więzień. Nie chodzi tylko o wysiłek związany z udawaniem zainteresowania tym, co interesuje moich teściów, chociaż nie mamy ze sobą absolutnie nic wspólnego, lecz o ciągłe ryzyko naruszenia zasad i manier, wśród których muszę lawirować. Przebyłam długą drogę i nie jestem już tamtą nieprzystosowaną społecznie dwunastolatką, jednak w obecności rodziców Stephena czuję się tak, jakbym wciąż nią była.

— Nie o to chodzi. Muszę tu zostać. Policja potrzebuje mojej pomocy.

To tylko część prawdy. Stephen nigdy nie przyjąłby do wiadomości prawdziwego powodu, dla którego zostaję. Prawda jest taka, że gdzieś pomiędzy pierwszym pytaniem policjantów a zamknięciem przez nich drzwi uświadomiłam sobie, że jeśli ktokolwiek może złapać ojca i wsadzić go z powrotem do więzienia, to tylko ja. Jak nikt inny radzi sobie na odludziu, ale ja jestem w tym niemal równie dobra. Mieszkałam z nim przez dwanaście lat. Wytrenował mnie, nauczył wszystkiego, co wie. Wiem, jak myśli, co robi, dokąd pójdzie.

Gdyby Stephen uświadamiał sobie, co planuję, przypomniałby mi, że ojciec jest uzbrojony i niebezpieczny. Zabił dwóch strażników więziennych, a policjanci są przekonani, że nie zawaha się zabić ponownie. Jeśli jednak jest ktoś, komu nie grozi niebezpieczeństwo z jego strony, to właśnie ja.

Stephen mruży oczy. Nie potrafię stwierdzić, czy wie, że nie jestem całkiem szczerą, i czy to w ogóle ma dla niego znaczenie.

W końcu wzrusza ramionami.

— Zadzwoń — mówi ze znużeniem.

Szyba się podnosi.

Gdy Stephen zawraca i rusza z podjazdu, światło na podwórzu się zapala. Iris wyciąga szyję, żeby zerknąć przez tylną szybę. Unoszę rękę. Iris do mnie macha, ale Stephen nie.

Stoję na podwórzu, aż tylne światła jeepa znikną w oddali, po czym wracam do domu i przysiadam na schodkach werandy. Noc wydaje się pusta i zimna. Nagle dociera do mnie, że przez sześć lat małżeństwa nie spędziłam ani jednej samotnej nocy w domu. Czuję gulę w gardle, przełykam ślinę. Nie mam prawa litować się nad sobą, sama to na siebie ściągnęłam. Właśnie straciłam rodzinę, i to z własnej winy.

Wiem, jak to działa. Już to przerabiałam po tym, jak matka pogrążyła się w depresji tak głębokiej, że całymi dniami, a czasami tygodniami nie wychodziła z pokoju, więc dziadkowie wnieśli do sądu sprawę o przejęcie opieki nade mną. Jeśli Stephen nie wróci, jeśli uzna, że moje przemilczenie jest niewybaczalne i zażąda rozwodu, nigdy nie zobaczę córek. Wystarczy zestawić moje dysfunkcyjne dzieciństwo, specyficzne cechy i dziwactwa ze stuprocentowo normalnym wychowaniem Stephena oraz konwencjonalnymi wartościami jego rodziny reprezentującej klasę średnią, aby się przekonać, że nie mogę się równać z mężem. Tyle argumentów przemawia przeciwko mnie, że równie dobrze mogę zrezygnować z walki. Na całym świecie nie ma ani

jednego sędziego, który wydałby korzystny dla mnie wyrok. Nawet ja nie powierzyłabym sobie opieki nad dziećmi.

Rambo kładzie się obok mnie, opiera łeb na moich kolanach. Biorę go w ramiona i ukrywam twarz w jego sierści. Myślę o tych wszystkich latach i wszystkich okazjach, które mogłam wykorzystać, aby wyznać prawdę. Z perspektywy czasu dochodzę do wniosku, że chyba wmówiłam sobie, że jeśli nie wypowiem imienia ojca, będę mogła udawać, że on nie istnieje. Ale istnieje. Teraz, w głębi serca, uświadamiam sobie, że zawsze przeczuwałam nadejście takiego dnia jak dzisiejszy.

Rambo skowyczy i się odsuwa. Wypuszczam go w noc, wstaję i idę do domu, żeby się przygotować. Można to naprawić tylko w jeden sposób. Tylko w jeden sposób odzyskam rodzinę. Muszę złapać ojca. Tylko tak udowodnię Stephenowi, że nic nie jest dla mnie ważniejsze niż rodzina.

## CHATA

*Minęło dużo czasu. Z głębi bagna wyrósł zielony pęd, a gdy się wynurzył na powierzchnię wody, pojawił się liść, rósł coraz szerszy i szerszy, i tuż przy nim zjawił się pączek, a gdy pewnego ranka leciał nad nim bocian, pęk otworzył się w ciepłym słońcu; w środku leżało śliczne dzieciątko, dziewczynka, wyglądała, jakby była po kąpieli; do takiego stopnia przypominała księżniczkę z Egiptu, że bocian w pierwszej chwili pomyślał, że to ona się zmniejszyła, ale kiedy się zastanowił, uznał za bardziej prawdopodobne, że to córka księżniczki i króla moczarów; dlatego leżała w kwiecie lilii wodnej.*

*„Żona wikinga nie ma dzieci, a od dawna pragnęła maleństwa, mnie się przecież przypisuje przynoszenie dzieci, to teraz wreszcie to urzeczywistnię! Polecę z tym dzieckiem do żony wikinga; to dopiero będzie radość!”*

*I bocian zabrał dziewczynkę, i poleciał do drewnianego domu. Wybił dziobem dziurę w szybie z pęcherza, położył dziecko przy piersi żony wikinga.*

H.CH. ANDERSEN  
*Córka króla moczarów*

Dorastając, nie miałam pojęcia, że z moją rodziną jest coś nie tak. Dzieci zwykle tego nie wiedzą, każda sytuacja jest dla nich całkowicie normalna.



Dorośle córki zwyrodnialców zakochują się w agresywnych mężczyznach, bo do tego przywykły. Wszystko wydaje się znajome i naturalne, nawet jeśli nie podobają im się warunki, w jakich dorastały.

Ja jednak kochałam życie na mokradłach i byłam zdruzgotana, gdy się rozpadło. Rozpadło się przeze mnie, chociaż, rzecz jasna, znacznie później zrozumiałam odegraną przez siebie rolę. Gdybym wtedy wiedziała to, co wiem teraz, wszystko ułożyłoby się inaczej. Nie podziwiałabym ojca i wykazywałabym znacznie więcej zrozumienia dla matki. Sądzę jednak, że nadal uwielbiałabym polowania i wędkowanie.

Gazety nazwały mojego ojca Królem Moczarów, tak jak bajkowego potwora. Rozumiem, dlaczego ochrzczono go tym mianem, podobnie jak każdy, kto zna baśń Andersena, chciałabym jednak wyraźnie podkreślić, że ojciec nie był potworem. Mam świadomość, że wiele z tego, co mówił i robił, było złe, ale, koniec końców, starał się postępować najlepiej jak potrafił, podobnie jak każdy rodzic. Nie kierował się wobec mnie agresją, a przynajmniej nie seksualną, jak zakłada mnóstwo ludzi.

Rozumiem też, dlaczego gazety nazwały nasz dom farmą. Na zdjęciach rzeczywiście wygląda jak stara farma: dwa piętra, zniszczona oblicówka z drewna, podwójne okna tak obrosnięte brudem, że nie sposób przez nie wyrzeć ani zajrzeć do środka, dach kryty gontem. Budynki gospodarcze także składały się na tę iluzję — trzyścienna komórka z grubo ciosanego drewna, drewutnia, wychodek.

My nazywaliśmy tamten dom wiejską chałupą. Nie umiem powiedzieć, kto ją zbudował, kiedy i po co, ale głowę daję, że nie byli to rolnicy. Chata znajduje się na wąskim, gęsto zarośniętym klonami, bukami i olchami wzniesieniu, które wystaje z mokradła niczym otyła, leżąca na boku kobieta. Mały pagórek tworzy głowę, nieco większy wygląda jak ramiona, a trzeci przypomina masywne biodra i uda. Nasze wzniesienie było częścią niecki

rzeki Tahquamenon — 330 kilometrów kwadratowych mokradeł, które przesączają się do rzeki Tahquamenon, o czym jednak dowiedziałam się dużo później. Ojibwa nazywają tę rzekę *Adikamegong-ziibi*, czyli „rzeką, w której płyną łososie”, ale nam udało się tam złowić tylko muskie, sandacze amerykańskie, okonie i szczupaki.

Nasze wzniesienie znajdowało się wystarczająco daleko od głównego odgałęzienia Tahquamenon, by pozostać ukryte przed wzrokiem wędkarzy i wiosłarzy. Dzięki rosnącym wokoło czerwonym kłonom chata była niewidoczna także z powietrza. Wydawałoby się, że dym z komina powinien zdradzić naszą lokalizację, ale tak się nie stało. Jeśli ktokolwiek zauważył dym w czasie, kiedy tam żyliśmy, uznał zapewne, że jakiś wędkarz gotuje sobie obiad albo ktoś zawitał do domku myśliwskiego. Tak czy inaczej, mój ojciec jest wyjątkowo ostrożny. Na pewno czekał miesiącami po porwaniu matki, zanim zaryzykował rozpalenie ognia.

Matka opowiadała mi, że przez pierwszych piętnaście miesięcy niewoli ojciec trzymał ją przykutą do ciężkiego, żelaznego pierścienia, przymocowanego do słupa w kącie drewnitni. Nie jestem pewna, czy mówiła prawdę. Naturalnie widziałam kajdanki, sama ich użyłam, gdy zaszła taka potrzeba. Jednak dlaczego ojciec miałby zadawać sobie tyle trudu i przykuwać ją w drewnitni, skoro matka i tak nie miała dokąd pójść? Wokół rozciągały się połacie trawy, od czasu do czasu urozmaicone jedynie przez żeremie bobra, siedzibę piżmaka czy inny samotny wzgórek. Mokradła były zbyt gęste, żeby przedarło się przez nie kanoe, i zbyt zdradliwe, by po nich chodzić.

Podmokły teren zapewniał nam bezpieczeństwo wiosną, latem i jesienią. Zimą niedźwiedzie, wilki i kojoty co jakiś czas przemierzały lód. Pewnego wieczoru, gdy wciągałam buty, żeby przed snem iść do wychodka — wierzcie mi, nikt nie chce opuszczać łóżka, żeby zimą iść do wychodka w środku nocy — usłyszałam hałas na werandzie. Założyłam, że to szop pracz. Noc,

nietypowo ciepła, prawie niemroźna, była jedną z tych jasnych zimowych nocy podczas pełni, takich, które rozciągają cienie i oszukują zahibernowane zwierzęta, żeby myślały, że wiosna za pasem. Wyszłam na werandę i zobaczyłam ciemny kształt, niemal równie duży jak ja. Nadal przekonana, że to szop, krzyknęłam i klepnęłam go w zad. Szopy robią straszny bałagan, jeśli im się na to pozwoli, a zgadnijcie, kto musiałby sprzątać.

To jednak nie był szop, tylko baribal, i to niemłody. Odwrócił się, spojrzął na mnie i sapnął. Kiedy zamykam oczy, nadal czuję jego ciepły, rybny oddech na twarzy. Czuję też, jak poruszała się moja grzywka, kiedy niedźwiedź dyszał mi w twarz.

— Jacob! — wrzasnęłam.

Niedźwiedź gapił się na mnie, a ja na niego, aż przyszedł ojciec i go zastrzelił.

Jedliśmy niedźwiedzinę przez resztę zimy. Wiszący w szopie trup wyglądał jak człowiek obdarty ze skóry. Matka narzekała, że mięso jest tłuste i smakuje rybą, ale co w tym dziwnego? „Jesteś tym, co jesz”, powtarzał mój ojciec. Rozpostarliśmy skórę przed kominkiem w salonie i przybiliśmy ją gwoździami do podłogi, żeby pozostała płaska. W pokoju śmierdziało gnijącym mięsem, dopóki skóra nie wyschła od spodu, ale lubiłam siadać na sierści niedźwiedzia, ze stopami przy ogniu i miską potrawy z niedźwiedziny na kolanach.

Mój ojciec ma ciekawszą historię. Lata temu, na długo przed matką i mną, kiedy jeszcze był nastolatkiem, wędrował przez lasy na północ od domu swoich rodziców nad jeziorem Nawakwa w pobliżu Grand Marais, żeby sprawdzić sidła. Tamtego roku śnieg był wyjątkowo głęboki, a w nocy spadło dodatkowe piętnaście centymetrów, więc szlak i wszystkie znaczniki na drodze zniknęły. Zanim ojciec zdał sobie z tego sprawę, zszedł ze ścieżki i ni z tego, ni z owego śnieg zapadł mu się pod stopą. Ojciec wpadł do wielkiej dziury,

a razem z nim wsypały się tam patyki, śnieg i liście. Nic mu się jednak nie stało, gdyż wylądował na czymś ciepłym i miękkim. Gdy tylko zrozumiał, co to jest i co zaszło, szybko wdrapał się z powrotem na górę. Wcześniej zdążył tylko zobaczyć, że stoi na małym niedźwiadku, nie większym od swojej ręki. Niedźwiadek miał złamany kark.

Za każdym razem, gdy ojciec o tym opowiadał, żałowałam, że nie mnie to spotkało.

Urodziłam się dwa i pół roku po tym, jak ojciec uprowadził matkę, brakowało jej wtedy trzech tygodni do siedemnastych urodzin. Nie byłyśmy do siebie podobne ani z wyglądu, ani z usposobienia, ale mogę sobie wyobrazić, jak się czuła, będąc w ciąży ze mną.

*Będiesz miała dziecko*, z pewnością powiedział mój ojciec pewnego późnojesiennego dnia, gdy tupiąc, strząsnął błoto z butów na werandzie z tyłu domu i wszedł do przegrzanej kuchni. Musiał wyjaśnić matce, co się dzieje, bo była zbyt młoda i naiwna, żeby zrozumieć znaczenie zmian w swoim ciele. A może wiedziała, tylko zaprzeczała sama przed sobą. Wiele zależy od tego, jak konkretne były lekcje biologii w gimnazjum w Newberry i czy na nich uważała.

Matka zapewne odwróciła się wtedy od pieca. Nieustannie gotowała albo podgrzewała wodę, żeby coś ugotować lub uprać, albo też nosiła wodę do podgrzania na gotowanie i pranie.

W pierwszej wersji moich wyobrażeń na jej twarzy maluje się niedowierzanie, a dłonie wędrują do brzucha. *Dziecko?*, szepcze matka, ale się nie uśmiecha. Rzadko to robiła.

W drugiej wersji buntowniczo zadziera głowę. *Wiem*, cedzi.

Zdecydowanie wolę drugą wersję, ale stawiam na pierwszą. W ciągu tych wszystkich lat, kiedy żyliśmy razem jako rodzina, ani razu nie widziałam, żeby matka odszczeknęła się ojcu. Czasami żałuję, że tego nie robiła. Można sobie

wyobrazić, co czułam. Byłam niemowlakiem, maluchem, dorastającą dziewczynką, a macierzyństwo kojarzyło mi się jedynie z radosnymi gospodyniami domowymi w fartuszkach z reklam w „National Geographic” oraz z ponurą młodą kobietą, która wykonywała swoje obowiązki ze spuszczoną głową i zaczerwienionymi od skrytego cierpienia oczami. Matka nigdy się nie śmiała, rzadko coś do mnie mówiła, a jeszcze rzadziej przytulała mnie lub całowała.

Nie wątpię, że przeraziła ją perspektywa porodu w tamtej chacie. Mnie by przeraziła. Może matka liczyła na to, że gdy do ojca dotrze, jak fatalnie nadaje się do rodzenia dom na mokradłach, zawiezie ją do miasta i zostawi na schodach szpitala jak porzuconego noworodka.

Nie zrobił tego jednak. Dzinsy i T-shirt z Hello Kitty, które matka miała na sobie w dniu porwania, przestały pasować. Ojciec w końcu musiał zauważyć, że T-shirt nie zakrywa już jej brzucha i że matka nie może dopiąć spodni, więc pożyczył jej jedną ze swoich flanelowych koszul i parę szelek.

Wyobrażam sobie, jak matka chudła, podczas gdy jej brzuch puchł. W czasie pierwszych lat w chacie straciła sporo na wadze. Kiedy pierwszy raz zobaczyłam jej zdjęcie w gazecie, zaszokowało mnie, ile przedtem miała tłuszczu.

Nagle, kiedy matka była w piątym miesiącu ciąży i nie dało się już tego ukryć, zdarzyło się coś niesłychanego. Ojciec zabrał ją na zakupy. Wygląda na to, że przygotowując się do uprowadzenia matki i do wspólnego życia w chacie, zapomniał kupić ubrania dla przyszłej mnie.

Wciąż się uśmiecham na myśl o jego sytuacji. Dość pomyśleć, że ten zaradny człowiek z dziczy, który zdołał porwać młodą dziewczynę i trzymać ją w ukryciu przez ponad czternaście lat, nie dostrzegł nieuchronnych konsekwencji życia z żoną. Wyobrażam sobie, jak rozważa opcje, z głową przechyloną na bok, w zadumie głaszcząc brodę w charakterystyczny dla

siebie sposób. Koniec końców, niewiele mógł zrobić. Jak to on, wybrał najbardziej praktyczne rozwiązanie i rozpoczął przygotowania do wyprawy do Soo, jedyne miasto z supermarketem Kmart w promieniu dwustu czterdziestu kilometrów od naszej chaty.

Zabranie mojej matki na zakupy nie było tak niebezpieczne, jak może się wydawać. Inni porywacze postępowali podobnie. Jeśli tylko ofiara nie nawiązuje kontaktu wzrokowego z nieznajomymi ani się nie przedstawia, ryzyko jest niewielkie. Ludzie przestają się rozglądać, wspomnienia blakną.

Ojciec przystrzygł matkę na krótko, jak chłopca, i ufarbował jej włosy na czarno. Fakt, że miał czarną farbę w chacie, stał się później głównym argumentem oskarżenia, mającym dowiedzieć, że ojciec działał z premedytacją. Niby skąd mógł wiedzieć, że ufarbuje jej włosy albo że matka będzie blondynką? Tak czy inaczej, gdyby ktoś im się przyglądał, zobaczyłby ojca na zakupach z córką. A nawet gdyby zauważył, że moja matka była w ciąży, to co? Przeciętny obserwator nie domyśliłby się, że mężczyzna mocno trzymający dziewczynę za łokieć nie jest jej ojcem, lecz ojcem jej dziecka. Pytałam później matkę, dlaczego nie zdradziła nikomu swojej tożsamości ani nie poprosiła o pomoc, a ona odparła, że czuła się niewidzialna. Zastanówcie się: miała tylko szesnaście lat, do tego mój ojciec już od dwóch lat przekonywał ją, że nikt jej nie szuka i nikomu na niej nie zależy. Kiedy zatem szli alejkami wśród półek z artykułami dla dzieci i napełniali wózek, a nikt nie zwracał na nich uwagi, musiała pomyśleć, że to prawda.

Ojciec kupił po dwie sztuki tego, czego mogłam potrzebować, w każdym rozmiarze od noworodka do dorosłego. Jedno do prania, drugie do noszenia, jak powiedziała mi później matka. Wybrał chłopięce ubrania, bo sprawdzają się niezależnie od płci, a poza tym jaki pożytek byłby w chacie z sukienki? Dużo później, gdy policja opuściła już miejsce przestępstwa, a na naszym wzniesieniu zaroilo się od dziennikarzy, ktoś zrobił zdjęcie rządowi butów,

ustawionych od najmniejszych do największych pod ścianą mojej sypialni. To zdjęcie podobno stało się przebojem na Twitterze i Facebooku. Ludzie najwyraźniej traktowali je jako komentarz na temat złej natury mojego ojca i fotograficzny dowód tego, że zamierzał trzymać matkę i mnie w dożywotniej niewoli. Mnie te buty po prostu pokazywały, jak rosłam. Inni w taki sposób mierzą dzieci przy ścianie.

Ojciec dodatkowo kupił matce dwie koszule z długimi rękawami, dwa T-shirty, dwie pary szortów, dwie pary dżinsów, sześć par majtek i większy stanik, flanelową koszulę nocną, czapkę, szalik, rękawice, buty i zimową kurtkę. Porwał matkę dziesiątego sierpnia. Jedyne palto, jakie nosiła poprzedniej zimy, należało do niego. Matka mówiła mi, że nie pytał jej, jakie lubi kolory ani czy chce jednobarwny szalik czy może w paski. Po prostu wszystko sam dla niej wybrał. Wierzę w to. Ojciec lubił mieć kontrolę.

Nawet pomimo kmartowych cen ta wyprawa musiała kosztować fortunę. Nie mam pojęcia, skąd ojciec miał pieniądze. Być może sprzedał trochę bobrowych futer albo zastrzelił wilka. W czasach mojego dzieciństwa polowania na wilki były nielegalne na Górnym Półwyspie, ale handel skórami kwitł, zwłaszcza wśród Indian. Być może ukradł pieniądze albo posłużył się kartą kredytową. Nie wiedziałam o swoim ojcu bardzo wielu rzeczy.

Dużo myślałam o dniu swoich narodzin. Czytałam relacje o dziewczynach, które porwano i trzymano w niewoli. Pomogły mi nieco zrozumieć to, przez co musiała przejść matka.

Powinna być w szkole, zakochiwać się w chłopakach, spotykać z przyjaciółkami. Chodzić na próby zespołu albo na mecze i robić wszystko to, co robią dzieciaki w jej wieku. Zamiast tego miała urodzić dziecko i była zdana wyłącznie na pomoc człowieka, który odebrał ją rodzinie i zgwałcił więcej razy, niż zdołałaby policzyć.

Matka rodziła na starym łóżku z drewnianą ramą w sypialni moich

rodziców. Łóżko było przykryte najcieńszą pościelą, jaką ojciec zdołał znaleźć. Wiedział, że gdy się pojawię, będzie musiał wszystko wyrzucić. W najtrudniejszych dla matki chwilach ojciec starał się być bardzo troskliwy, co oznaczało, że co jakiś czas proponował jej coś do jedzenia albo przynosił szklanekę wody. Poza tym matka mogła liczyć tylko na siebie. Ze strony ojca nie było to okrucieństwo, choć potrafił być okrutny. Po prostu zanim nadszedł czas porodu, niewiele mógł zrobić.

W końcu pojawiła się moja główka. Byłam dużym dzieckiem. Matka rozwarła się na tyle, by mnie wypuścić, i było już po wszystkim. Tyle że niezupełnie. Minęła minuta, pięć, dziesięć i w końcu ojciec uświadomił sobie, że mają problem. Łożysko się nie oddzieliło. Nie wiem, skąd to wiedział, ale wiedział. Kazał jej trzymać się drążków w zagłówku i przygotować na ból. Matka mówiła mi, że nie wyobrażała sobie gorszego bólu niż ten, przez który właśnie przeszła, ale ojciec miał rację. Matka zemdlała.

Mówiła też, że ojciec ją uszkodził, gdy sięgnął do środka, by poluzować łożysko, i dlatego nie urodziła więcej dzieci. Nie wiem, czy to prawda. Nie mam rodzeństwa, więc być może tak. Wiem za to, że kiedy łożysko się nie oddzieli, trzeba działać szybko, jeśli chce się ocalić rodzącą, i możliwości są ograniczone, zwłaszcza przy braku lekarzy i szpitala.

W następnych dniach matka leżała nieprzytomna w gorączce spowodowanej infekcją. Ojciec podawał mi gałganek nasączony wodą z cukrem, żebym nie płakała, gdy akurat nie leżałam przy piersi matki. Czasem była przytomna, częściej nie. Gdy się budziła, ojciec zmuszał ją do picia naparu z kory wierzby, co w końcu zbiło gorączkę.

Teraz rozumiem, że powodem obojętności matki wobec mnie było niewykształcenie się więzi między nami. Była zbyt młoda i zbyt chora w dniach tuż po porodzie, zbyt przerażona i samotna. Przez ból i cierpienie za bardzo zamknęła się w sobie, żeby mnie dostrzec. Czasem, kiedy dziecko rodzi



się w podobnych okolicznościach, to właśnie dzięki niemu matka chce żyć dalej. W naszym wypadku tak się jednak nie stało. Bogu dzięki miałam ojca.

## 6

Biorę plecak z szafy w korytarzu i pakuję dodatkową amunicję, kilka batonów zbożowych oraz butelek wody, po czym wrzucam do bagażnika pikapa sprzęt wędkarski ojca, swój namiot i śpiwór. Takie wyposażenie zapewni mi wiarygodne alibi, jeśli ktoś się zainteresuje, dokąd się udaję lub co robię. Nie będę w pobliżu obszaru poszukiwań, ale przezorny zawsze ubezpieczony. Mnóstwo ludzi szuka mojego ojca.

Ładuję strzelbę i mocuję ją w aucie, nad oknem. W zasadzie nie powinno się jeździć z załadowaną bronią, ale wszyscy tak robią, a zresztą bez niej nie mogłabym dołączyć do polowania na ojca. Ostatnio najchętniej posługuję się rugerem american. Przez lata korzystałam z co najmniej sześciu rugerów, bo są zdumiewająco celne i znacznie tańsze niż strzelby konkurencji. Na niedźwiedzie noszę też magnum 44. Dorosły baribal to twarde zwierzę o grubych mięśniach i kościach. Niewielu myśliwych potrafi położyć go jednym strzałem. Ranne niedźwiedzie nie broczą tak, jak dajmy na to, jeleni. Ich krew rozpląwa się między warstwą tłuszczu i futrem, a jeśli kaliber broni jest za mały, tłuszcz może zacopować otwór po kuli, a futro wchłonąć farbę jak gąbka, więc niedźwiedź nie zostawi nawet krwawego śladu. Postrzelony baribal będzie biegł, aż osłabnie, nawet dwadzieścia czy trzydzieści kilometrów. To kolejny powód, dla którego zawsze zabieram psy na polowania na niedźwiedzie.

Nabijam magnum i wkładam do schowka. Serce mi wali, dłonie mam spocone. Denerwuję się przed każdym polowaniem, a teraz mówimy o moim ojcu, człowieku, którego w dzieciństwie bardzo kochałam i który zajmował się

mną przez dwanaście lat najlepiej jak umiał. Z którym nie rozmawiałam od piętnastu lat. Od którego uciekłam dawno temu, ale którego ucieczka właśnie zniszczyła moją rodzinę.

Jestem zbyt niespokojna, by zasnąć, więc nalewam sobie kieliszek wina, zanoszę do salonu i stawiam bez podkładki na stoliku, po czym rozsiadam się w narożniku sofy, opierając nogi o blat. Stephena szlag trafia, kiedy dziewczynki kładą nogi na meblach. Mój ojciec z kolei w ogóle nie dbałby o coś tak nieistotnego jak rysy na stole. Ludzie mówią, że kiedy nadchodzi czas wyboru męża, dziewczyna decyduje się na kogoś, kto przypomina jej ojca. Jeśli to zasada, ja stanowię wyjątek. Stephen nie pochodzi z Górnego Półwyspu, nie łowi ryb ani nie poluje. Nie zdołałby uciec z więzienia, tak samo jak nie umiałby pokierować samochodem wyścigowym ani przeprowadzić operacji mózgu. Wychodząc za niego, sądziłam, że mądrze wybrałam. Właściwie nadal tak uważam.

Wypijam zawartość kieliszka jednym długim haustem. Ostatnim razem schrzaniłam wszystko na tak wielką skalę, kiedy opuszczałam mokradła. Już dwa tygodnie po tym, jak odnaleziono mnie i matkę, wiedziałam, że to nowe życie, o którym marzyłam, będzie inne, niż sobie wyobrażałam. Obwiniam o to gazety i telewizję. Wątpię, żeby ktokolwiek, kto nie znajdował się w centrum wydarzeń, mógł pojąć ogrom medialnego szaleństwa, które niemal mnie pochłonęło. Świat był poruszony tym, co spotkało moją matkę, ale to ja przykuwałam największą uwagę. Byłam dzikim dzieckiem, które dorastało w prymitywnych warunkach i izolacji, potomkiem niewinnej dziewczyny i porywacza, córką Króla Moczarów. Nieznani ludzie przysyłali mi rzeczy, których nie chciałam: rowery, pluszaki, empetrójki i laptopy. Pewien anonimowy darczyńca zaproponował, że opłaci mi studia.

Dziadkowie szybko się zorientowali, że rodzinna tragedia przeobraziła się w żyłę złota i byli bardziej niż gotowi skorzystać ze sposobności. „Nie

rozmawiajcie z mediami”, pouczali moją matkę i mnie, mając na myśli hordy dziennikarzy zostawiających wiadomości na sekretarce dziadków i koczujących w furgonetkach po drugiej stronie ulicy. Przyjęłam do wiadomości, że jeśli będziemy milczeć, pewnego dnia sprzedamy naszą historię za mnóstwo pieniędzy. Nie bardzo wiedziałam, jak długo mamy milczeć ani jak się kupuje i sprzedaje historie, ani nawet dlaczego miałybyśmy żądać za nie dużo pieniędzy. Skoro jednak tego pragnęli dziadkowie, postanowiłam postąpić zgodnie z ich życzeniem. Wtedy bardzo się starałam wszystkich zadowolić.

Okazało się, że najwięcej zaoferowało czasopismo „People”. Do dzisiaj nie wiem, ile zapłacili. Z całą pewnością matka i ja nigdy nie zobaczyłyśmy tych pieniędzy. Pamiętam tylko, że tuż przed wyjściem na wielkie przyjęcie powitalne, wydane przez dziadków na cześć matki i mnie, dziadek posadził nas obie i powiedział, że dziennikarka z „People” przeprowadzi z nami wywiad, a fotograf zrobi zdjęcia, i że mamy powiedzieć jej wszystko, co będzie chciała wiedzieć.

Przyjęcie odbyło się w siedzibie władz powiatu Pentland. Wyobraziłam ją sobie jako coś w rodzaju wikińskiej twierdzy z wysokimi, sklepiionymi sufitami, grubymi ścianami z kamienia, wąskimi oknami i podłogą wyścieloną słomą. Oczami duszy widziałam kury, psy i kozy przechadzające się wśród ludzi, mleczną krowę przywiązaną do żelaznego pierścienia w kącie, drewniany stół dla wieśniaków ustawiony wzdłuż ścian dolnego pomieszczenia i prywatne pokoje na górze dla lordów i dam. Siedziba okazała się jednak dużym, białym budynkiem z drewna, z nazwą wypisaną na tablicy od frontu ustawionej tak, żeby nikt jej nie przeoczył. W środku, na parterze znajdowały się parkiet oraz niewielka scena, w piwnicy mieściły się jadalnia i kuchnia. Nie było to miejsce tak pełne przepychu, jak sobie wyobrażałam, ale zdecydowanie nigdy nie widziałam większego budynku.

Pojawiliśmy się ostatni. Było chłodno mimo połowy kwietnia, więc pod wypchaną gęsim puchem kurtką, którą ktoś mi przysłał, miałam na sobie czerwony sweter wykończony czymś, co wyglądało jak białe futerko, ale nim nie było, dzinsy oraz trapery wzmocnione od wewnątrz stalowymi noskami — te same, w których opuściłam mokradła. Dziadkowie chcieli, żebym włożyła żółtą kraciatą sukienkę matki i rajstopy, które zasłonią tatuaże na moich nogach. Zygzyki wokół łydek były pierwszymi tatuażami zrobionymi mi przez ojca. Poza nimi i dwoma rzędami kropek na policzkach wytatuował mi na prawym bicepsie małego jelenia, podobnego do tych, które widuje się na rysunkach w jaskiniach. W ten sposób upamiętnił pierwszą upolowaną przeze mnie zdobycz. Na środku pleców mam niedźwiedzia, na pamiątkę tego, którego w dzieciństwie spotkałam na werandzie. Moim duchowym zwierzęciem jest *mukwa*, niedźwiedź. Gdy Stephen i ja zaczęliśmy czuć się swobodnie w swoim towarzystwie, spytał mnie o tatuaże. Powiedziałam, że to pamiątka po plemiennej uroczystości inicjacji, którą przeszłam, gdy dorastałam jako córka misjonarzy baptystów na odległej wyspie południowego Pacyfiku. Zauważyłam, że im bardziej wydumane historie się opowiada, tym chętniej ludzie skłonni są w nie uwierzyć. Oświadczyłam również, że moi rodzice zostali brutalnie zamordowani na tej samej wyspie, gdy próbowali rozstrzygnąć spór pomiędzy walczącymi plemionami. Zrobiłam to na wypadek, gdyby kiedyś przyszło mu do głowy, że chętnie by ich poznał. Teraz, kiedy mój sekret się wydał, mogłabym powiedzieć prawdę o swoich tatuażach. Problem w tym, że przywykłam do opowiadania kłamstw.

Sukienka, na którą nalegali dziadkowie, przypominała mi kuchenne zasłonki w naszej chacie, tyle że była jaśniejsza i bez dziur oraz rozdarć. Podobał mi się luźny i lekki materiał, czułam się tak, jakbym nic na sobie nie miała. Chociaż stojąc przed wysokim lustrem w sypialni babci, wyglądałam jak dziewczynka, nadal jednak siadywałam z rozchylonymi kolanami jak chłopak,

więc babcia uznała, że lepiej będzie ubrać mnie w dzinsy. Matka włożyła niebieską sukienkę i dopasowaną do niej wstążkę do włosów, te same, które miała na sobie na plakatach „Widzieliście mnie?”, choć babcia kręciła nosem, że sukienka jest i za ciasna, i za krótka. Kiedy teraz o tym myślę, sama nie wiem, co było gorsze: że dziadkowie oczekiwali, że moja dwudziestoosmioletnia matka odegra rolę czternastoletniej córki, którą stracili, czy też to, że moja matka się na to godziła.

Gdy szliśmy po drewnianej pochylni, która wyglądała jak zwodzony most prowadzący do zamku, oczekiwanie sprawiło, że moje mięśnie były napięte jak struny. Czułam się tak, jakbym przymierzała się do zastrzelenia rzadkiego, dzikiego indyka, który podczas godów rozpościerał ogon dla samicy i którego płoszyło nawet drgnięcie. Poznałam już więcej osób, niż mogłabym sobie wyobrazić, ale tym razem czekało mnie spotkanie z członkami rodziny.

— Są tu! — krzyknął ktoś na nasz widok.

Muzyka się urwała. Na chwilę zapadła cisza, po czym pomieszczenie eksplodowało dźwiękiem — setka ludzi gwizdała, wiwatowała i klaskała. Matkę porwała rzeka jasnowłosych ciotek, wujków i kuzynów. Krewni opadli mnie niczym szarańcza. Mężczyźni ściskali mi dłoń, a kobiety przytulały mnie do swoich biustów, po czym odsuwały mnie na odległość ramienia i szczypały w policzki, jakby nie mogły uwierzyć, że tam jestem. Zza nich wychylały się dzieciaki, ostrożne jak lisy. Miałam zwyczaj przyglądać się ulicznym scenom w „National Geographic”, próbując sobie wyobrazić, jak to jest być otoczonym przez ludzi. Teraz wiedziałam. Hałaśliwie, tłoczno, duszno i śmierdząco. Zachwycała mnie każda sekunda.

Dziennikarka z „People” utorowała nam ścieżkę między ludźmi i po schodach w dół. Chyba sądziła, że boję się tłumu i hałasu. Nie wiedziała, że właśnie tego chciałam, że w tym celu opuściłam mokradła.

— Jesteś głodna? — zapytała.

Byłam. Babcia nie pozwoliła mi nic zjeść przed wyjściem, twierdząc, że na przyjęciu będzie mnóstwo potraw. Miała rację. Reporterka zaprowadziła mnie do długiego stołu przy kuchni, na którym stało więcej jedzenia, niż widziałam w całym swoim życiu. Więcej, niż ojciec, matka i ja moglibyśmy zjeść w ciągu roku, być może nawet w ciągu dwóch lat.

Podawała mi talerzyk cienki jak papier.

— Wiosłuj — powiedziała.

Nie widziałam wiosła. Co więcej, nie widziałam nic, na czym mogłabym wiosłować. Odkąd jednak opuściłam mokradła, nauczyłam się, że kiedy nie wiem, co powinnam zrobić, najlepiej jest naśladować innych. Dziennikarka ruszyła wzdłuż stołu, nakładając sobie jedzenie na talerz, więc zrobiłam to samo. Niektóre z dań były opatrzone podpisem. Odczytałam nazwy: *Bezmięsne lazanie*, *Makaron z serem*, *Serowe ziemniaki*, *Sałatka Ambrozja*, *Zapiekanka z zielonej fasolki*. Nie miałam pojęcia, co to znaczy i czy potrawy będą mi smakowały. Tak czy inaczej, nałożyłam po łyżce wszystkiego. Babcia powiedziała, że muszę zjeść po kilka kęsów każdego dania, inaczej kobiety, które przyniosły jedzenie, poczują się urażone. Nie byłam pewna, jak to wszystko zmieścić na jednym talerzu, i zastanawiałam się, czy wolno mi wziąć dwa. Potem zobaczyłam, jak jakaś kobieta wrzuca talerz z jedzeniem do wielkiego metalowego kubła i odchodzi, więc uznałam, że kiedy ja napełnię talerz, muszę zrobić to samo. Wydało mi się to dziwnym zwyczajem. Na mokradłach nigdy nie wyrzucaliśmy jedzenia.

Kiedy dotarłam do końca długiego stołu, zauważyłam inny, pełen placków, ciastek i ciast. Stał na nim tort z grubą warstwą brązowego lukru i mnóstwem tęczowej posypki. Dwanaście małych świeczek układało się w łuk nad słowami „Witaj w domu, Heleno”, wypisanymi złotym lukrem, co oznaczało, że tort jest dla mnie. Wyrzuciłam makaron z ziemniakami, ambrozją i zapiekanką do kubła, wzięłam pusty talerz i nałożyłam na niego cały tort.

Dziennikarka z „People” uśmiechała się, a fotoreporter robił mi zdjęcia, więc uznałam, że postąpiłam właściwie. Od opuszczenia bagien mnóstwo rzeczy robiłam nie tak jak trzeba. Do dziś pamiętam pierwszy kęs ciasta: było lekkie i puszyste, całkiem jakbym ugryzła chmurkę o czekoladowym smaku.

Gdy jadłam, dziennikarka zadawała mi pytania. Jak nauczyłam się czytać? Co najbardziej lubiłam w życiu na mokradłach? Czy robienie tatuazy bolało? Czy ojciec dotykał mnie w sposób, który mi się nie podobał? Teraz wiem, że w ostatnim pytaniu chodziło o to, czy ojciec dotykał mnie w seksualny sposób, czego absolutnie nie robił. Odpowiedziałam, że tak, bo miał zwyczaj tłuc mnie w głowę albo w tyłek, kiedy trzeba mnie było ukarać. Robił to również matce, no i oczywiście ani trochę mi się to nie podobało.

Gdy skończyłam jeść, dziennikarka i fotoreporter poszli ze mną na górę, do łazienki, żebym zmyła makijaż, który dziadkowie nałożyli mi dla ukrycia tatuazy. (Pamiętam, jak się zastanawiałam, dlaczego to pomieszczenie nazywa się łazienka, skoro nie jest małą łazienką? Nie wiedziałam też, czemu na drzwiach są napisy PANIE i PANOWIE, a nie ma drzwi dla dzieci. I w ogóle z jakiego powodu mężczyźni i kobiety potrzebowali osobnych łazienek?). Dziennikarka powiedziała, że ludzie chętnie zobaczą moje tatuaze, a ja się zgodziłam na zdjęcia.

Gdy skończyliśmy, za otwartymi drzwiami prowadzącymi na parking zauważyłam grupkę chłopców grających w piłkę. Wiedziałam, do czego służy, bo matka pokazała mi ją w „National Geographic”, ale nigdy wcześniej nie widziałam prawdziwej piłki. Byłam zafascynowana tym, jak się odbijała prosto w ręce chłopców, gdy uderzali nią o chodnik. Zachowywała się tak, jakby żyła, jakby w jej wnętrzu mieszkał duszek.

— Chcesz zagrać? — spytał jeden z chłopców.

Chciałam i na pewno złapałabym piłkę, gdybym się spodziewała, że rzuci nią we mnie. Nie przewidziałam tego, rzecz jasna, więc piłka rąbnęła mnie



w brzuch tak mocno, że jęknęłam, choć właściwie niespecjalnie mnie zabolęło, i poturlała się dalej. Chłopcy wybuchnęli śmiechem, i to niemiłym.

Strasznie rozdmuchano to, co się stało później. Zdjęłam sweter, bo dziadkowie ostrzegali mnie, że musi być „prany chemicznie”, co kosztuje mnóstwo pieniędzy, więc bałam się go pobrudzić. Nóż wyciągnęłam tylko po to, żeby nim rzucić zza pleców w drewniany słup, do którego przytwierdzona była obręcz kosza do koszykówki. Postanowiłam pokazać chłopcom, że posługuję się nożem równie sprawnie jak oni piłką. Nic na to nie poradzę, że jeden z nich próbował wyrwać mi nóż i przy okazji poharatał sobie dłoń. Zresztą co za idiota chwyta nóż za ostrze?

Reszta „incydentu”, jak już zawsze nazywali to zdarzenie dziadkowie, była rozmazaną plamą krzyczących chłopców i dorosłych. Babcia płakała, a ja, koniec końców, wylądowałam w kajdankach w policyjnym aucie, nie mając pojęcia, co poszło nie tak i dlaczego. Jak mi później powiedziano, chłopcy byli przekonani, że chcę ich skrzywdzić. Kompletny idiotyzm. Gdybym zamierzała poderżnąć komuś gardło, zrobiłabym to.

Co oczywiste, magazyn „People” opublikował najbardziej sensacyjne zdjęcia. Na okładce miałam obnażoną klatkę piersiową i tatuaże na policzkach, a słońce odbijało się od ostrza mojego noża. Wyglądałam jak wojowniczką Yanomami. Podobno było to jedno z najlepiej sprzedających się wydań czasopisma (zajęłam trzecie miejsce, po ataku na World Trade Center i hołdzie na cześć księżnej Diany), więc chyba dostali to, za co zapłacili.

Z perspektywy czasu widzę, że wszyscy wykazaliśmy się olbrzymią naiwnością. Dziadkowie myśleli, że bez żadnych konsekwencji skorzystają finansowo na tym, co przytrafiło się ich córce. Matka sądziła, że wróci do dawnego życia, jakby nigdy go nie opuściła, ja zaś wierzyłam, że się dopasuję. Dzieciaki, z którymi chodziłam do szkoły, podzieliły się potem na dwa obozy: na tych, którzy się mnie bali, i na tych, którzy mnie podziwiali i jednocześnie

się bali.

Wstaję i się przeciągam. Zanoszę pusty kieliszek do kuchni, płuczę go w zlewie, po czym idę do sypialni, nastawiam alarm w telefonie i w ubraniu kładę się na kołdrze. Chcę wyruszyć bladym świtem.

Nie po raz pierwszy będę tropiła ojca, ale zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby to było po raz ostatni.

Budzik odzywa się o piątej. Turłam się w jego stronę, chwytam telefon z szafki i sprawdzam wiadomości. Nie przyszło nic od Stephena.

Wsuwam nóż za pasek i idę do kuchni, żeby zaparzyć dzbanek kawy. Gdy dorastałam, jedynym gorącym napojem, jaki piliśmy, poza ohydnymi w smaku leczniczymi herbatkami ojca, była cykoria. Wykopywanie jej grubych palowych korzeni, mycie ich, suszenie i mielenie wymagało mnóstwa wysiłku, a w rezultacie powstawało coś, co jak teraz już wiem, było kiepską namiastką kawy. Zauważyłam, że w sklepach spożywczych sprzedaje się mieloną cykorię, nie mieści mi się jednak w głowie, dlaczego ktokolwiek chce ją kupować.

Na zewnątrz dopiero zaczyna świtać. Napełniam termos kawą i zdejmuję kluczyki do pikapa z haczyka przy drzwiach. Nie wiem, czy zostawić wiadomość dla Stephena. W innych okolicznościach bym to zrobiła. Stephen lubi wiedzieć, gdzie jestem i na jak długo zniknęłam. Godzę się na to, o ile rozumie, że moje plany mogą się zmienić i że raczej nie zdołam dać mu znać, jeśli tak się stanie, bo na znacznej części Górnego Półwyspu zasięg telefonii komórkowej jest w kratkę albo zerowy. Moim zdaniem to paradoks, że na obszarze, na którym naprawdę przydałaby się łączność, często brak sygnału. Koniec końców, postanawiam nie zostawiać listu. Będę w domu na długo przed powrotem Stephena.

O ile Stephen wróci.

Rambo węszy za oknem, kiedy wyjeżdżam z podjazdu. Jest piąta dwadzieścia trzy. Temperatura wynosi sześć stopni Celsjusza i spada, co po

wczorajszym babim lecie dowodzi jedynie tego, co mówią wszyscy: jeżeli nie podoba ci się pogoda w Michigan, poczekaj kilka minut. Z południowego zachodu wieje umiarkowany wiatr z prędkością dwudziestu czterech kilometrów na godzinę. Trzydziestoprocentowe prawdopodobieństwo, że jeszcze tego ranka popada, wzrasta do pięćdziesięciu procent dla godzin popołudniowych. Ta część prognozy mnie martwi. Nawet najlepszy tropiciel nie odczyta śladów, jeśli zmyje je deszcz.

Słucham radia, dopóki się nie upewnię, że obława na ojca nadal trwa, i wtedy je wyłączam. Klony przy drodze w połowie pożółkły, co jakiś czas klon czerwony płonie krwistą purpurą. Chmury na niebie przypominają ciemne sińce. Ruch na drodze jest niewielki, bo mamy wtorek, a ze względu na blokadę na M-77 w Seney samochody zwykle jadące szerokim strumieniem na północ w kierunku Grand Marais wloką się teraz niemiłosiernie.

Dochodzę do wniosku, że wczoraj ojciec wytyczył swój szlak dla zmylenia pogoni. Zatoczył szerokie koło i zawrócił do rzeki, a do tego szedł nocą, aby jak najbardziej oddalić się od rezerwatu. Wędrował wzdłuż rzeki Driggs na północ, bo to łatwiejsze niż marsz na przełaj, a kierując się na południe, zagłębiłby się w rezerwat. Poza tym liczył na to, że po pokonaniu przepustu rzeki pod drogą M-28 niezauważony przedostanie się na drugą stronę jezdnii. Wyobrażam go sobie, jak kroczy ostrożnie w mroku, lawirując między drzewami i brnąc przez potoki, byle tylko uniknąć starych dróg wyrębowych, po których podróżowałoby mu się łatwiej, jednak byłyby widoczny w światłach helikopterów.

Gdy tylko się przejaśniło, zaszył się na dzień w czyjejs pustej chacie. Sama nieraz włamywałam się do chat, gdy dochodziło do niespodziewanego załamania pogody. Jeśli tylko zostawia się informację o przyczynie włamania oraz kilka dolarów za zjedzoną żywność i dokonane szkody, nikomu to nie przeszkadza. Muszę teraz znaleźć tę chatę. Nawet jeżeli nie będzie padało, gdy

tylko się ściemni, ojciec wyruszy w drogę. Nie zdołam za nim podążyć, jeśli nie wytropię jego śladów, powinnam więc je znaleźć przed zmrokiem. W przeciwnym razie do rana oddali się na tyle, że już mi się to nie uda.

Sądzę, że mój ojciec kieruje się w stronę Kanady. Teoretycznie mógłby przez resztę życia krążyć po odludnych rejonach Górnego Półwyspu, nie zatrzymując się i nie rozpalając ognisk, poruszając się tylko nocą, nie dzwoniąc i nie wydając pieniędzy, za to polując, wędkując, jedząc i pijąc to, co znajdzie w chatkach, do których będzie się włamywał, jak Pustelnik z North Pond w stanie Maine przez prawie trzydzieści lat. Będzie mu jednak znacznie łatwiej, jeśli opuści kraj. Oczywiście nie może legalnie przekroczyć granicy, ale między Kanadą a północną Minnesotą rozciąga się słabo strzeżony obszar przygraniczny. Większość dróg i przejazdów kolejowych ma ukryte czujniki, które informują strażników, kiedy ktoś próbuje się przemknąć. Wystarczy jednak, że ojciec wybierze odległy, gęsto zalesiony teren i przejdzie tamtędy. Potem będzie mógł wędrować tak daleko na północ, jak mu się spodoba, osiedlić się w żyjącej na odludziu społeczności Indian, wziąć sobie następną żonę, jeśli zechce, i dokonać żywota w spokoju i zapomnieniu. Mój ojciec może bez trudu udawać kanadyjskiego Indianina, jeśli przyjdzie mu na to ochota.

Ponad siedem kilometrów na południe od naszego domu skręcam na zachód w piaszczystą, szeroką drogę, która kończy się przy obozowisku nad rzeką Fox. Cały półwysep jest pełen starych szlaków wyrębowych podobnych do tego. Niektóre mają szerokość dwupasmowej jezdni, większość jest wąska i zarośnięta. Jeśli zna się boczne drogi tak dobrze jak ja, można przejechać z jednego końca półwyspu na drugi i ani razu nie natrafić na jezdnię. Jeśli ojciec zmierza do rzeki Fox, tak jak podejrzewam, będzie musiał przeciąć trzy drogi. Biorąc pod uwagę porę jego ucieczki i to, jak daleko mógł zawędrować, zanim musiał się przyczaić, stawiam na środkową drogę. Jest tu

parę chat, które zamierzam sprawdzić. Poszukiwacze niewątpliwie również by to zrobili, gdyby ojciec ich nie zwiódł, kierując pościg do rezerwatu. Myślę, że w końcu i tak tutaj dotrą, choć może jednak nie. Matka zaginęła na prawie piętnaście lat.

Ironia tamtego porwania polega na tym, że wydarzyło się w miejscu, w którym nigdy nie dochodziło do porwań. Miasta w środkowej części Górnego Półwyspu z trudem zasługują na to miano. Seney, McMillan, Shingleton i Dollarville to niewiele więcej niż skrzyżowania na drodze. Poznaje się je po tablicy powitalnej, kościele, stacji benzynowej oraz barze albo dwóch. W Seney jest także restauracja z motelem i pralnią samoobsługową. Seney to początek „odcinka Seney”, jeśli jedzie się na zachód drogą M-28, albo jego koniec, jeżeli podróżuje się na wschód. Czterdzieści kilometrów prostej jak strzała, płaskiej jak naleśnik, ogłupiająco nudnej trasy między Seney a Shingleton, która przecina pozostałości Wielkich Mokradeł Manistique. Podróżni zatrzymują się w miasteczkach po obu stronach drogi, żeby napełnić bak, kupić chipsy oraz colę i zrobić sobie postój albo po raz ostatni skorzystać z toalety, zanim ruszą przed siebie, bo przez następne pół godziny nie zobaczą cywilizacji. Niektórzy mówią, że odcinek Seney tak naprawdę ciągnie się przez siedemdziesiąt pięć kilometrów, ale tylko tak im się wydaje.

Zanim porwano moją matkę, dzieci z okręgu Luce nie trzymano pod kluczem. Później pewnie też nie, bo trudno wykorzenić stare nawyki, a poza tym nikt nie wierzy, że coś złego mogłoby się przytrafić właśnie jemu, zwłaszcza jeśli już przydarzyło się innej osobie. „The Newberry News” donosiło o każdym wykroczeniu, nawet najdrobniejszym. I rzeczywiście były to drobiazgi: kradzież saszetki na płyty kompaktowe z przedniego fotela otwartego auta, zdemolowanie skrzynki na listy, kradzież roweru. Porwanie dziecka nikomu nawet się nie śniło.

Ironią pozostaje fakt, że w latach, gdy dziadkowie desperacko usiłowali się dowiedzieć, co spotkało ich córkę, ona przebywała zaledwie osiemdziesiąt kilometrów od ich domu. Górny Półwysep to spory obszar. Zajmuje dwadzieścia dziewięć procent powierzchni stanu Michigan, mieszka tam trzy procent ludności.

Archiwum mikrofilmów gazety pokazuje przebieg poszukiwań.

Dzień pierwszy: Zaginiona. Przypuszcza się, że dziewczynka gdzieś się zabłąkała i wkrótce się odnajdzie.

Dzień drugi: Nadal zaginiona. Stanowa policja prowadzi poszukiwania, sprowadzono psy tropiące.

Dzień trzeci: Poszukiwania na coraz większą skalę, zaangażowano między innymi helikopter straży przybrzeżnej z Saint Ignace, a także funkcjonariuszy departamentu zasobów naturalnych oraz małe samoloty.

I tak dalej.

Dopiero okrągły tydzień po zaginięciu mojej matki jej najlepsza przyjaciółka przyznała, że bawiły się w pustych budynkach przy torach, kiedy jakiś mężczyzna podszedł do nich i oznajmił, że szuka swojego psa. Wtedy też po raz pierwszy pojawiło się słowo *porwana*.

Tyle że oczywiście było już za późno.

Patrząc na zdjęcie matki w gazecie, rozumiem, co pociągało mojego ojca: blondynka, pyzata, z warkoczykami. Mimo wszystko musiało być sporo pulchnych, jasnowłosych czternastolatek, którymi mógł się zainteresować. Często się zastanawiałam, dlaczego wybrał właśnie ją. Czy chodził za nią przez wiele dni i tygodni, zanim ją uprowadził? Podkochiwał się w niej? Czy też porwanie matki było tylko fatalnym zbiegiem okoliczności? Stawiam na to ostatnie. Nie przypominam sobie, żeby ojciec okazał jej kiedykolwiek ciepłe uczucia. Czy karmienie nas i ubieranie było dowodem jego miłości? W chwilach słabości tak właśnie myślę.

Zanim nas odnaleziono, nikt nie wiedział, czy matka żyje. Artykuł publikowany w „The Newberry News” w każdą rocznicę porwania stawał się stopniowo coraz krótszy. W ostatnich czterech latach nagłówek i jeden jedyny akapit tekstu niczym się od siebie nie różniły: „Miejscowa dziewczyna nadal zaginiona”. Nikt nic nie wiedział o moim ojcu, jeśli nie liczyć opisu przedstawionego przez przyjaciółkę matki: nieduży, szczupły mężczyzna o „ciemnawej” skórze i długich czarnych włosach, ubrany w robocze buty, dżinsy i koszulę w czerwoną kratę. Biorąc pod uwagę, że wtedy ten obszar był zamieszkały przez podobną liczbę Indian, Finów i Szwedów, a co drugi mężczyzna powyżej szesnastego roku życia chodził w takich butach i flanelowej koszuli, opis w niczym nie pomógł. Poza tymi pięcioma centymetrami tekstu rozbitymi na dwie kolumny i dwoma pękniętymi sercami dziadków po mojej matce nie pozostało nawet wspomnienie.

I nagle pewnego dnia — czternaście lat, siedem miesięcy i dwadzieścia dwa dni po porwaniu — matka powróciła, zapoczątkowując największą obławę, jaką kiedykolwiek widzieli mieszkańcy Górnego Półwyspu. Największą aż do teraz.

\* \* \*

Jadę z prędkością, z jaką porusza się idący człowiek. Nie śpieszę się nie tylko dlatego, że to jedna z tych dróg, na których wystarczy chwila nieuwagi, by podjeżdżając zbyt blisko skraju, zakopać samochód po osie w piasku i być skazanym na pomoc drogową. Rzecz w tym, że jednocześnie szukam śladów stóp. W zasadzie nie da się wytropić pieszego z auta, a szansa na to, że ojciec, idąc tą drogą — *o ile szedł tą drogą* — zostawił wyraźne ślady, jest bardzo mała, ale jednak. Jeśli chodzi o mojego ojca, trzeba zachować wyjątkową czujność.

Wiele razy jeździłam tą trasą. Niespełna pół kilometra stąd jest zakręt



z utwardzonym poboczem, na którym można zaparkować. Gdybym pomaszerowała stamtąd kolejne pół kilometra na północny zachód, a potem zeszła ze stromego wzgórza, natrafiłabym na największe pole jeżyn, jakie kiedykolwiek widziałam. Jeżyny lubią wodę, a w wąwozie płynie strumień, więc owoce są wyjątkowo duże. Przy odrobinie szczęścia udaje mi się za jednym zamachem zebrać tyle, że wystarcza na całoroczną produkcję dżemu.

Poziomki to całkiem co innego. Ludzie czasami nie rozumieją, jak wiele różni dziko rosnące poziomki od dostępnych w kalifornijskich sklepach monstrualnych truskawek. Poziomki zwykle nie są większe od czubka palca dorosłego człowieka, ale ich smak z nawiązką rekompensuje lichego rozmiar. Co jakiś czas trafia mi się owoc tak duży jak paznokiec mojego kciuka (w takich sytuacjach poziomka wędruje prosto do moich ust, a nie do wiaderka na zbiory), ale większe sztuki się nie zdarzają. Naturalnie, trzeba zebrać całe mnóstwo poziomek, żeby zrobić przyzwoitą ilość dżemu, więc liczę sobie więcej za produkty z ich dodatkiem.

Tak czy inaczej, dzisiaj nie szukam owoców.

Czuję w kieszeni wibrowanie telefonu. Wyciągam aparat i odczytuję esemes od Stephena:

W domu za pół godziny. Dziewczynki u dziadków. Uszy do góry, przejdziemy przez to razem. Kocham, S.

Zatrzymuję się pośrodku drogi i gapię na ekran. Powrót Stephena to chyba ostatnie, czego się spodziewałam. Najwyraźniej zawrócił i ruszył do domu zaraz po tym, jak zostawił dziewczynki u swoich rodziców. Moje małżeństwo wciąż trwa. Stephen chce mi dać jeszcze jedną szansę. *Wraca do domu.*

W głowie mi się nie mieści, że nie chce ze mnie zrezygnować. Wie, kim jestem, i nic go to nie obchodzi. *Przejdziemy przez to razem. Kocham, S.* Myślę o tych wszystkich chwilach, kiedy mówiłam albo robiłam coś

dziwnego, a potem próbowałam ukryć ignorancję, zachowując się tak, jakby moja gafa była żartem. Teraz już wiem, że nie musiałam udawać. Sama to sobie zrobiłam. Stephen kocha mnie taką, jaka jestem.

*W domu za pół godziny.* Oczywiście mnie nie będzie, gdy się zjawi, ale to nic. Cieszę się, że nie zostawiłam mu liściku. Gdyby miał jakiegokolwiek pojęcie, gdzie jestem i co robię, wyszedłby z siebie. Niech myśli, że wyskoczyłam na śniadanie albo kupuję coś w sklepie, ewentualnie pojechałam na posterunek, żeby pomóc w obławie, i że zaraz wrócę. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, tak właśnie będzie.

Czytam wiadomość po raz ostatni i wkładam telefon do kieszeni. Wszyscy wiedzą, jak marny bywa zasięg na Górnym Półwyspie.

## CHATA

*Och, jak się ucieszyła żona wikinga, gdy się rano obudziła i znalazła przy swojej piersi to maleńkie, śliczne dziecko! Całowała je i głaskała, ale ono przeraźliwie krzyczało, wymachiwało nóżkami i rączkami, wcale nie wydawało się zadowolone; wreszcie zasnęło z tego płaczu, i gdy tak spało, wyglądało przepięknie.*

*Gdy obudziła się nad ranem, przeraziła się, bo dzieciątko znikło; skoczyła na równe nogi, zapaliła sosnowy wiór i zaczęła szukać dookoła i w łóżku. W nogach łóżka leżało nie maleńkie dziecko, tylko wielka, obrzydliwa żaba.*

*I w tej samej chwili pojawiło się słońce, jego promienie padły prosto na tę ogromną żabę w łóżku, i naraz szerokie usta potwora ściągnęły się i zrobiły małe i czerwone, całe ciało się wydłużyło i zmieniło w uroczą postać; na łóżku w miejsce obrzydliwej żaby leżało jej maleńkie dziecko.*

*— Co to jest? — zawołała. — Czy miałam zły sen? To przecież moje śliczne dzieciątko! — I całowała je, i tuliła do serca, a ono wyrывało się i gryzło jak dzikie kociątko.*

H.CH. ANDERSEN  
*Córka króla moczarów*

Ojciec lubił opowiadać o tym, jak znalazł naszą chatę. Polował z łukiem na północ od Newberry, kiedy jeleni, do którego strzelał, uskoczył w ostatniej

sekundzie i ojciec tylko go zranił. Poszedł za zwierzęciem na skraj mokradeł i patrzył, jak spanikowany jeleni wypływa na głęboką wodę i tonie. Gdy się odwrócił, żeby odejść, promienie słońca odbiły się od metalu na skraju dachu naszej chaty. Ojciec mawiał, że gdyby to była inna pora roku albo inna pora dnia, albo gdyby chmury popłynęły w inną stronę, nigdy by nie odkrył chaty. Jestem pewna, że to prawda.

Zaznaczył to miejsce i wrócił później w kanoe. Na widok chaty podobno zrozumiał, że trafił tam za sprawą Wielkiego Ducha, żeby mieć gdzie założyć rodzinę. Teraz wiem, co to oznacza — zajęliśmy chatę nielegalnie, ale wtedy nie miało to znaczenia. Z całą pewnością nikogo nie obchodziło, że tam zamieszkaliśmy. Na półwyspie jest mnóstwo takich opuszczonych domów. Ludzie wbijają sobie do głowy, że chcieliby mieć zakątek, w którym skryliby się przed całym światem, więc kupują skrawek ziemi przy drodze na głębokiej wsi, w otoczeniu terenów należących do państwa, i stawiają tam chatę. Przez jakiś czas to się sprawdza i cieszą się, że mogą wyjechać na łono natury, aż w pewnej chwili życie wchodzi im w paradę: dzieci, praca, starzejący się rodzice. Mija rok bez wyjazdu do chaty, potem jeszcze jeden i nim się obejrzą, płacenie podatków za własność, z której nie korzystają, przestaje im odpowiadać. Nikt nie kupi przasnej chałupy i kilkunastu hektarów mokradeł, chyba że jakiś inny biedny głupek, który chce uciec na łono natury, więc w większości wypadków właściciele zwracają grunt państwu w formie zapłaty za zaległe podatki.

Gdy policja oczyściła miejsce przestępstwa, a zainteresowanie mediów przygasło, państwo po cichu wykreśliło nasze podatki z ksiąg. Niektórzy uważali, że chatę należy zburzyć ze względu na to, co się tam wydarzyło, ale koniec końców nikt nie chciał za to zapłacić.

Kto chce, może odwiedzić chatę, chociaż dość trudno jest znaleźć dopływ prowadzący do naszego wzniesienia. Poszukiwacze pamiątek rozdrapali już

wszystko. Do dziś można kupić na eBayu rozmaite rzeczy, które rzekomo należały do mnie, chociaż mogę powiedzieć ze stuprocentową pewnością, że większość z tego, co sprzedają ludzie, nie była moja. Jednak poza dziurą w kuchennej ścianie wygryzioną przez ursona chata, szopa, drewnutnia, łaźnia i wychodek wyglądają tak, jak je zapamiętałam.

Ostatni raz byłam tam dwa lata temu, po śmierci matki. Odkąd urodziłam córki, myślałam o swoim dorastaniu i zapagnęłam sprawdzić, w jakim stopniu rzeczywistość pokrywa się z moimi wspomnieniami. Werandę zasypały liście i igły, więc odłamałam gałąź sosny, żeby pozamiatać. Rozbiłam namiot pod jabłonkami i napełniłam kilka dzbanków na mleko wodą z mokradeł, po czym usiadłam na ustawionym pionowo pniaku, pogryzając batonik musli i słuchając cykad. Mokradła cichną tuż przed zmierzchem, kiedy dzienne owady i zwierzęta milkną, a nocne stworzenia jeszcze śpią. Kiedyś co wieczór po kolacji siadywałam na schodkach werandy, przeglądałam „Geographiki” albo ćwiczyłam wiązanie węzłów prostych i półsztyków, tak jak mnie nauczył ojciec, i czekałam, aż pojawią się najważniejsze dla ludu Ojibwa gwiazdy: *Ningaabi-anang*, *Waaban-anang* i *Odjiig-anang*, czyli Gwiazda Wieczorna ukazująca się tuż po zachodzie słońca, przed jego wschodem widoczna jako Gwiazda Poranna, a także Wielki Wóz. Przy bezwietrznej pogodzie, kiedy woda w stawie nieruchomiała, dało się w niej dostrzec odbicie gwiazd. Po opuszczeniu mokradeł spędziłam dużo czasu na werandzie dziadków, wpatrzona w niebo.

Mieszkałam w chacie przez dwa tygodnie. Łowiłam ryby, polowałam, zastawiałam wnyki. Przyrządzałam posiłki nad ogniskiem na podwórzu, bo ktoś ukradł nasz piecyk. Trzynastego dnia, kiedy natrafiłam na błotnistą kałużę pełną kijanek i pomyślałam o tym, jak bardzo chciałabym je pokazać Mari i Iris, dotarło do mnie, że pora wracać do domu. Wrzuciłam rzeczy do kanoe i powiosłowałam do pikapa, po drodze przyglądając się uważnie wszystkiemu

dookoła, bo wiedziałam, że więcej tu nie wrócę.

Nie wątpię, że dwa tygodnie rozłąki młodej matki z rodziną wydają się długim czasem. Wtedy naciskano na mnie, żebym się wytłumaczyła z potrzeby ucieczki. Stworzyłam dla siebie nowe życie. Kochałam swoją rodzinę. Nie byłam nieszczęśliwa. Chyba po prostu tak długo ukrywałam to, kim jestem, i tak bardzo próbowałam się dopasować, że zapragnęłam odnaleźć osobę, którą niegdyś byłam.

Wiodłam dobre życie, dopóki wszystko się nie zmieniło.

\* \* \*

Matka właściwie nigdy nie opowiadała mi o latach poprzedzających moje najwcześniejsze wspomnienia. Wyobrażam sobie nieustanny cykl prania i karmienia piersią. „Jedno do prania, drugie do noszenia” brzmi dobrze w teorii, ale wiem z doświadczenia, że małe dzieci czasem wymagają trzech lub czterech zmian ubranek dziennie, nie wspominając o pieluchach. Kiedyś podsłuchiłam, jak matka opowiadała babci o walce z moim pieluszkowym zapaleniem skóry. Nie przypominam sobie żadnych szczególnych dolegliwości we wczesnym dzieciństwie, ale muszę wierzyć matce, która twierdziła, że całą pupę miałam obsypaną paskudnymi czerwonymi krostami, krwawiącymi i ropiejącymi. Matce na pewno nie było łatwo. Musiała w wychodku zeskrobywać kupę z moich pieluch, a potem płukać je ręcznie w wiadrze. Wodę do prania podgrzewała na piecyku i rozciągała sznurki w kuchni, żeby wysuszyć pieluchy, gdy padało, albo rozwieszała je przed domem, gdy było sucho. Indianie nigdy nie zawracali sobie głowy pieluchami i gdyby matka była sprytna, przy ładnej pogodzie również pozwalałaby mi biegać z gołą pupą.

Na naszym wzniesieniu nie było czystej wody. Ludzie, którzy wybudowali chatę, bez wątpienia usiłowali wykopać studnię, bo na podwórzu znajdował

się głęboki dół. Ojciec przykrywał go ciężką drewnianą pokrywą i czasami zamykał mnie w nim za karę. W studni nie zebrała się woda i może właśnie dlatego właściciele porzucili chatę. My czerpaliśmy wodę z mokradeł, spomiędzy skał tworzących półkole, z którego musieliśmy usuwać rośliny. Sadzawka, która tam powstała, była na tyle głęboka, że dawało się w niej zanurzyć kubeł bez poruszania osadu na dnie. Ojciec żartował, że po przydźwiganiu na wzgórze wiader z wodą miał ręce dwadzieścia centymetrów dłuższe, niż kiedy zaczynał. We wczesnym dzieciństwie mu wierzyłam. Gdy dorosłam na tyle, żeby samodzielnie nosić wiadra, zrozumiałam ten dowcip.

Ścinanie, transport i rąbanie drewna na opał, potrzebnego matce do utrzymania mnie w suchości i czystości, było zadaniem ojca. Uwielbiałam patrzeć, jak rąbie drzewo. Zaplatał swoje długie włosy w warkocz, żeby mu nie przeszkadzały, i zdejmował koszulę, nawet gdy było zimno. Mięśnie grające pod jego skórą przypominały poruszającą się na letnim wietrze indiańską trawę. Ja miałam za zadanie ustawiać polana na sztorc w rzędzie, żeby ojciec mógł rąbać jedno po drugim bez zbędnych przerw: *łup, łup, łup, łup, łup, łup*. Jedno uderzenie w jedno polano, każde polano rozłupane elegancko na dwoje, gdyż ojciec w ostatniej chwili lekko obracał siekiere, dzięki czemu połówki polana frunęły na boki. Ludzie, którzy nie wiedzą, jak rozłupywać drewno, zwykle uderzają pionowo z góry, jakby masa i prędkość siekiery wystarczały do załatwienia sprawy. Tymczasem w ten sposób ostrze tylko zagłębia się w masywnym świeżym drewnie i utyka niczym dłuto, a potem męcz się, człowieku, z jego wydobyciem. Pewnego roku organizatorzy festiwalu borówek w Paradise w stanie Michigan, gdzie sprzedają dzemy, sprowadzili wesołe miasteczko. Znacie taką zabawę, w której trzeba wałnąć wielkim młotem w podwyższenie i w ten sposób wybić ciężar na samą górę słupa, żeby zadzwonił dzwonek? Zgarnęłam główną nagrodę.

Zagajnik, z którego czerpaliśmy drewno, rósł na dolnym krańcu wzniesienia.

Gdy ojciec już ścinał drzewo, usunął gałęzie i pociął pień na polana o długości odpowiedniej dla drewna opałowego, transportowaliśmy je na górę, do chaty. Najbardziej lubił drzewa o średnicy od dwudziestu do dwudziestu pięciu centymetrów, gdyż nieporąbane polana tej grubości wystarczały do podtrzymywania ognia przez całą noc, a większe trudno było przetransportować. Ojciec pozwalał rosnąć kłonom w pobliżu naszej chaty, żeby czerpać z nich syrop. Przeciętej wielkości klon albo buk daje niespełna sąg drewna opałowego, a my potrzebowaliśmy od dwudziestu do trzydziestu sągów każdego roku, w zależności od tego, jak zima dawała nam się we znaki, więc rąbanie i składowanie drewna było całoroczną pracą. Pełna drewnitnia to jak pieniądze w banku, powtarzał ojciec, ale nasza nie zawsze była pełna. Zimą ścinał drzewa na pobliskim wzniesieniu, żeby nie wyeksploatować naszego zagajnika. Ciągnął kłody po lodzie, używając dźwigni z hakiem albo dwóch zaczepów i liny zarzuconej na ramię. Wielkie wytwórnie papieru, które czerpią drewno na papierówkę z całego Górnego Półwyspu, utrzymują, że to źródło odnawialne, ale kiedy opuściliśmy chatę, drzewa u podnóża naszego wzniesienia prawie całkiem znikły.

Biorąc pod uwagę wysiłek, jaki wkładaliśmy w zbieranie drewna na opał, można by pomyśleć, że w chacie zimą było przytulnie. Ani trochę. W otoczeniu lodu i śniegu o grubości półtora metra lub więcej czuliśmy się jak w zamrażarce. Od listopada do kwietnia w domu nigdy nie było ciepło. Zdarzało się, że temperatura na zewnątrz w ciągu dnia nie przewyższała minus osiemnastu stopni Celsjusza. Często nocą spadała do trzydziestu, a nawet czterdziestu stopni poniżej zera. W takich temperaturach nie da się odetchnąć i nie zachłysnąć, kiedy naczynia krwionośne zwężają się przy uderzeniu fali zimnego powietrza w płuca. Jednocześnie włosy w nosie swędzą, kiedy zamarza wilgoć. Jeśli nigdy nie mieszkaliście na dalekiej północy, daję słowo, że nie macie pojęcia, jak nieprawdopodobnie trudno jest poradzić sobie z tak



intensywnym i wszechogarniającym zimnem. Wyobraźcie je sobie jako złośliwą mgłę, która oblepia was i przenika do głębi ze wszystkich stron, unosi się z zamrożonej ziemi, wciska w każdą, nawet najmniejszą szczelinę i szparkę w podłodze oraz ścianach waszego domu. *Kabibona'kan*, Twórca Zimy, przybywa, aby was pożreć, wykraść ciepło z waszych kości, aż wasza krew przemieni się w lód, serce zamarźnie, a do walki z nim macie tylko ogień w żelaznym piecyku na drewno.

Często budziłam się po zadymlce i widziałam pościel przyprószoną śniegiem, który wdarł się przez szpary wokół okien, tam, gdzie deski się skurczyły. Strzepywałam śnieg, otulałam się kocami i zbiegałam po schodach, żeby siedzieć przy piecyku, z rękami zaciśniętymi na kubku gorącej cykorii, aż byłam gotowa stawić czoło zimnu. Nie kąpaliśmy się zimą, po prostu nie mogliśmy. Był to jeden z powodów, dla których ojciec zbudował później łaźnię. Wiem, że dla większości ludzi to pewnie okropne, ale mycie się nie miało większego sensu, skoro nie mogliśmy uprać odzieży. A zresztą była nas tylko trójka, więc nawet jeśli wszyscy śmierdzieliśmy, żadne z nas tego nie zauważało.

Niewiele pamiętam z wczesnego dzieciństwa. Wrażenia, dźwięki, zapachy powracają do mnie raczej na zasadzie *déjà vu* niż prawdziwych wspomnień. Oczywiście nie mam żadnych zdjęć. Ponieważ jednak życie na mokradłach toczyło się według powtarzalnego wzorca, nietrudno jest wypełnić luki. Od grudnia do marca lód, śnieg i zimno. W kwietniu wracają wrony i lęgą się żaby. Mokradła w maju to zielona trawa i kwiaty, chociaż nadal da się znaleźć płaty śniegu w cieniu głazów lub po północnej stronie pni drzew. Czerwiec to miesiąc owadów — pojawiają się komary, meszki, gzy, ślepaki, kuczmany. Każdy owad, który lata i kąsa, z pewnością do nas zawitał. Lipiec i sierpień to wszystko, co ludziom mieszkającym niżej na południe kojarzy się z latem, plus premia — jesteśmy tak daleko na północy, że dzień kończy się dopiero po

dziesiątej. Wrzesień przynosi pierwsze mrozy, często też śnieg — prószy tylko odrobinę, bo liście jeszcze nie zżółkły, ale zapowiada to, co wkrótce przyjdzie. Także we wrześniu odlatują wrony i gromadzą się kanadyjskie bernikle. W październiku i listopadzie mokradła zamierają, a w połowie grudnia znów są skute siarczystym mrozem.

Wyobraźcie sobie małą dziewczynkę w takim otoczeniu. Tarza się i ślizga w śniegu, chlapie w wodzie, kica po podwórzu i udaje królika albo macha rękami, jak kaczka lub gęś skrzydłami. Ma oczy, uszy, szyję i dłonie spuchnięte od ukąszeń owadów, mimo że jest wysmarowana grubą warstwą odstraszającej mikstury, którą jej matka przygotowuje zgodnie z recepturą ojca (zmielone kłącza gorzknika wymieszane z niedźwiedzim sadłem). Tak wyglądały moje wczesne lata.

Moje pierwsze prawdziwe wspomnienie dotyczy piątych urodzin. W wieku pięciu lat miałam metr dwadzieścia wzrostu i byłam pulchną kopia matki, ale o karnacji ojca. Lubił długie włosy, więc moich nigdy nie ścinano i wtedy sięgały niemal do pasa. Przez większość czasu nosiłam je splecione w mysie ogonki albo w gruby warkocz, jak ojciec. Moim ulubionym strojem były ogrodniczki i flanelowa koszula w czerwonej kratę, niemal identyczna jak jedna z koszul ojca. Druga była tamtego roku zielona. Nosiłam trapery z beżowej skóry, prawie takie same jak te ojca, tylko bez stalowego wzmocnienia w noskach, no i mniejsze. W tym stroju czułam, że pewnego dnia stanę się taka jak on. Naśladowałam jego nawyki, sposób, w jaki mówił i chodził. Nie czciłam go, ale niewiele brakowało. Byłam bez pamięci, po uszy, szaleńczo rozkochana w swoim ojcu.

Wiedziałam, że tamtego dnia kończę pięć lat, jednak nie spodziewałam się niczego nadzwyczajnego. Matka zdumiała mnie, piekąc ciasto. Gdzieś wśród zapasów puszek oraz toreb ryżu i mąki w spiżarni znalazła pudełko mieszanki na tort czekoladowy z tęczową posypką, zupełnie jakby ojciec wiedział, że

pewnego dnia będzie miał dziecko. Nie lubiłam robić niczego w kuchni, jeśli nie musiałam, ale obrazek na pudełku wydał mi się intrygujący. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak ta torba pełna brązowego proszku zamieni się w tort z maleńkimi kolorowymi świeczkami i brązowym lukrem z zawijasem, ale matka obiecała, że tak się stanie.

— Co to znaczy: „rozgrzać piekarnik do stu osiemdziesięciu stopni”? — zapytałam, czytając przepis z tyłu. Umiałam czytać od trzeciego roku życia. — I co zrobimy z tym piekarnikiem?

Widziałam zdjęcia w reklamach kuchennego sprzętu w „Geographicach” i było dla mnie jasne, że o piekarniku nie mamy co marzyć.

— Nie potrzebujemy go — odparła matka. — Upieczemy tort tak samo, jak pieczemy herbatniki.

To mnie zmartwiło. Herbatniki na proszku do pieczenia, które matka piekła na żeliwnej patelni na naszym piecyku, były czasami przypalone i zawsze twarde. Kiedyś złamał mi się na nich mleczak. Brak umiejętności kulinarnych matki zawsze przeszkadzał ojcu, ale nie mnie. Nie można tęsknić za czymś, czego się nie znało. Teraz widzę, że mógł zapobiec problemowi, porywając kogoś starszego, ale gdzieżbym śmiała podwazać decyzję ojca. Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz.

Matka zanurzyła ściereczkę w wiadrze z niedźwiedzim sadłem, które trzymaliśmy w zabezpieczonej przed myszami szafce, natarła nim patelnię, po czym postawiła ją na piecyku.

— „Wymieszaj z dwoma jajkami i jedną czwartą szkl. oleju do smażenia” — ciągnęłam. — Olej do smażenia?

— Niedźwiedzie sadło — odparła matka. — A szkl. znaczy szklanka. Mamy jajka?

— Jedno.

Dzikie kaczkę rozmnażały się na wiosnę. Na szczęście urodziłam się pod

koniec marca.

Matka wbiła jajko do proszku, dodała rozpuszczone w blaszanym kubku na piecyku niedźwiedzie sadło oraz taką samą ilość wody i ubiła całość na gładką masę.

— „Trzy minuty elektrycznym mikserem na wysokich obrotach albo trzysta uderzeń trzepaczką”.

Gdy matce zmęczyła się ręka, przejęłam pałeczkę. Pozwoliła mi dodać posypkę, chociaż zdążyłam wcześniej zjeść połowę. Posypka była słodka, co zawsze cieszyło, jednak gdy rozprowadzałam ją językiem w ustach, jej wielkość i kształt skojarzyły mi się z mysimi bobkami. Matka dołożyła jeszcze łyżkę sadła na patelnię, żeby ciasto do niej nie przywarło, wlała masę i przykryła naczynie żeliwną pokrywką.

Dziesięć minut później — dwukrotnie upomniawszy mnie, żebym nie zaglądała, bo tort się nie upiecze — matka uniosła pokrywkę, aby sprawdzić postępy, i odkryła, że brzegi ciasta czernieją, a środek wciąż jest kleisty. Otworzyła drzwiczki piecyka i poruszyła rozżarzonymi węgielkami, żeby ciepło rozkładało się równomiernie, dołożyła jeszcze jedno polano i to załatwiło sprawę. Końcowy produkt w ogóle nie przypominał tego z obrazka, ale i tak zjedliśmy wszystko.

Tort na kaczym jajku i niedźwiedzim sadle może wydawać się niezbyt apetyczny, jednak wtedy po raz pierwszy skosztowałam czekolady i to było niebo w gębie.

Sam tort wystarczyłby z nawiązką, ale dzień jeszcze się nie skończył. W rzadkim przejawie tego, co teraz uznalabym za matczyną miłość, matka zrobiła mi lalkę. Wypchała jedne z moich starych śpioszków suszonymi liśćmi pałki wodnej, wbiła pięć gałązek w każdy rękaw, żeby powstały palce, i związała je kawałkiem sznurka. Głowę zrobiła ze starej skarpety ojca, rysując na niej kawałkiem węgla drzewnego krzywo uśmiechniętą twarz.

I owszem, lalka była tak okropna, jak to opisuję.

— Co to? — zapytałam, zlizując ostatnie okruszki z talerza, kiedy położyła ją na stole przede mną.

— To lalka — odparła nieśmiało matka. — Zrobiłam ją dla ciebie.

— Lalka. — Byłam prawie pewna, że po raz pierwszy słyszę to słowo.  
— Do czego służy?

— Do zabawy. Wymyśl dla niej imię. Udawaj, że to dziecko i że ty jesteś jego matką.

Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć. Udawanie przychodziło mi bez trudu, ale wyobrażenie sobie siebie jako matki pozbawionego życia gałgana przekraczało moje możliwości. Na szczęście ojciec też uznał ten pomysł za idiotyczny. Wybuchnął śmiechem i od razu poczułam się lepiej.

— Chodź, Heleno. — Odepchnął się od stołu i wyciągnął rękę. — Ja też mam dla ciebie prezent.

Zaprowadził mnie do sypialni rodziców i posadził na wysokim łóżku. Moje stopy dyndały nad podłogą. Zazwyczaj nie wolno mi było wchodzić do tego pokoju, więc machałam nogami w radosnym oczekiwaniu, a ojciec ukląkł i na czworakach sięgnął pod łóżko. Wyciągnął stamtąd brązową, skórzaną walizkę z brązową rączką i połyskującymi złotem wykończeniami. Widziałam, że walizka jest ciężka, bo podnosząc ją, stęknął, a kiedy położył ją tuż obok mnie, łóżko podskoczyło i się zatrzęsło, a ja wraz z nim, tak jak wtedy, gdy skakałam po materacu, czego zresztą nie wolno mi było robić. Ojciec wybrał najmniejszy kluczyk z kółka na klucze i wsunął go do zamka. Zatrząsk odskoczył z łoskotem, a ojciec uniósł wieko i obrócił walizkę tak, żebym mogła zobaczyć jej zawartość.

Wstrzymałam oddech.

Walizka była pełna noży: długich, krótkich, wąskich, szerokich, z uchwytnymi drewnianymi lub z rzeźbionej kości, scyzoryków, zakrzywionych noży

o wyglądzie szabli. Ojciec później nauczył mnie ich nazw i różnic między nimi, a także tego, jak ich używać do polowania, walki i samoobrony. Wtedy jednak wiedziałam tylko, że bardzo pragnę ich dotknąć. Chciałam wodzić palcami po każdym, poczuć chłód metalu, gładkość drewna, ostrość stali.

— Śmiało — zachęcił mnie. — Wybierz jeden. Jesteś już dużą dziewczynką, na tyle dużą, żeby mieć własny nóż.

Natychmiast poczułam, że przetacza się przeze mnie fala gorąca, jakby zapłonął we mnie ogień z naszego piecyka. Odkąd sięgałam pamięcią, zawsze pragnęłam mieć własny nóż. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że pod łóżkiem rodziców mogą się skrywać takie skarby ani że ojciec pewnego dnia podzieli się nimi ze mną. Zerknęłam na drzwi. Na progu stała matka, zachmurzona, z założonymi na piersi rękami. Było oczywiste, że nie spodobał jej się ten pomysł. Kiedy pomagałam matce w kuchni, nie wolno mi było dotykać niczego ostrego. Znów popatrzyłam na ojca i nagle mnie olśniło. Wcale nie musiałam słuchać matki — już nie. Przecież ojciec powiedział, że jestem na tyle duża, aby nosić własny nóż.

Odwróciłam się do walizki i uważnie przyglądałam się każdemu z noży.

— Ten. — Wskazałam na nóż ze złocistym ostrzem i błyszczącą rękojeścią z ciemnego drewna.

Najbardziej podobał mi się wypukły liść wytłoczony na skórzanej pochwie. Nóż nie był mały, bo choć ojciec nazwał mnie dużą dziewczynką, wiedziałam, że będę jeszcze większa, i chciałam mieć nóż, do którego dorosnę, a nie z którego wyrosnę jak ze sterty koszul i ogrodniczek walających się w kącie mojego pokoju.

— Świetny wybór.

Niczym król wręczający miecz rycerzowi, ojciec wyciągnął przed siebie nóż, który, jak teraz wiem, był dwudziestocentymetrową myśliwską finką Bowie o obustronnym ostrzu. Wyciągnęłam rękę i zamarłam. Ojciec lubił

zabawę, która polegała na tym, że coś mi podawał, a kiedy usiłowałam to wziąć, cofał rękę. Chyba nie zniosłabym, gdyby znowu to zrobił. Uśmiechnął się i na widok mojego niezdecydowania pokiwał zachęcająco głową. To też czasami robił w ramach zabawy.

Ja jednak bardzo chciałam mieć ten nóż. Potrzebowałam go. Szybko chwyciłam broń, zanim ojciec zdążył zareagować. Zacisnęłam pięść na rękojeści i ukryłam nóż za plecami. Walczyłabym o niego, gdybym musiała.

Ojciec znów się roześmiał.

— W porządku, Heleno. Naprawdę. To twój nóż.

Powoli wyciągnęłam go zza pleców, a kiedy ojciec uśmiechnął się szerzej, wiedziałam, że ten piękny nóż naprawdę należy do mnie. Wyjęłam go z pochwy, obróciłam w dłoniach, uniosłam do światła, położyłam na kolanach. Waga noża, rozmiar, kształt i to, jaki był w dotyku, podpowiadały mi, że dokonałam trafnego wyboru. Przejechałam kciukiem po ostrzu, żeby sprawdzić, czy nie jest tępe. Wcześniej widywałam, jak ojciec to robi. Skaleczyłam się, ale nie bolało. Włożyłam kciuk do ust i znów spojrzałam na drzwi. Matka zniknęła.

Ojciec zamknął walizkę na kluczyk i wsunął ją pod łóżko.

— Bierz palto — powiedział. — Sprawdzimy wnyki.

Bardzo go kochałam, a to zaproszenie sprawiło, że pokochałam go jeszcze mocniej. Ojciec każdego ranka chodził sprawdzać sidła. Tym razem postanowił wyjść po raz drugi tylko po to, bym mogła wypróbować nowy nóż. Omal nie eksplodowało mi serce. Zabiłabym dla tego człowieka. Umarłabym dla niego. Wiedziałam, że on zrobiłby to samo dla mnie.

Szybko włożyłam zimowy strój, żeby nie zdążył zmienić zdania, po czym wsunęłam nóż do kieszeni palta. Gdy szłam, obijał mi się o nogę. Sidła zastawialiśmy na całej długości naszego wzniesienia. Śnieg po obu stronach szlaku był niemal tak wysoki jak ja, więc starałam się trzymać śladów ojca.

Nie mieliśmy iść daleko. Niebo, drzewa i śnieg już przybierały odcień wieczornego granatu. *Ningaabi-anang* lśniła nisko na zachodzie. Pomodliłam się do Wielkiego Ducha, *blagam, blagam, blagam*, ześlij nam królika, zanim będziemy musieli zawrócić.

Jednak *Gitche Manitou* sprawdzał moją cierpliwość, jak to czasem bogowie. Pierwsze dwa wnyki, do których podeszliśmy, były puste, w trzecich królik już nie żył. Ojciec ściągnął pętlę z jego szyi, ponownie zastawił sidła i wrzucił zeszywniałego królika do worka. Wskazał na ciemniejące niebo.

— Jak myślisz, Heleno, idziemy czy zawracamy?

Teraz do Wieczornej Gwiazdy przyłączyło się wiele innych. Było zimno, coraz zimniej, a wiatr wiał tak, jakby miał się rozpadać śnieg. Bolały mnie policzki, szczykałam zębami, łzawiły mi oczy, nie czułam nosa.

— Idziemy — zdecydowałam.

Ojciec odwrócił się bez słowa i szedł dalej szlakiem, a ja, potykając się, ruszyłam za nim. Miałam mokre i sztywne ogrodniczki, a stopy jak sople lodu. Kiedy jednak podeszłam do następnej pułapki, całkiem zapomniałam o zmarzniętych palcach. Królik żył.

— Szybko. — Ojciec wyciągnął rękawice i chuchnął na dłonie, żeby je rozgrzać.

Czasem, kiedy sidła zaciskały się na tylnej nodze królika, tak jak teraz, ojciec podnosił go i z rozmachem uderzał jego głową o drzewo. W innych sytuacjach podrzywał mu gardło. Uklękałam w śniegu. Królik zwiotczał ze strachu i z zimna, ale z całą pewnością oddychał. Wyciągnęłam nóż z pochwy.

— Dziękuję — wyszeptałam do nieba i gwiazd, a następnie szybko przeciągnęłam ostrzem po szyi królika.

Krew trysnęła z rany, opryskała mi usta, twarz, dłonie, palto. Krzyknęłam i szybko poderwałam się z ziemi. Natychmiast uświadomiłam sobie, na czym polegał mój błąd. W swojej gorliwości, żeby jak najszybciej zabić po raz



pierwszy, zapomniałam, że należy stanąć z boku zarzynanego zwierzęcia.

Podniosłam garść śniegu i przetałam przód palta, po czym wybuchnęłam śmiechem. Ojciec śmiał się razem ze mną.

— Zostaw to — polecił mi. — Matka się tym zajmie, kiedy wrócimy.

Ukląkł obok królika i zanurzył dwa palce w jego krwi. Łagodnie przyciągnął mnie do siebie.

— *Manajiwin* — powiedział. — Szacunek.

Wziął mnie pod brodę i powiódł palcami po moich policzkach.

Potem ruszył w drogę powrotną. Podniosłam królika, przerzuciłam go przez ramię i powędrowałam za ojcem do chaty. Skóra mi się pomarszczyła, kiedy wiatr wysuszył paski krwi na policzkach. Uśmiechnęłam się do siebie. Byłam myśliwym. Wojownikiem. Człowiekiem honoru, godnym szacunku. Mieszkańcem bezdroży, jak mój ojciec.

Matka tylko na mnie spojrzała i od razu chciała umyć mi twarz, ale ojciec jej nie pozwolił. Upiekła królika na kolację, gdy tylko udało jej się oczyścić moje palto z krwi. Zjedliśmy go z gotowanymi bulwami i sałatką ze świeżych liści mniszka, który uprawialiśmy w drewnianych skrzyniach w piwnicy. Nigdy nie jadłam równie pysznego posiłku.

Po wielu latach państwo sprzedało bogatą kolekcję noży mojego ojca w ramach częściowego pokrycia kosztów sądowych. Ja jednak nadal mam swój nóż.

## 9

Nóż Natchez Bowie, który podarował mi ojciec na piąte urodziny, obecnie kosztuje około siedmiuset dolarów. Idealnie nadaje się do walki, jest świetnie wyważony i ma doskonały kształt, który umożliwia zadawanie mocnych ciosów, gwarantuje dobry zasięg oraz siłę nacisku, a ostra jak brzytwa głównia tnie z mocą maczety i przebija niczym sztylet.

Nóż, którego ojciec użył do ucieczki z więzienia, zrobiony był z papieru toaletowego. Zdumiała mnie ta informacja. Zważywszy na preferencje i wiedzę ojca, postawiłabym raczej na metalowy. Z pewnością miałyby czas go zrobić. Zdecydował się na papier toaletowy zapewne dlatego, że potrafił docenić ironię tworzenia śmiertelnie groźnej broni z niewinnych materiałów. Więźniowie bywają niesłychanie kreatywni w kwestii wyrobu majchrów — ostrzą plastikowe łyżeczki i przełamane szczotki do zębów o betonowe ściany lub podłogę celi, a następnie mocują w nich jednorazowe żyletki. Zdarza się, że przez wiele miesięcy wyrzynają noże ze stalowej ramy łóżka, używając do tego nici dentystycznej. Nie miałam jednak pojęcia, że da się zabić człowieka papierem toaletowym.

Na YouTube można znaleźć wideo z prezentacją, jak zrobić taki nóż. Najpierw zwija się ciasno papier, tworząc z niego stożek. Spoiwem jest pasta do zębów, która pełni taką samą rolę jak klej w *papier mâché*. Modeluje się majcher tak długo, aż otrzyma się dokładnie taki kształt, na jakim nam zależy — w tym celu trzeba nakładać kolejne warstwy papieru z jednego końca, a drugi zaciskać, tworząc idealnie dopasowaną do dłoni rękojeść. Gdy rezultat jest satysfakcjonujący, majcher musi wyschnąć i stwardnieć. Wtedy wystarczy

go naostrzyć w zwykły sposób i uzyskuje się zabójczą broń, w dodatku podlegającą biodegradacji. Już po wszystkim można wrzucić nóż do sedesu, a kiedy rozmięknie, spuścić wodę.

Ojciec zostawił nóż na miejscu zbrodni. Broń spełniła swoje zadanie, a on nie musiał wymyślać wiarygodnego scenariusza na potrzeby obrony. Jak podawano w wiadomościach, majcher ojca miał piętnastocentymetrowe dwustronne ostrze w kolorze brązowym, podobnie jak rękojeść. Wolę się nie domyślać, jakiego barwnika użył. Akurat to mnie nie zdumiewa. Zawsze bardzo lubił noże Bowie.

Poza szczegółami na temat noża, ujawnionymi wczoraj przez policję, wiadomo na pewno tylko to, że nie żyje dwóch konwojentów — jeden otrzymał śmiertelny cios nożem, drugi zginął od kuli — i że oprócz ojca brakuje broni obu strażników. Zabrakło świadków — albo nikt nie widział, jak więźniarka wpada do rowu w połowie „odcinka Seney”, albo nikt nie chce się przyznać do tego, że cokolwiek widział, dopóki mój ojciec przebywa na wolności.

Dobrze go znam, więc zdołam wypełnić luki w tej historii. Bez wątplenia od dawna planował ucieczkę, prawdopodobnie od lat, tak jak planował porwanie mojej matki. W pierwszej kolejności z pewnością dał się poznać jako wzorowy więzień, żeby mieć dobre relacje ze strażnikami, którzy wozili go między więzieniem a sądem. Większość ucieczek z więzienia wiąże się z jakimś ludzkim błędem — strażnikom nie chce się starannie sprawdzić, czy więzień jest porządnie skuty kajdankami, bo nie uważają go za zagrożenie, albo z tego samego powodu podczas przeszukania nie zauważają kluczyka od kajdanek ukrytego w ciele lub w odzieży więźnia. Więźniowie uznani za kłopotliwych wymagają wzmożonej ostrożności, więc mój ojciec musiał dołożyć starań, żeby nie być jednym z nich.

Więzienie w Marquette dzieli dystans stu sześćdziesięciu kilometrów od

sądu okręgu Luce, gdzie rozpatrywano sprawę ojca, więc mnóstwo czasu zajmowały dojazdy. Psychopaci pokroju mojego ojca bywają bardzo charyzmatyczni. Wyobrażam sobie, jak wdaje się w pogawędkę z konwojentami, rozgryza, co ich interesuje, krok po kroku zdobywa ich sympatię. Z pewnością zachowywał się tak jak wtedy, gdy zwiódł moją matkę — aby mu zaufała, wmówił jej, że szuka psa. Tak samo wykorzystywał moje zainteresowania, kiedy byłam dzieckiem, i obrócił mnie przeciwko matce tak subtelnie i całkowicie, że dopiero po latach terapii zrozumiałam, że jej na mnie zależało.

Nie wiem, jak przemycił nóż z celi do więźniarki. Być może schował go w szwie jednoczęściowego kombinezonu, blisko krocza, gdyż było mało prawdopodobne, że tam go starannie obszukają. A może ukrył go w grzbiecie książki. Mniejszy nóż byłby znacznie bardziej praktyczny, ale ludzie muszą zrozumieć, że mój ojciec nie uznaje półśrodków, a także to, że jest cierpliwy. Na pewno darował sobie mnóstwo okazji do ucieczki, dopóki warunki nie były idealnie takie jak trzeba. Może któregoś dnia pogoda nie dopisała albo strażnicy byli w nietypowo paskudnym nastroju, albo zachowywali się wyjątkowo czujnie, ewentualnie ojciec nie czuł się usatysfakcjonowany wykończeniem noża. Przecież się nie śpieszył.

Wczoraj gwiazdy mu sprzyjały. Ojciec z powodzeniem przemycił nóż z celi i ukrył go w szczelinie siedzenia z tyłu furgonetki. Począł i przystąpił do działania dopiero w drodze powrotnej, tuż przed zachodem słońca, żeby strażnicy byli zmęczeni po długim dniu w podróży i żeby utrudnić pracę tropicielom. Także dlatego, że wracając, jechali na zachód, a wszyscy wiedzą, jak nieprzyjemnie się jedzie prosto ku zachodzącemu słońcu.

Ojciec skulił się z tyłu i udawał, że drzemie. Znał trasę na tyle dobrze, że śledził ją z zamkniętymi oczami, ale jako że nigdy nie zostawia niczego przypadkowi, więc co kilka minut unosił powiekę, żeby sprawdzić drogę.

Minęli zjazd na Engadine, przejechali obok Four Corners i skierowali się pod górę, a potem przez małe miasteczko McMillan, obok kilku domów oraz starej farmy McGinnisa, i zjechali z góry do King's Creek. Wjechali na kolejne wzgórze, minęli opuszczoną pracownię ceramiki i chatę postawioną przez parę hipisów w latach siedemdziesiątych. Przemknęli obok skrzyżowania na Danaher Road, stoczyli się z jeszcze jednego małego wzgórza, wjechali na kolejne, a potem podążyli w dół, ku mokradłom na zachód od mostu na rzece Fox. Gdy ojciec je zobaczył, jego tętno przyśpieszyło, ale niczego nie dał po sobie poznać.

Minęli Seney bez zatrzymywania. Może kierowca spytał drugiego strażnika, czy chce skorzystać z łazienki. A może założył, że jego partner powie, jeśli będzie potrzebował przerwy. Ojcu nie przysługiwał taki luksus, ale tym razem miał to gdzieś. Poruszył się z tyłu, lekko wychylił i udał, że chrapie, żeby to zatuszować. Sięgnął do szpary w kanapie i wyciągnął nóż z ukrycia. Wsunął go między skute dłonie, ostrzem do siebie, żeby zaatakować z góry, i wychylił się jeszcze bardziej.

Piętnaście kilometrów na zachód od Seney, tuż po tym, jak minęli drogę równoległą do rzeki Driggs i prowadzącą do serca rezerwatu przyrody, ojciec rzucił się przed siebie. Pewnie ryknął jak atakujący żołnierz, choć może milczał jak skrytobójca. Tak czy inaczej, zatopił ostrze w piersi strażnika zajmującego fotel pasażera, wbił nóż głęboko w ciało, przeszywając prawą komorę i dziurawiąc przegrodę, przez co strażnik umarł nie z upływu krwi, tylko z powodu wewnętrznego wylewu, który wywołał ucisk i zatrzymanie pracy serca.

Był zbyt zdumiony, by krzyknąć, a zanim sobie uświadomił, że umiera, ojciec zdążył wyrwać mu broń i zastrzelić kierowcę. Więźniarka skręciła, wpadła do rowu i było po wszystkim. Ojciec upewnił się, że obaj strażnicy nie żyją, przeszukał ich, znalazł kluczyk do kajdanek, przedostał się na przód

samochoду i wygramolił na zewnątrz. Dla pewności powiódł wzrokiem po drodze, czy nie ma świadków, po czym wyszedł z auta i ruszył prosto na południe, gniotąc trawę między drogą a drzewami, żeby uczestnicy obławy wiedzieli, dokąd zmierza.

Pokonawszy mniej więcej dwa kilometry, wszedł do rzeki Driggs. Następnie brnąc w wodzie, przemierzył krótki dystans i wyszedł na ten sam brzeg, gdyż rzeka okazała się zbyt głęboka, żeby ją pokonać w bród, a poza tym nie chciał utrudniać tropicielom zadania, dopóki nie utwierdzi ich w przekonaniu, że jego celem jest rezerwat. Tu i tam zostawił przygiętą paproć, złamaną gałązkę, częściowy odcisk buta — stworzył względnie trudny do wykrycia trop, żeby policjanci myśleli, że są sprytniejsi od niego i że dogonią go przed nocą. Potem bez śladu rozplynał się na mokradłach niczym poranna mgła.

Tak to sobie wyobrażam. W każdym razie ja bym tak zrobiła.

\* \* \*

Jesteśmy półtora kilometra od pierwszej chaty, którą chcę sprawdzić, kiedy Rambo skowyczy na swój szczególny sposób, co oznacza, że powinnam go wypuścić. Nie chcę się zatrzymywać, ale drapie w podłokietnik i kręci się w kółko na siedzeniu, więc muszę zjechać na bok. Ostatnio zauważyłam, że kiedy chce mu się siusiu, to naprawdę nie może czekać. Nie wiem, czy to kwestia wieku, czy braku ruchu. Plotty żyją od dwunastu do szesnastu lat, więc jako ośmiolatek Rambo jest już w średnim wieku.

Sięgam do schowka i wsuwam magnum za pasek z przodu dzinsów. Gdy tylko otwieram drzwi od strony pasażera, Rambo wystrzeliwuje na zewnątrz jak pocisk. Ja idę wolniej skrajem drogi, szukając znaków świadczących o tym, że ktoś tu był. Nie liczę na nic tak oczywistego jak strzęp pomarańczowego materiału przyczepiony do gałęzi. Wypatruję raczej czegoś

w rodzaju śladu tenisówki bez sznurówek. Ojciec powtarzał nam, że jeśli ktoś pojawi się nieoczekiwanie na naszym wzniesieniu, mamy wyjść na podmokłą trawę, wytarzać się w błocie i czekać bez ruchu, aż on nam powie, że można bezpiecznie wrócić. Nie wątpię, że więzienny kombinezon ojca jest już podobnie zamaskowany.

Wnioskując po braku drzew i gęstości zarośli przy drodze, powiedziałabym, że minęło dziesięć lat od ostatniej wycinki w tym rejonie. Teraz rosną tu tylko borówki i olsze. Sterty chrustu pozostawione po wyrębie, a także gotowe źródło pożywienia sprawiają, że niedźwiedzie czują się tu wyśmienicie. Rambo z pewnością uważa, że właśnie z ich powodu tu przyjechaliśmy.

Przechodzę na drugą stronę jezdni i tamtędy wracam. Ojciec uczył mnie tropienia, kiedy byłam mała. Gdy się bawiłam albo wędrowałam po okolicy, on zostawiał mi ślady, a potem musiałam je odnajdywać i iść ich szlakiem. Ojciec szedł wtedy obok i pokazywał mi wszystko, co przegapiłam. Przy innych okazjach szliśmy tam, dokąd poniosły nas nogi, a on wskazywał interesujące rzeczy po drodze, na przykład łajno, charakterystyczne tropy sosnowiórki czerwonej czy wejście do jamy nowika, usłane piórami oraz sowimi wypluwkami. Ojciec pokazywał stertę odchodów i pytał: „Opos czy urson?”. Niełatwo je po tym odróżnić.

W końcu uświadomiłam sobie, że tropienie przypomina czytanie. Znaki to słowa. Trzeba połączyć je w zdania i wtedy opowiedzą historię jakiegoś zdarzenia w życiu zwierzęcia, które tędy przechodziło. Na przykład mogłabym natrafić na zagłębienie, w którym nocował jeleń. Znajdowałoby się, dajmy na to, na małej wyspie wśród mokradeł lub na wzgórku, z którego obserwowałby otoczenie. Najpierw patrzę, jak bardzo ugniecione jest zagłębienie i dzięki temu wiem, jak często zjawia się w nim zwierzę. Jeśli miejsce jest wytarte aż do gołej ziemi, mam do czynienia z głównym legowiskiem, co oznacza, że jeleń najprawdopodobniej do niego wróci. Potem sprawdzam, w którą stronę

jest zwrócone. Byk zwykle kładzie się z wiatrem wiejącym od tyłu. Gdy wiem, jak zwierzę układa się w legowisku, mogę wybrać dzień, w którym wieje dogodny wiatr, przyjść później i zapolować.

I tak dalej.

Ojciec czasem udawał zwierzynę. Wymykał się z chaty, a ja czekałam z zawiązanymi oczami na krześle w kuchni, tyłem do okna, żeby mnie nie kusiło. Gdy policzyłam do tysiąca, matka zdejmowała mi opaskę i ruszałam w pościg. Za tylnymi drzwiami naszego domu roiło się od śladów stóp na piasku, więc trudno było dostrzec wśród nich odciski butów ojca. Kuciałam na piętach na najniższym schodku i przyglądałam się z uwagą, aż byłam pewna, które ślady są najświeższe. Gdybym ruszyła złym szlakiem, to pewnie nigdy bym go nie znalazła. W zależności od tego, jak daleko zawędrował ojciec, ile czasu pozostawał w ukryciu i w jakim był tego dnia humorze, mogłabym spędzić zdecydowanie zbyt wiele czasu na rozmyślaniach w studni.

Ojciec co jakiś czas zeskakiwał z werandy na stertę liści albo na kamień, żeby utrudnić zabawę. Zdarzało mu się zdejmować buty i iść na palcach w samych skarpetkach albo boso. Kiedyś nabrał mnie, wkładając buty matki. Oboje się uśmialiśmy. Odkąd opuściłam mokradła, przekonałam się, że wielu rodziców pozwala dzieciom wygrywać, aby wzmocnić ich poczucie własnej wartości. Ojciec nigdy nie ułatwiał mi tropienia i wcale bym tego nie chciała, bo niby jak miałabym się nauczyć? A co do poczucia własnej wartości — kiedy udawało mi się wytropić i zabić ojca, uśmiechałam się całymi dniami. Tak naprawdę, naturalnie, wcale go nie zabijałam. W zależności od tego, gdzie się ukrywał, zabawa kończyła się albo wystrzeleniem kuli w ziemię obok jego stopy, albo w pień drzewa, albo w gałąź przy głowie. Kiedy wygrałam trzy razy z rzędu, ojciec przestał się ze mną bawić. Dużo później mój nauczyciel przeczytał w klasie opowiadanie „Najniebezpieczniejsza zabawa”, którego treść bardzo przypominała nasze



zabawy. Zastanawiałam się, czy właśnie to opowiadanie zainspirowało ojca. Chciałam powiedzieć klasie, jak to jest być jednocześnie myśliwym i zwierzyną, ale nauczyłam się, że im mniej mówię o swoim życiu na mokradłach, tym lepiej.

Na poboczu stoi radiowóz, a konkretnie samochód patrolowy szeryfa okręgu Alger, jeden z tych nowych, które ostatnio pokazywano w serwisach informacyjnych — biały z czarnym pasem, czarno-pomarańczowym emblematem z boku, orurowaniem z przodu i rzędem reflektorów na dachu. Samochód jest nieskazitelny i błyszczący, wygląda tak, jakby po raz pierwszy wyjechał na drogę.

Zwalniam. Da się to rozegrać na dwa sposoby. Mogę przejechać obok, jakbym nie miała pojęcia, dlaczego radiowóz stoi z boku drogi na kompletnym odludziu. Policjant mnie zatrzyma, a sprzęt wędkarski z tyłu pikapa wszystko wyjaśni. Być może funkcjonariusz rozpozna moje nazwisko i powiąże je z moim ojcem, kiedy sprawdzi tablice i dokumenty, ale to nic pewnego. W najgorszym wypadku odeśle mnie do domu z ostrzeżeniem, żebym miała się na baczności.

Mogę też powiedzieć policjantowi, że skróciłam wyprawę na ryby i właśnie jadę do domu, bo słyszałam w wiadomościach o zbiegłym więźniu. Opcja numer dwa pozwoli mi spytać, jak idą poszukiwania, a to może się przydać. Ewentualnie dam się wygadać policjantowi i wyłapię jakąś użyteczną wskazówkę z policyjnego radia.

Wtedy uświadamiam sobie, że obie opcje są tylko teoretyczne, bo w radiowozie nikogo nie ma.

Zjeżdżam na bok i zatrzymuję samochód. Ciszę lasu zakłócają jedynie sporadyczne szумы z radia. Zdejmuję rugera z uchwytu nad oknem i wyciągam magnum. Patrzę wokoło, żeby sprawdzić, czy coś się nie porusza, a potem przykucam, żeby obejrzyć odciski butów. Widzę ślady tylko jednego

człowieka, mężczyzny, na co wskazuje rozmiar buta. Osiemdziesiąt do dziewięćdziesięciu kilogramów, biorąc pod uwagę głębokość śladów. Odstępy między nimi świadczą o tym, że poruszał się z wyjątkową ostrożnością.

Podążam za śladami do miejsca, w którym znikają wśród przydrożnych roślin. Zgnieciona trawa i połamane paprocie podpowiadają mi, że policjant biegł. Wpatruję się w jego trop i dochodzę do wniosku, że nie uciekał, lecz biegł ku czemuś, co jego zdaniem wymagało sprawdzenia.

Przerzucam rugera przez ramię i trzymam magnum obiema rękami. Poruszam się prawie bezszelestnie dzięki mokasynom, które noszę w gąszczu, a także wiedzy przekazanej mi przez ojca.

Trop prowadzi przez kępę brzoź i osik na szczyt stromego wąwozu. Staję na skraju urwiska i spoglądam w dół. Na dnie leży człowiek.

## CHATA

*W ciągu kilku dni i nocy dla żony wikinga stało się jasne, jak się sprawy mają z jej dzieciątkiem: ktoś rzucił na nie straszliwy urok. Za dnia było śliczne jak świetlisty alf, ale miało złą, dziką naturę, a nocą stawało się obrzydliwą żabą, cichą i żalostną, o smutnych oczach; były to na zmianę dwie różne istoty, zarówno zewnątrz, jak i wewnątrz; brało się to stąd, że dziewczynka, którą przyniósł bocian, miała za dnia wygląd swojej matki, ale naturę ojca, a nocą w jej postaci uwidaczało się pokrewieństwo z ojcem, ale w duszy jaśniała natura i serce matki.*

H.CH. ANDERSEN  
*Córka króla moczarów*

Magazyny „National Geographic” były moimi książeczkami obrazkowymi, lekturą dla początkujących, a także uniwersalnymi podręcznikami historii, nauk ścisłych i światowej kultury. Nawet gdy już nauczyłam się czytać, godzinami przeglądałam fotografie. Najbardziej lubiłam numer z nagim aborygeńskim niemowlęciem gdzieś w australijskim buszu. Dziewczynka miała zbite w strąki rudobrzazowe włosy oraz rudobrzazową skórę, siedziała na ziemi niemal tego samego koloru co ona i żuła kawałek kory, uśmiechnięta jak maleńki Budda, tłusta i szczęśliwa. Każdy widział, że w tamtym miejscu i czasie miała wszystko, czego pragnęła lub potrzebowała. Gdy patrzyłam na jej zdjęcie,

często sobie wyobrażałam, że to dziecko to ja.

Poza tym obrazkiem najbardziej podobały mi się fotografie plemienia Yanomami w brazylijskim lesie deszczowym. Matki miały proste grzywki i wytatuowane twarze, chodziły nagie od pasa w górę, karmiąc niemowlęta lub nosząc na biodrach małe dzieci. Policzki i nosy kobiet były przekłute patykami ozdobionymi kępkami żółtych piórek. Chłopcy nosili na biodrach sznurkowe przepaski niezakrywające im przyrodzenia, a ich ramiona zdobiły martwe małpy oraz kolorowe ptaki, które uśmiercili strzałami z własnych łuków. Dzieciaki huśtały się na lianach grubych jak ich ramiona i lądowały w rzece, zamieszkaney, jak wynikało z treści artykułu, przez kajmany czarne, anakondy zielone i piranie Natterera. Udawałam przed sobą, że te dzikie, dzielne dzieci to moje rodzeństwo. W upalne dni zrzucałam całe ubranie i smarowałam się błotem z mokradeł, po czym biegałam po wzniesieniu ze sznurkiem przewiązonym wokół bioder, wymachując łukiem i strzałami, które zrobiłam z wierzbowych witek i które były zbyt sprężyste i świeże, żeby dało się nimi uśmiercić choćby królika, za to świetnie nadawały się do zabawy. Brałam zrobioną przez matkę lalkę, wieszałam ją na kajdankach w drewnutni i celując do niej, uczyłam się strzelać z łuku. W większości wypadków strzały tylko odbijały się od lalki, ale raz na jakiś czas udawało mi się ją przeszyć. Matka nie lubiła, kiedy tak paradowałam bez ubrania, ale ojcu to nie przeszkadzało.

Wydarłam te zdjęcia z czasopism i ukryłam między materacem a sprężyną tapicerską. Matka rzadko zaglądała do mojego pokoju, ojciec nigdy, ale i tak wolałam nie ryzykować. Oprócz tego trzymałam pod łóżkiem wydanie z artykułem o pierwszych osadach wikińskich w Nowym Świecie. Uwielbiałam wszystko, co dotyczyło wikingów. Z ilustracji wynikało, że ich codzienne życie bardzo przypominało nasze, z tą różnicą, że mieszkali w domach z darni i było ich więcej. Wieczorami, gdy ojciec palił w kominku, siadałam jak najbliżej paleniska, przyglądając się zdjęciom przedmiotów

znalezionych przez archeologów, w tym ludzkich kości, aż w końcu ojciec zdecydował, że wszyscy troje musimy już iść spać.

Uwielbiałam czytać, ale tylko w deszczowe dni albo nocami przy ogniu. Szczególnym uczuciem darzyłam swój tomik poezji. Opisy porannej mgły, żółtych liści i zamarzniętych mokradeł naprawdę do mnie przemawiały. Poeta miał nawet stosowne nazwisko — Frost, czyli mróz. Zastanawiałam się, czy je sobie wymyślił, tak jak ja, kiedy udając wikinga nazwałam się Helgą Nieustraszoną. Było mi naprawdę przykro, kiedy ojciec odciął okładkę książki, a kartki zaniósł do wychodka. Matka mówiła, że kiedyś mieliśmy prawdziwy papier toaletowy, ale jeśli to prawda, musiał się skończyć dawno temu, bo go nie pamiętałam. „Geographiki” były zbyt sztywne i błyszczące, więc nikt za nimi nie przepadał, ale spełniały swoje zadanie.

Gdybym wcześniej uświadomiła sobie, że tomik poezji pewnego dnia przepadnie, postarałabym się więcej nauczyć na pamięć. Teraz przypominam sobie tylko urywki: *Ciągnie mnie w mroczną głęb tej kniei... I wiele mil od snu mnie dzieli... Zdarzyło mi się niegdyś ujrzeć w lesie rano dwie drogi; pojechałem tą mniej przemierzaną. A może mniej uczęszczaną?*

Iris nauczyła się czytać, zanim poszła do szkoły. Chcę wierzyć, że odziedziczyła to po mnie.

Zdaję sobie sprawę, że niektórzy mogą źle reagować na pewne aspekty mojego dzieciństwa. Na przykład ludziom, którzy nie polują, zapewne będzie przykro, gdy się dowiedzą, że miałam sześć lat, kiedy ojciec nauczył mnie strzelać. Matce to wcale nie przeszkadzało. Na Górnym Półwyspie polowanie to właściwie religia. Pierwszego dnia sezonu myśliwskiego zamyka się szkoły, żeby każdy nauczyciel i uczeń mógł położyć swojego byczka. Nieliczne otwarte firmy obsługuje szczątkowa ekipa. Każdy, kto jest wystarczająco duży, by udźwignąć strzelbę, rusza na kemping myśliwski, żeby polować, pić i grać w karty podczas dwutygodniowego święta „Kto w tym roku ustrzeli

największego byka?”. Poborcy myta na moście Mackinac na bieżąco odnotowują, ile jeleni jedzie z Górnego Półwyspu na Dolny na dachach samochodów i w bagażnikach pikapów. Większość zwierząt daje się zwabić na marchew i jabłka, dostępne w dwudziestopięciokilogramowych workach na stacjach benzynowych i w sklepach spożywczych. Pewnie się domyślacie, co o tym sędzę.

Co roku słyszeliśmy strzały, dzień po dniu, od wschodu do zachodu słońca przez dwa nerwowe tygodnie w listopadzie, podobnie jak od czasu do czasu dobiegał nas odległy warkot piły łańcuchowej, która nie należała do ojca. Ojciec wyjaśnił mi, że to „sezon łowiecki” białego człowieka i że białym wolno strzelać do jeleni tylko przez te dwa tygodnie w roku. Bardzo mi było żal białych ludzi. Zastanawiałam się, kto ustalił tę zasadę i czy ci, którzy to zrobili, ukarzą łamiących ją, zamykając ich w studni, tak jak ojciec robił to mnie, kiedy go nie słuchałam. Martwiłam się, co z nami będzie, jeśli biali ludzie się dowiedzą, że strzelamy do jeleni, kiedy nam przyjdzie ochota. Ojciec powiedział, że jest Indianinem, więc łowieckie reguły białych nie odnoszą się do niego. Od razu poczułam się lepiej.

Ojciec zabijał dwa jelenie każdej zimy — jednego w połowie grudnia, gdy zwierzęta już się uspokoiły po zamieszaniu z myśliwymi, a drugiego wczesną wiosną. Świetnie dalibyśmy sobie radę, jedząc tylko ryby i warzywa, ale ojciec uważał, że lepiej jest różnicować posiłki. Poza baribalem, który wpadł z wizytą i skończył jako nasz dywanik w salonie, jedynymi dzikimi zwierzętami, do których strzelaliśmy, były jelenie. Mieliśmy tylko jedną strzelbę i nie wolno nam było pozwolić sobie na marnowanie amunicji. Na króliki zastawialiśmy sidła. Jedliśmy też uda i mięso z karków piżmaków i bobrów, które złapał ojciec. Wiewiórki i pręgowce zabijałam, rzucając nożem. Za pierwszym razem, kiedy upolowałam pręgowca, upiekłam go nad ogniskiem na podwórzu i zjadłam, bo Indianie niczego nie marnują. Na

małych kosteczkach było jednak tak niewiele mięsa, że potem już mi się nie chciało zwracać sobie tym głowy.

Ojciec obiecał, że gdy tylko będę w stanie zestrzelić dziesięć puszek, które ustawi na naszym płocie, ani razu nie pudłując, zabierze mnie na polowanie na jelenie. To, że poświęcał część naszej cennej amunicji, aby nauczyć mnie strzelać, dowodziło, jakie to ważne. Myślę, że był zdumiony, widząc, jak szybko opanowałam tę umiejętność, ale mnie to nie dziwiło. Gdy po raz pierwszy wzięłam do ręki strzelbę ojca, czułam się tak, jakby była przedłużeniem moich oczu i rąk. Remington 770 o wadze prawie czterech kilogramów był zbyt ciężki dla sześciolatki, ale byłam duża jak na swój wiek, a dzięki noszeniu wiader z wodą także bardzo silna.

Mijały tygodnie od mojej udanej próby strzeleckiej i nic. Łowiliśmy ryby, zastawialiśmy pułapki i sidła, a remington ojca leżał zamknięty w spiżarni. Ojciec nosił zawsze przy sobie pęk kluczy, które nieustannie podzwaniały przy jego pasie. Nie wiem, do czego służyły pozostałe. Nigdy nie zamykaliśmy chaty. Chyba po prostu lubił ten dźwięk, wagę i dotyk kluczy, tak jakby ich noszenie świadczyło o ważności człowieka.

Gdy po raz pierwszy zobaczyłam spiżarnię, pomyślałam, że mamy dość jedzenia, aby wykarmić całą armię. Ojciec wyjaśnił jednak, że ani jedna zjedzona puszka nie zostanie zastąpiona inną, więc musimy oszczędzać zapasy. Matce wolno było otwierać jedną puszkę dziennie. Czasem pozwalała mi ją wybrać. Jednego dnia kremowa kukurydza, drugiego fasolka szparagowa, następnego kremowa zupa pomidorowa Campbell, chociaż dopiero później dowiedziałam się, że „kremowa” oznacza, że do rozcieńczenia zupy używa się mleka, a nie wody. Czasem, gdy mi się nudziło, liczyłam pozostałe konserwy. Pamiętam, jak myślałam, że kiedy wszystkie puszki znikną, opuścimy chatę.

Gdy pytałam ojca o termin polowania na jelenie, mówił mi, że dobry myśliwy musi zachowywać cierpliwość. Powiedział też, że za każdym razem,

kiedy zapytam, opóźni polowanie o tydzień. Miałam tylko sześć lat, więc minęło trochę czasu, zanim zrozumiałam i postanowiłam więcej nie pytać.

Pewnego wczesnego ranka następnej wiosny, kiedy ojciec otworzył drzwi do spiżarni i wyszedł ze strzelbą na ramieniu i amunicją pobrzękującą w kieszeniach, domyśliłam się, że w końcu nadszedł ten dzień. Bez ponaglenia włożyłam zimowe ubranie i wyszłam za ojcem z chaty. Mój oddech tworzył białe obłoczki, gdy szliśmy po zamrzniętym mokradle. Matka nie znosiła wychodzić na taką zimnicę, ja jednak uwielbiałam penetrowanie mokradeł zimą. Wyglądało to tak, jakby grunt magicznie się powiększył, pozwalając mi wędrować wszędzie tam, gdzie chciałam. Tu i ówdzie ze śniegu wystawały zamrznięte pałki wodne, przypominając mi, że chodzę po wodzie. Pomyślałam o żabach i rybach, uśpionych pode mną. Zamykałam usta i wydmuchiwałam dwa kłęby pary jak hiszpański byk. Kiedy poczułam wilgoć w nosie, pochyliłam się i wydmuchałam smarki w śnieg.

Śnieg skrzypiał pod naszymi stopami. Śnieg wydaje różne dźwięki w różnych temperaturach, a skrzypienie oznaczało, że jest bardzo zimno. To był dobry dzień na polowanie, ponieważ w taką pogodę jelenie zbijają się w gromadę, a nie żerują, wędrując po okolicy. Pod innym względem dzień był kiepski, ponieważ nie można było poruszać się bezgłośnie, co utrudniało podejście do zwierzęcia.

Zakrakała wrona. Ojciec wypowiedział głośno jej indiańską nazwę, *aandeg*, i wskazał na odległe drzewo. Miałam dobry wzrok, ale czarna wrona tak sprytnie wtopiła się w gałęzie, że gdyby nie zdradziła się krakaniem, pewnie bym jej nie dostrzegła. Moje serce przepełnił podziw dla ojca. Wiedział wszystko o *Anishinaabe*, Rdzennych Ludach, i o mokradłach. Potrafił znaleźć najlepsze miejsca do wycinania przerębli, wiedział dokładnie, którego dnia i o jakiej porze będą brały ryby, umiał sprawdzić grubość lodu, żeby się pod nami nie załamał. Mógłby być znachorem albo szamanem.



Kiedy dotarliśmy do pokrytego śniegiem kopca, w którym rozpoznałam żeremie bobrowe, gdzie ojciec zastawiał pułapki, przyklęknął za mną, żeby jego głos się nie niósł.

— Będziemy strzelać stąd — powiedział cicho. — Wykorzystaj żeremie jako osłonę.

Powoli uniosłam głowę. Widziałam cedry wokół wzniesienia, ale żadnych jeleni pod nimi. Z rozczarowania zawilgotniały mi oczy. Próbowałam wstać, jednak ojciec pociągnął mnie w dół, przyłożył palec do ust i wyciągnął przed siebie rękę. Zmrużyłam oczy i wyteżyłam wzrok, starając się coś dojrzeć. W końcu zobaczyłam ledwie widoczne chmurki białej pary wydostające się z nozdrzy jeleni. Niełatwo było zauważyć przysypane śniegiem zwierzęta leżące na białej ziemi pod przykrytymi śniegiem gałęziami cedru, ale w końcu mi się udało. Ojciec wręczył mi swoją strzelbę, a kiedy przyłożyłam oko do celownika, wyraźnie dostrzegłam jelenie. Przyjrzałam się całemu stadu. Jedno zwierzę, leżące nieco dalej od pozostałych, wydawało się większe od reszty. To musiał być byk.

Ściągnęłam rękawice i rzuciłam je na śnieg, po czym odbezpieczyłam broń i położyłam palec na spuście. Czułam, że ojciec mnie obserwuje. W głowie słyszałam jego polecenia: *Łokcie w dół. Przytrzymaj strzelbę od spodu drugą ręką, dzięki czemu będziesz lepiej kontrolowała broń. Obserwuj uważnie. Zawsze śledź jelenia, do którego strzelasz. Nigdy nie zakładaj, że całkiem chybiłaś.* Wstrzymałam oddech i nacisnęłam. Przy wystrzale broń uderzyła mnie w ramię. Bolało, ale nie bardziej niż wtedy, gdy bił mnie ojciec. Nie odrywałam wzroku od swojego byka, kiedy stado się rozpiezchło. Po strzale w serce czy w płuco jelen podskoczyłby i ruszył przed siebie ile sił w nogach. Jeleń trafiony w brzuch opuszcza ogon i garbi grzbiet, biegnąc. Mój byk tego nie zrobił. Posłałam czysty strzał.

— Chodź. — Ojciec wstał i odsunął się na bok, żebym poszła pierwsza.

Przecierałam szlak przez śnieg, sięgający mi powyżej kolan, i wkrótce znaleźliśmy się przy zwierzęciu. Miało otwarte oczy, po jego szyi spływała krew, a język zwisał z boku pyska. Mój byk nie miał rogów, ale o tej porze roku wcale się tego nie spodziewałam. Najważniejszy był jego ogromny brzuch.

Nagle ten brzuch lekko się poruszył, trochę zafalował czy też zadrżał odrobinę jak wtedy, gdy ojciec i matka poruszali się pod kołdrą. Najpierw pomyślałam, że jeleni nie zginął, a potem przypomniało mi się, jak anakonda połyka żywą zdobycz, a ta czasem porusza się w ciele węża. Tyle tylko, że jeleni nie jada mięsa. To była prawdziwa zagadka.

— Przytrzymaj nogi.

Ojciec przetoczył mojego byka na plecy. Stałam od strony zadu i zacisnęłam dłonie na każdej nodze z osobna, żeby unieruchomić jelenia. Ojciec delikatnie przeciągnął nożem przez białą sierść i otworzył brzuch byka. Gdy rozcięcie się poszerzyło, ujrzałam małe kopytko, potem drugie, i wtedy zrozumiałam, że to wcale nie był byczek. Ojciec wydobył jelonka z brzucha łani i położył go na śniegu. Musiał się zbliżać termin porodu, bo kiedy ojciec przeciął błony płodowe, jelonki zaczął się rzucać i kopać, jakby chciał wstać.

Ojciec przycisnął jelonka do śniegu i odsłonił mu szyję. Sięgnęłam po nóż, pamiętając, że muszę stanąć z boku, aby nie obryzgała mnie krew. Gdy ojciec oporządzał łanię, wykonywałam jego polecenia, zajmując się jelonkiem.

— Znajdź mostek — mówił. — Wymacaj palcami miejsce, w którym się kończy. Tam się zaczyna brzuch. Teraz rozetnij brzuch od mostka do krocza. Bez pośpiechu. Nóż powinien rozciąć skórę i błonę pod nią, ale nie może przebić wnętrza. Dobrze. Teraz wyciągnij wnętrze w taki sposób, od krocza w górę ciała. Jednocześnie rozcinaj błony, które łączą wnętrze z grzbietem. A teraz rozetnij skórę wokół odbytu i wyciągnij jelito grube.

Dobrze. W porządku, zrobione. Poradziłaś sobie.

Oczyściliśmy ręce i noże w śniegu. Wytarłam dłonie w kurtkę, wciągnęłam rękawiczki i z dumą popatrzyłam na mojego wypatroszonego jelonka. Przy tak niewielkich rozmiarach wystarczyłby na jeden czy dwa posiłki, ale skóra wydawała się wystarczająco duża, żeby matka zrobiła z niej dla mnie nakrapiane rękawice.

Ojciec ułożył parujące wnętrzości na stertę, a *aandeg* i jej przyjaciele krakali, czekając na drzewach, aż odejdziemy. Bez trudu zarzucił moją łanię na ramiona, ja zrobiłam to samo z jelonkiem. Był tak mały i lekki, że kiedy szłam za ojcem, czułam się tak, jakbym nic nie niosła.

Przez następne tygodnie matka pracowała nad rękawiczkami, co wymagało wielokrotnego rozciągania, pocierania i szarpania skóry. Indianki miały zwyczaj ją żuć, aby zmiękła, ale zęby matki nie były wystarczająco mocne. Dlatego ciągle pocierała fragment okrywy jelonka o górną gałkę jednego z naszych drewnianych krzesel w kuchni. W końcu skórę udawało się rozciągnąć, a matka skupiała się na następnym fragmencie.

Do garbowania skóry jelonka — którego plamki na sierści nie sięgały podstawy włosa — ojciec użył jego mózgu. Mogliśmy wygarbować nasze skóry na indiański sposób, zostawiając je przyciśnięte kamieniami w zimnym strumieniu, żeby czas oraz siła prądu wody obluźowały włosie. Nie zamierzaliśmy jednak zjadać mózdków, a w ten sposób przynajmniej się nie zmarnowały. Mózg zwierzęcia jest akurat takich rozmiarów, aby wystarczyło go na garbowaną skórę, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że Wielki Duch naprawdę wie, co robi. Kiedy już odskrobie się całe mięso ze skóry, należy ugotować mózg w takiej samej ilości wody i rozbełtać go, aby powstał oleisty płyn. Następnie trzeba rozłożyć skórę na ziemi lub na podłodze, gładką stroną do góry, i rozprowadzić połowę roztrzepanego mózgu. Sztuka polega na tym, że skóra powinna mieć odpowiednią wilgotność po namaczaniu. Jeśliby była

zbyt sucha, mózg w ogóle nie przeniknie do jej wnętrza. Jeśli jest zbyt mokra, nie ma już w niej miejsca na dodatkową wilgoć preparatu z mózgu. Potem należy zwinąć skórę i pozostawić ją na noc w miejscu, do którego nie dobiórą się zwierzęta. Następnego dnia rozwija się skórę i powtarza to samo od początku. Kiedy mózg już zrobi swoje i zeszkrobiemy całe włosie, myjemy skórę, a kolejnym etapem jest jej zmiękczenie.

W tym momencie do pracy przystępowała matka.

Zdaję sobie sprawę, że dotąd niewiele mówiłam o swojej matce. Po prostu nie bardzo wiem, co powiedzieć. Poza tym, że interesowało mnie, co przygotuje na obiad, kiedy wracałam głodna ze swoich wycieczek, w okresie dorastania, naprawdę nie poświęcałam jej wiele uwagi. Po prostu była obecna, kręciła się gdzieś w tle, robiła to, do czego stworzyła ją natura — urodziła mnie, a potem ubierała i karmiła. Wiem, że nie miała takiego życia, na jakie zasłużyła czy jakiego pragnęła, ale nie uważam, aby mieszkanie na mokradłach było tak złe, jak twierdziła. Musiała czasami być szczęśliwa. Nie mam na myśli przypadkowych, przelotnych chwil, jak wtedy, gdy uśmiechała się na widok rodziny skunksów z małymi, przemierzającej nasze podwórze każdego wiosennego wieczoru. Mówię o takich momentach, gdy była naprawdę, autentycznie szczęśliwa. O takich, gdy potrafiła nabrać dystansu, popatrzeć obiektywnie i pomyśleć: „Tak, to mi się podoba. Jest dobrze tu i teraz”.

Myślę, że tak się czuła, pracując w ogrodzie. Już jako dziecko zauważyłam, że kiedy matka okopuje rośliny motyką, wrywa chwasty albo zbiera plony, jej ramiona wydają się mniej przygarbione. Czasem przyłapywałam ją na śpiewaniu *Zawsze będę cię kochać i proszę, nie odchódź, dziewczyno...* Myślałam, że śpiewa o mnie. Po tym, jak opuściliśmy mokradła, na ścianach jej zatrzymanego w czasie pokoju zobaczyłam plakaty pięciu ciemnowłosych chłopaków w białych T-shirtach i podartych džinsach. Dowiedziałam się, że tę

piosenkę wykonywała grupa zwana „boy bandem”, która twierdziła, że są nowymi dzieciakami na dzielni, chociaż ci ludzie już od dawna nie byli dzieciakami, tym bardziej nowymi. Pochodzenie piosenki, którą zawsze uważałam za swoją, zdumiało mnie mniej niż odkrycie, że matka kiedyś wieszała na ścianach swoje ulubione zdjęcia.

Jej obsesja na punkcie warzyw graniczyła z fanatyzmem. Nigdy nie rozumiałam, jak można pasjonować się groszkiem i ziemniakami. Każdej wiosny, gdy tylko ziemia zaczynała odmarzać i na długo przed rozpuszczeniem się śniegu, matka wkładała czapkę, szalik i rękawiczki, a następnie wychodziła z łopatą w dłoni, żeby przekopywać ziemię. Zupełnie jakby obróceniem każdej zmrożonej piędzi ku coraz mocniej grzejącemu słońcu mogła przyspieszyć proces odmarzania.

Ogródek matki był niewielki, miał co najwyżej pięć metrów z każdej strony, a otaczała go wysoka na dwa metry siatka. Mimo to dawał obfite plony dzięki resztkom warzyw, które przez okrągły rok rzucaliśmy na kompost. Nie mam pojęcia, skąd moja matka wiedziała, że masa z gnijących warzyw zdoła zmienić piaszczystą glebę naszego wzniesienia w coś w rodzaju gleby ilastej. Tak samo nie jestem pewna, skąd wiedziała, że powinna każdej jesieni pozostawiać część upraw do wydania nasion, jeśli chce je wysiać następnej wiosny, i jak się domyśliła, że niektóre marchewki trzeba zostawiać na zimę, żeby urosły następnego roku, bo marchew kwitnie dopiero na drugi rok. Nie sądzę, żeby mój ojciec ją tego nauczył — był raczej myśliwym niż zbieraczem. Nie uważam też, że dowiedziała się tego wszystkiego od rodziców. Gdy mieszkałam z dziadkami, ani razu nie wykazali zainteresowania ogrodnictwem, bo niby dlaczego? Wystarczyło przecież pojechać do sklepów Supervalu albo IGA i tam kupić tyle wózków świeżych warzyw, ile dusza zapragnie. Może przeczytała o tym w „Geographicach”.

Matka uprawiała sałatę, marchew, groch, kabaczek, kapustę i pomidory. Nie

wiem, dlaczego zawracała sobie głowę pomidorami. Okres wegetacji był u nas tak krótki, że gdy pierwsze czerwieniały, trzeba było zerwać wszystkie, niezależnie od stopnia dojrzałości, żeby nie zniszczył ich przymrozek. Matka owijała każdy pomidor osobno w papier i układała je na podłodze w piwnicy, by dojrzały. Dziewięć na dziesięć natychmiast zaczynało gnić. Kukurydza to też była przegrana sprawa. Szopy pracze dysponują niepojętą umiejętnością dokonywania nocnych napadów na dzień lub dwa przed dojrzaniem kolb i na całym świecie nie ma płotu, który by je powstrzymał.

Pewnego lata świstak przekopał się pod siatką i załatwił całą marchew matki. Zachowywała się tak, jakby ktoś umarł. Naturalnie oznaczało to, że już nigdy nie zobaczymy żadnej marchewki, ale przecież mogliśmy jeść inne korzeniowe warzywa, na przykład wapato. Ojciec mówił, że Indianie wchodzi boso w błoto i palcami u stóp odrywają ich bulwy od systemu korzeniowego. Nie próbowałam tego robić, bo nie zawsze wiedziałam, kiedy ojciec mówi poważnie, a kiedy żartuje. Używaliśmy starych grabi o pięciu zębach, takich jakimi farmerzy rozgarniają siano. Ojciec wkładał wadery i wychodził na głębokie błoto blisko brzegu, po czym przeciągał grabiami w tę i z powrotem. Do mnie należało zbieranie bulw, które wypływały na powierzchnię. Woda była tak zimna, że ledwie to wytrzymawałam, ale jak powtarzał ojciec, co cię nie zabije, to cię wzmocni. Niedługo potem, jak zaczęłam chodzić, nauczył mnie pływać — obwiązał mnie sznurem w pasie i wrzucił do wody.

Kiedy już poznałam prawdę o ojcu i matce, zaczęłam się zastanawiać, dlaczego matka nie uciekła. Skoro nienawidziła życia na mokradłach tak bardzo, jak potem twierdziła, to dlaczego nie odeszła? Przecież mogła przejść przez mokradła, kiedy były zamrożone, a ja i ojciec zastawialiśmy wnyki. Mogła też włożyć wadery ojca i brnąć ku wolności, kiedy wędkowaliśmy w jego kanoe. Miała szansę ukraść łódkę i odpłynąć, gdy polowaliśmy. Rozumiem, że była dzieckiem, kiedy ojciec sprowadził ją do chaty, więc

niektóre z tych opcji pewnie nie od razu przyszły jej do głowy. Miała jednak ponad czternaście lat, żeby coś wymyślić.

Teraz, kiedy przeczytałam już relacje dziewczyn, które porwano i trzymano w niewoli, rozumiem, że w grę wchodziły czynniki psychologiczne. Coś wpływa na umysł i wolę pozbawionej niezależności osoby. Możemy sobie wyobrazić, że w podobnej sytuacji walczylibyśmy jak tygrysy, ale najprawdopodobniej byśmy się poddali, i to zapewne wcześniej niż później. Kiedy człowiek uświadamia sobie, że im więcej walczy, tym surowiej jest karany, dość szybko uczy się robić to, czego wymaga porywacz. To nie jest syndrom sztokholmski. Psycholodzy nazywają to wyuczoną bezradnością. Jeśli porwany wierzy, że uniknie kary albo nawet dostanie nagrodę w postaci koca lub odrobiny jedzenia, o ile spełni żądania porywacza, postąpi zgodnie z jego wolą, bez względu na to, jak bardzo będzie to odrażające czy upokarzające. Jeśli porywacz jest skłonny zadawać ból, proces przebiega znacznie szybciej. Po pewnym czasie, nawet gdy ofiara bardzo tego chce, nie będzie próbowała uciec.

Gdy złapie się mysz albo ryjówkę i włoży do metalowej balii, żeby sprawdzić, co robi, początkowo zwierzę będzie biegało przy ścianie i zataczało koła w poszukiwaniu drogi wyjścia. Po kilku dniach przywyknie do balii i nawet wyjdzie na środek po jedzenie i wodę, choć jest to sprzeczne z instynktem. Po kilku następnych dniach można przygotować myszy drogę ucieczki, przywiązując szmatkę albo sznur do któregoś z uchwytów i opuszczając jeden koniec na dno balii, a drugi zostawiając po przeciwnej stronie ścianki. Mysz jednak będzie dalej biegała w kółko, aż w końcu zdechnie. Niektóre stworzenia kiepsko sobie radzą w niewoli. Gdyby nie moja inicjatywa, matka i ja zostałybyśmy na zawsze w chacie na wzniesieniu.

Jeszcze jedno wyróżniało moją matkę — pracując w ogrodzie, zawsze nosiła długie spodnie i długie rękawy. Nigdy, nawet w najgorętsze dni, nie

wkładała ani szortów, ani T-shirtów, które kupił jej ojciec, nawet w najgorętsze dni. Nie mogłaby się bardziej różnić od matek Yanomami.



## 11

Stoję na skraju wąwozu i spoglądam w dół. Stoki są strome, niewiele tu roślin. Wyraźnie widzę zwłoki na dnie. Martwy policjant — ma brązowe włosy obcięte na jeża, rumiane policzki, spaloną słońcem szyję — chyba niedawno skończył czterdziestkę. Był w niezłej formie, waży pewnie z osiemdziesiąt dwa kilogramy, czyli akurat tyle, ile przewidziałam na podstawie śladów. Leży z głową zwróconą do mnie, ma oczy otwarte ze zdumienia, jakby jeszcze do niego nie dotarło, że w jego plecach tkwi kula.

Myślę o martwych strażnikach więziennych, o ich rodzinach, o rozpacz, która będzie je trawić jeszcze długo po tym, jak ojciec ponownie wyląduje za kratami. Myślę o bliskich tego mężczyzny, o tym, że robią to, co zwykle, jakby nic się nie zmieniło, i nie mają pojęcia, że ich mąż, ojciec i brat odszedł. Myślę o tym, co bym czuła, gdyby coś przytrafiło się Stephenowi.

Rozglądam się po okolicy, poruszając tylko gałkami ocznymi. Kątem oka wypatruję ruchu, który wskazywałby na to, że ojciec jest w pobliżu. Kiedy jednak słyszę skrzek sójki i stukanie dzięcioła po drugiej stronie wąwozu, wiem, że ojciec się oddalił.

Schodzę na dno wąwozu. Policjant bez wątplenia jest martwy, ale i tak go odwracam, żeby przyłożyć dwa palce do jego szyi i się upewnić. Gdy przetacza się na plecy, jak oparzona cofam rękę. Policjant ma rozdartą koszulę, a na jego pokiereszowanej klatce piersiowej widnieje napis: *Dla H.*

Wzdrygam się, próbuję uspokoić oddech. Myślami powracam do ostatniego razu, gdy ojciec zostawił mi podobną wiadomość. Agat z Jeziora Górnego, który znalazłam na parapecie sypialni dwa lata po opuszczeniu mokradeł, był

duży, wielkości dziecięcej pięści. Soczystą, intensywną czerwień otaczały pomarańczowe i białe koncentryczne paski, ze skupiskiem kryształów kwarcu pośrodku. Taki agat byłby wart sporo pieniędzy po przycięciu i wypolerowaniu. Kiedy odwróciłam kamień, ujrzałam cztery litery wypisane czarnym markerem: *Dla H.*

Najpierw potraktowałam to jak dowcip. Do tego czasu zdążyłam już pobić wszystkich chłopców w szkole, którzy uznali, że muszą rzucić mi wyzwanie po incydencie z nożem podczas przyjęcia powitalnego na moją cześć. Garstka nadal nie odpuszczała. Robili głupoty, wkładali martwe zwierzęta do mojej szafki, a jakiś bystrzak napisał kiedyś czerwonym sprejem *Córka Króla Moczarów* na frontowej ścianie domu moich dziadków.

Włożyłam agat do pudełka po butach, a pudełko wsunęłam pod łóżko. Nie powiedziałam nic ani matce, ani dziadkom, bo nie wiedziałam, co o tym myśleć. Liczyłam na to, że agat jest od ojca, a jednocześnie wcale tego nie pragnęłam, tak samo jak chciałam i jednocześnie nie chciałam się z nim spotkać. Kochałam ojca, ale także winiłam go za swoje cierpienie i za to, że muszę teraz walczyć o przystosowanie się do społeczeństwa. Nie nauczył mnie prawie niczego o świecie poza mokradłami. Jakie znaczenie miało to, że potrafiłam polować i łowić ryby lepiej niż większość ludzi? Dla kolegów z klasy byłam dziwadłem — kretynką, która sądziła, że dopiero niedawno wymyślono kolorowy telewizor, nigdy nie widziała komputera ani komórki i nawet do głowy jej nie przyszło, że Alaska i Hawaje to obecnie stany. Sprawy pewnie ułożyłyby się inaczej, gdybym była blondynką z niebieskimi oczami. Gdybym wyglądała jak matka, dziadkowie mogliby mnie pokochać. Byłam jednak kopią swojego ojca, codziennym przypomnieniem tego, jak skrzywdził ich córkę. Myślałam, że gdy opuścimy mokradła, dziadkowie oszaleją ze szczęścia na widok utraconej córki, i to z premią. Byłam jednak jego dzieckiem.

Kiedy na parapecie pojawił się drugi agat w koszyczku z turówki, zrozumiałam, że to upominki od ojca. Potrafił zrobić wszystko z naturalnych surowców, na przykład plecione koszyki albo pudełka z brzozonej kory dekorowane kolcami ursona. Z wierzbowych witek i niewyprawionej skóry powstały miniaturowe rakiety do chodzenia po śniegu, a z brzozonej kory maleńkie kanoe z wyciosanymi z drewna siedzeniami i wiosłami. Półka nad paleniskiem w chacie zastawiona była jego dziełami. Chodziłam wzdłuż paleniska i podziwiałam te przedmioty, trzymając ręce za plecami, gdyż wolno mi było na nie patrzeć, ale nie dotykać. Ojciec zajmował się rzemiosłem głównie zimą, ze względu na mnóstwo wolnego czasu do wypełnienia. Nieraz próbował mnie uczyć, ale nie wiadomo dlaczego, miałam dwie lewe ręce do rękodziela. Człowiek nie może być dobry we wszystkim, oświadczył ojciec po tym, jak zawałam kolejną próbę stworzenia czegoś tam z kolców ursona. Jednak w wypadku ojca to nie była prawda.

Wiedziałam, dlaczego podrzucał te prezenty. W ten sposób chciał dać mi do zrozumienia, że jest w pobliżu, że mnie obserwuje i nigdy mnie nie zostawi, choć ja zostawiłam jego. Wiedziałam również, że nie powinnam ich zatrzymywać. Obejrzałam wystarczająco dużo programów kryminalnych w telewizji, aby zdawać sobie sprawę z tego, że ukrywanie dowodów czyni ze mnie współwinną przestępstw ojca. Podobało mi się jednak, że mamy wspólny sekret. Ojciec mi zaufał. Wierzył, że będę siedziała cicho, a w tym byłam niezła.

Prezenty napływały. Nie codziennie, nawet nie każdego tygodnia. Niekiedy mijało naprawdę sporo czasu i nabierałam przekonania, że ojciec oszedł, całkiem o mnie zapominając, potem jednak znajdowałam kolejny podarek. Wszystkie trafiały do pudełka pod moim łóżkiem. Kiedy czułam się samotna, wyciągałam pudełko i dotykałam prezentów, myśląc o ojcu.

Pewnego ranka znalazłam nóż. Ściągnęłam go z parapetu, zanim matka się

obudziła, i schowałam w pudełku po butach. Nie mogłam uwierzyć, że ojciec mi go podarował. Dawniej siadywaliśmy na łóżku rodziców w chacie nad otwartą walizką z nożami leżącą pomiędzy nami, a on opowiadał mi historię każdego z nich. Ten mały srebrny nóż w kształcie sztyletu, z inicjałami *G.L.M.* wyrytymi u nasady ostrza, był moim drugim ulubionym po tym, który wybrałam dla siebie na piąte urodziny. Ilekroć pytałam ojca, kim był *G.L.M.*, odpowiadał, że to zagadka. Wymyślałam własne historyjki. Nóż należał do zamordowanego przez ojca człowieka. Ojciec wygrał nóż podczas walki w barze albo w zawodach na rzucanie nożami. Podwędził go komuś z kieszeni. Nie miałam pojęcia, czy ojciec ma także umiejętności kieszonkowca, ale to mi pasowało do tej historii.

Później, gdy babcia zawiozła moją matkę na terapię, a dziadek po lunchu wrócił do swojego sklepu, wyciągnęłam pudełko i rozłożyłam skarby na łóżku. Podczas zabawy swoją kolekcją czasami porządkowałam przedmioty według rodzajów. Kiedy indziej układałam je w kolejności otrzymania albo od najbardziej ulubionych do najmniej, choć oczywiście kochałam je wszystkie. Sesje matki trwały zazwyczaj godzinę z okładem, więc uznałam, że mam jeszcze czterdzieści pięć minut, zanim będę musiała schować pudełko. Wciąż opierałam się idei dzielenia dnia na godziny i minuty, ale musiałam przyznać, że czasami warto wiedzieć, na jak długo ktoś wychodzi i kiedy dokładnie wróci.

Siedziałam na łóżku, wyobrażając sobie, że ojciec jest obok mnie i opowiada prawdziwą historię noża, kiedy matka i babcia weszły do pokoju. Nie powinnam dać się zaskoczyć. Wydaje mi się, że tak bardzo wciągnęłam się w historię ojca, że nie usłyszałam, jak podjechał samochód. Później dowiedziałam się, że sesja terapeutyczna matki kiepsko poszła i dlatego wróciły wcześniej. To mnie nie zdziwiło. Miałam spotykać się z tą samą terapeutką, ale przestałam pół roku wcześniej, bo nalegała, żebym skończyła

szkołę, choć fatalnie się tam czułam, po to, by później studiować na Uniwersytecie Północnego Michigan w Marquette biologię albo botanikę i któregoś dnia znaleźć pracę w terenie. Nie rozumiałam, jakim cudem siedzenie w klasie może mnie nauczyć więcej o mokradłach, niż już wiedziałam. Niepotrzebna mi była książka do odróżnienia bagna od podmokłej łąki, torfowiska i mokradła.

Nóż był pierwszą rzeczą, którą zauważyła babcia po wejściu do pokoju. Podeszła do łóżka, spiorunowała mnie wzrokiem i wyciągnęła rękę.

— Co ty z tym robisz? Daj mi to — zażądała.

— To moje. — Wrzuciłam nóż i resztę rzeczy do pudełka i wepchnęłam je pod łóżko.

— Ukradłaś to?

Obie wiedziałyśmy, że nie mogłabym kupić noża. Dziadkowie nie dawali mi żadnych pieniędzy, nawet tych, które ludzie przysyłali mi po tym, jak opuściłam mokradła. Powiedzieli, że pieniądze trafiły na coś, co się nazywa „fundusz powierniczy”, a to oznacza, że nie mogą ich tknąć. Gdy skończyłam osiemnaście lat, wynajęty przeze mnie prawnik oświadczył, że mój fundusz powierniczy nie istnieje i nigdy nie istniał. To w dużej mierze wyjaśniało, skąd się wziął ford F350 dziadków, a także ich limuzyna marki Lincoln. Mam nieodparte wrażenie, że gdyby dziadkom mniej zależało na zbiciu kasy na nieszczęściu matki, a bardziej na udzieleniu jej pomocy, wszystko ułożyłoby się dla niej lepiej.

Babcia uklękła i na czworakach wyciągnęła pudełko spod łóżka, co przyszło jej z trudem, gdyż była potężną kobietą i miała kolana w kiepskim stanie. Wysypała zawartość na łóżko, chwyciła nóż i zaczęła nim wywijać, wrzeszcząc tak, jakbym nie siedziała pół metra od niej i nie mogła jej usłyszeć, nawet gdyby mówiła szeptem. Nadal nie znoszę, kiedy ludzie wrzeszczą. Mówcie co chcecie o moim ojcu, ale nigdy nie podnosił głosu.

Nóż był tak charakterystyczny, że matka natychmiast rozpoznała w nim własność ojca. Zasłoniła ręką usta i zaczęła wycofywać się z pokoju, jakby nóż był kobrą i zamierzał rzucić się do ataku. Przynajmniej nie krzyczała. Po dwóch latach nadal panikowała, jeśli cokolwiek przypomniało jej o ojcu albo ktoś o nim napomknął. Może naprawdę potrzebowała terapii.

Babcia zaniósła pudełko na policję. Technicy policyjni znaleźli na nożu oprócz moich odcisków palców także identyczne ze zdjętymi w chacie. Nadal nie znali nazwiska ojca, ale odciski palców dowodziły, że był w okolicy. Detektyw zapewnił dziadków, że schwytanie go to tylko kwestia czasu, i miał rację. Dochodzenie w sprawie Indianina z dużą kolekcją noży doprowadziło policjantów do odległego obozowiska drwali na północ od wodospadów Tahquamenon, gdzie ojciec mieszkał z paroma Indianami kanadyjskimi. W tamtym czasie często zatrudniano ich na czarno do pozyskiwania odpadów drewnianych, gdyż nikt inny nie chciał tego robić. Robotnicy mieszkali na miejscu, w przyczepie albo w kamperze, raz w tygodniu ktoś przywoził im benzynę do generatora i jedzenie. Pieniądze dostawali pod stołem.

Wiele razy oglądałam na YouTube zapis tamtej akcji FBI. Przypomina to odcinek „Policjantów” albo „Prawa i porządku”, tyle że z ojcem w roli głównej. No i akcja rozgrywa się trochę zbyt wolno. Słychać mnóstwo szeptów, a ujęcia bywają dziwne, bo policjanci chowają się za stertą drewna, pod ciągnikiem, za przyczepą z narzędziami, a nawet w wychodku, żeby zminimalizować ryzyko niepowodzenia. Potem przez długi czas nic się nie dzieje, bo czekają, aż mój ojciec i ludzie, z którymi mieszkał, wrócą z pracy. Nadal śmiać mi się chce na wspomnienie miny ojca, gdy policjanci wypadają z ukrycia, wycelowują w niego broń i krzyczą: „Na ziemię! Na ziemię!”. Tutaj już akcja toczy się błyskawicznie, żeby jej nie przegapić, trzeba trzymać palec nad przyciskiem pauzy. Pracodawca tych robotników z pewnością zdębiał, gdy się dowiedział, że ukrywał najbardziej poszukiwanego przestępcę z listy FBI.

Teoretycznie ojciec powinien był pozostać wolny na zawsze, bo wtedy nikt nie znał jego tożsamości. Matka i ja zakładałyśmy, że Jacob to jego prawdziwe imię, no bo dlaczego miałybyśmy myśleć inaczej? Nic więcej jednak o nim nie wiedziałyśmy. Zawsze uważałam, że policyjny rysownik odwalił kawał dobrej roboty, gdy przygotował portret pamięciowy, ale ojciec najwyraźniej ma jedną z tych twarzy, które niewiele różnią się od innych, bo choć nie dało się włączyć telewizora, otworzyć gazety ani przejechać drogą, nie widząc jego podobizny, to koniec końców nic to nie dało. Można by pomyśleć, że rodzice mojego ojca powinni rozpoznać syna i zgłosić się na policję, ale najwyraźniej trudno im było stanąć na wysokości zadania i przyznać, że ich dziecko jest porywaczem i mordercą.

Ludzie mówią, że ojcu znudziło się uciekanie i dlatego się ze mną skontaktował. Ja myślę, że poczuł się samotny. Brakowało mu naszego życia na mokradłach, no i mnie. Przynajmniej chciałam w to wierzyć.

Przez długi czas obwiniałam siebie o to, że schwytano ojca. Zaufał mi, a ja go zawiodłam. Powinnam była zachować większą ostrożność, ukryć prezenty w bezpieczniejszym miejscu, zacieklej walczyć o uchronienie kolekcji przed ludźmi, którzy chcieli ją wykorzystać, by go skrzywdzić.

Później, gdy zrozumiałam ogrom jego zbrodni i ich wpływ na matkę, niespecjalnie mnie martwiło, że ojciec spędzi resztę życia w więzieniu, chociaż to właśnie ja go tam posłałam. Było mi naprawdę przykro, że już nigdy nie będzie mógł mieszkać na mokradłach, polować ani łowić ryb, ale przecież miał okazję uciec z tej okolicy, na przykład na zachód, do Montany, albo na północ, do Kanady. Nikt nigdy nie pociągnąłby go do odpowiedzialności. Zostawianie prezentów, które naprowadziły policję na właściwy trop, było błędem ojca, nie moim.

\* \* \*

Wyciągam zza paska policjanta dół koszuli i wycieram słowa, które ojciec napisał na piersi trupa, po czym przewracam ciało z powrotem na brzuch, tak jak je znalazłam. Zdaję sobie sprawę z tego, że zacieram ślady, ale nie zamierzam zostawiać wiadomości na martwym policjancie ze względu na to, że i tak traktuje się mnie jak potencjalną współniczkę. Gdy wspinam się po zboczu, robi mi się niedobrze. Ojciec zabił tego mężczyznę z mojego powodu. Zostawił zwłoki, żebym je znalazła, tak jak kot zostawia na werandzie martwą mysz dla swojego właściciela.

*Dla H.* Słowa zniknęły, ale wiadomość wyryła się w moim umyśle. Trudno mi zrozumieć, jak ojciec potrafi wykorzystać niemal każdą sytuację. Przewidział, że będę go szukać na tej drodze, więc gdy zobaczył radiowóz i uznał, że samotnie prowadzący poszukiwania policjant doszedł do właściwych wniosków w niewłaściwym momencie, wywabił go z auta i doprowadził do wąwozu tylko po to, aby specjalnie dla mnie zaaranżować scenkę. Wyobrażam sobie, jak ojciec przemyka drogą przed wozem patrolowym, aby policjant dostrzegł uciekiniera, którego wszyscy szukają, zjechał na pobocze i zaparkował. Zapewne kulał, udając, że jest ranny i nie stanowi zagrożenia, a potem zataczał się, jakby był u kresu sił. Policjant dał się wyprowadzić w pole, omamiony wizją zaszczytów za pojmanie uciekiniera w pojedynkę. Ojciec okrążył funkcjonariusza i strzelił mu w plecy.

Ciekawe, co jeszcze dla mnie przygotowuje.

Docieram do drogi i idę prosto do pikapa. Otwieram drzwi od strony pasażera, wsuwam rękę i przypinam smycz do obroży Rambo, który szarpie się i skowyczy. Wyczuwa krew w powietrzu i moje napięcie. Daję mu się prowadzić na dno wąwozu, żeby wywęszył trop ojca, po czym wracamy na wzgórze. Powinam zgłosić morderstwo, pozwolić, żeby policja przejęła poszukiwania, i wracać do domu i Stephen. Jednak wiadomość na zamordowanym jest przeznaczona dla mnie.



Myślę o matce, zmarłej i zapomnianej przez większość. Myślę o córkach i o mężu, oczekującym mnie w pustym domu. To zabijanie musi się skończyć. Znajdę ojca. Schwytam go. Wsadzę z powrotem do więzienia, żeby zapłacił za wszystko, co zrobił.

## CHATA

*Mała dziewczynka otrzymała imię; nazwali ją Helgą, ale to imię było o wiele za łagodne jak na charakter tej prześlicznej istoty; miesiąc za miesiącem jej natura objawiała się coraz wyraźniej. Była piękną na zewnątrz, ale surową i bezwzględną w środku, dzikszą niż większość ludzi w tych twardych, mrocznych czasach.*

*Uwielbiała swoimi białymi rękami rozpryskiwać parującą krew zarżniętego konia ofiarnego, z dzikością przegryzała gardło czarnego koguta, którego miał zarżnąć kapłan, a do swojego przybranego ojca mówiła całkiem serio:*

*— Gdyby nadszedł twój wróg i zarzucił liny na głowice belek na twoim dachu i uniósł go nad izbą, w której byś spał, nie obudziłabym cię, choćbym mogła, bo bym tego nie usłyszała! Tak mi jeszcze krew huczy w uchu po tym, jak mnie przed laty spoliczkowałeś! Nie zapomniałam!*

*Ale wiking nie wierzył tym słowom, był tak jak inni oczarowany jej urodą. Nie wiedział też, jak zmieniała się skóra i dusza kochanej Helgi.*

H.CH. ANDERSEN  
*Córka króla moczarów*

Miałam osiem lat, gdy po raz pierwszy dostrzegłam sadystyczne skłonności ojca. Wtedy nie rozumiałam, że to, co mi robił, jest złe, i że normalni ojcowie

nie traktują swoich dzieci tak, jak ojciec czasami traktował mnie. Nie chcę, żeby ludzie mieli o nim jeszcze gorsze zdanie, ale zamierzam szczerze wyjawić, jak sytuacja wyglądała z mojego punktu widzenia, kiedy dorastałam, więc muszę uwzględnić i dobre, i złe aspekty.

Ojciec twierdził, że postanowił zamieszkać na mokradłach, bo zabił człowieka. Nigdy nie postawiono go w stan oskarżenia i nikt nie przedstawił dowodów na jego związek ze śmiercią upośledzonego mężczyzny, którego rozkładające się zwłoki znaleziono w pustej chacie na północ od Hulbert w Michigan. Czasami, opowiadając tę historię, ojciec utrzymywał, że pobił go na śmierć, kiedy indziej mówił, że poderznął mu gardło, bo nie podobało mu się, jak mężczyzna ślinił się i jąkał. W większości wersji, dokonując morderstwa, ojciec był sam, tylko w jednej z opowieści młodszy brat pomógł mu pozbyć się zwłok. Potem dowiedziałam się, że ojciec nie miał rodzeństwa. Trudno powiedzieć, czy cokolwiek na temat tej zbrodni było prawdą, czy też wymyślił wszystko dla zabicia czasu pewnego długiego zimowego wieczoru. Ojciec miał w zanadru mnóstwo opowieści.

Najlepsze zachowywał na nasze posiedzenia w *madoodiswan*, czyli łaźni, którą matka nazywała sauną. Żeby ją zbudować, ojciec rozebrał naszą frontową werandę. Miałam wtedy osiem lat. Oznajmił, że nie potrzebujemy dwóch werand, z przodu i z tyłu domu. Chociaż chata wyglądała potem dziwnie, musiałam przyznać mu rację.

Ojciec postawił naszą łaźnię, bo zmęczyło go mycie się na stojąco, a także dlatego, że chociaż nadal mieściłam się w emaliowanej niebieskiej balii, której używałam od zawsze, nie ulegało wątpliwości, że wkrótce też będę musiała w niej stać. Matka nigdy się nie kąpała, więc jej potrzeby się nie liczyły. (Nigdy nie zdejmowała ubrania ani przy ojcu, ani przy mnie, tylko wycierała się mokrą szmatką, gdy czuła taką potrzebę. Kiedyś jednak widziałam, jak rozebrana do bielizny pływa w mokradłach, sądząc, że nikogo

nie ma w pobliżu).

To był późny sierpień albo wczesny wrzesień. Nie zdołam powiedzieć nic konkretniejszego, bo nie zawsze zwracałam na to uwagę. Koniec lata to dobra pora na wznoszenie ogrodowych konstrukcji — nadal jest ciepło, ale nie ma już większości owadów. Matka była jedną z tych osób, do których insekty ciągnęły jak pszczoły do miodu. Często tak bardzo cierpiała od ukąszeń, że płakała z frustracji. Czytałam o pionierach na Syberii i Alasce, których komary doprowadzały do szaleństwa, ale mnie niespecjalnie przeszkadzają. O wiele gorsze są meszki, które lubią atakować kark albo miejsca za uszami, a ich ukąszenia bolą i swędzą całymi tygodniami. Jedno ukąszenie w kąciku oka może doprowadzić do spuchnięcia całej powieki. Wyobraźcie sobie, co się dzieje w wypadku dwóch ukąszeń. Czasem, kiedy w czerwcu rąbaliśmy drewno, roje meszek na wyrębie były tak gęste, że nie dało się odetchnąć, nie połykając jednocześnie kilku sztuk. Ojciec żartował, że dostarczają nam dodatkowego białka, ale mnie się to nie podobało, nawet jeśli w rezultacie mniej meszek miało mnie kąsać. Ukąszenia gzów bolą jak diabli, a bąki ślepaki gryzą, jeśli się im pozwoli, ale są tak przewidywalne, gdy brzęczą nad głowami, że wystarczy wybrać odpowiedni moment i klasnąć, kiedy przelatują przed twarzą, i po wszystkim. Kuczmany zazwyczaj są maleńkie jak kropka na końcu zdania, ale gryzą nieproporcjonalnie do swoich rozmiarów. Jeśli śpicie w namiocie i ciągle kąsa was coś jakby komar, ale niczego nie widzicie, to macie do czynienia z kuczmanem. Nic nie da się z nimi zrobić, można tylko schować się w śpiworze, nakryć głowę i czekać do rana. Ludzie przejmują się, że chemikalia w odstraszaczach owadów powodują raka, ale gdybyśmy mieli taki odstraszacz na mokradłach, z pewnością byśmy go używali.

Budowa łaźni była rodzinnym przedsięwzięciem. Wyobraźcie sobie, jak pewnego upalnego dnia wszyscy troje zakasujemy rękawy i bierzemy się do roboty. Podczas pracy pot spływał ojcu po plecach, a mnie kapał z czubka

nosa. Wyciągnęłam z tylnej kieszeni chusteczkę i podałam ojcu, żeby otarł sobie twarz i szyję, a wtedy zażartował, że to świetna łaźnia, bo już się pocimy. Matka segregowała drewno i układała je w sterty: deski podłogowe rzucała na jeden stos, legary na drugi, belki na trzeci. Z legarów i belek powstały słupy w rogach konstrukcji i pionowe wsporniki, a z desek podłogowych — ściany. Dach werandy ojciec zdemontował w całości. Potrzebowaliśmy tylko połowy, ale ojciec wyjaśnił, że pod wystającymi okapami możemy układać drewno na opał do naszej łaźni, żeby chronić je przed deszczem i śniegiem. *Madoodiswan* była wyposażona w ławkę pod ścianą z tyłu, żebyśmy mieli gdzie siedzieć, a ogień palił się w kręgu kamieni utworzonym z fundamentów werandy. W kuchennym piecyku paliliśmy drewnem klonowym i bukowym, ale do opalania łaźni używaliśmy cedru i sosny, bo zależało nam na gorącym, szybkim ogniu. Trudno mi było zrozumieć, jak siedzenie w maleńkim i dusznym pomieszczeniu może nas oczyścić, ale ojciec twierdził, że tak właśnie działa łaźnia, a ja mu wierzyłam.

Do mnie należało prostowanie wyciąganych przez niego gwoździ. Podobał mi się dźwięk, który wydawały, zanim puściły, całkiem jak zwierzę schwyte w pułapkę. Układałam gwoździe na płaskim kamieniu wykrzywioną stroną do góry, tak jak pokazał mi ojciec, i ostukiwałam je młotkiem, dopóki nie zrobiły się prawie całkiem proste. Najbardziej podobały mi się gwoździe o kwadratowym przekroju. Ojciec powiedział, że wykonano je ręcznie, co świadczyło o tym, że nasza chata jest bardzo stara. Zastanawiałam się, w jaki sposób powstały inne gwoździe.

Rozmyślałam też o ludziach, którzy zbudowali nasz dom. Co by poczuli, gdyby zobaczyli, jak rozbieramy jego część? Dlaczego postawili go na tym wzniesieniu, a nie tamtym, które lubiły odwiedzać jelenie? Po co skonstruowali dwie werandy zamiast jednej? Wydawało mi się, że znalazłam odpowiedzi na część tych pytań. Doszłam do wniosku, że dwie werandy

służyły do tego, by rano siedzieć z przodu domu i patrzeć na wschód słońca, a wieczorem z tyłu, żeby oglądać zachód. Uważam też, że chatę postawiono na wzniesieniu z dala od miejsca spotkań jeleni, by zwierzęta czuły się bezpieczne, dopóki właściciele chaty nie będą gotowi iść tam i któreś zastrzelić.

Potem zastanawiałam się nad mnóstwem innych rzeczy. Skąd ojciec wziął niebieski łom, którym wyciągał gwoździe? Przywiózł go ze sobą czy znalazł w chacie? Dlaczego nie miałam rodzeństwa? Jak cięliśmy drewno na opał, kiedy ojcu kończyła się benzyna do piły spalinowej? Dlaczego w naszej chacie nie było takiej kuchenki jak na zdjęciach w „National Geographic”? Matka twierdziła, że gdy była dzieckiem, jej rodzina miała dużą białą kuchenkę z czterema palnikami i piekarnikiem, więc dlaczego my z takiej nie korzystaliśmy? Zazwyczaj nie dzieliłam się z nikim tymi przemyśleniami. Ojciec nie lubił, kiedy zadawałam zbyt wiele pytań.

Kazał mi tłuc gwoździe młotkiem, zamiast je ostukiwać, co miało przyspieszyć pracę. Nie gonił nas czas, ale ojciec chciał korzystać z *madoodiswan* już tej zimy, zamiast czekać do następnej. Uśmiechnął się, kiedy to mówił, więc wiedziałam, że żartuje. Wiedziałam też, że naprawdę zależało mu na czasie, dlatego mocniej tłukłam młotkiem, zastanawiając się, czy udałoby mi się wyprostować gwóźdź jednym uderzeniem. Pogrzebałam więc w stosie, żeby znaleźć gwóźdź, który byłby tylko lekko zgięty.

Później rozmyślałam o tym, dlaczego chybiłam aż tak bardzo. Możliwe, że zerknęłam w bok, kiedy wiewiórka zrzuciła szyszkę, albo rozproszył mnie głos epoletnika krasnoskrzydłego. Możliwe, że zamrugałam, kiedy pył z trocin wpadł mi z wiatrem do oka. Niezależnie od przyczyny młotek zmiażdżył mi kciuk. Wrzasnęłam tak głośno, że rodzice natychmiast do mnie podbiegli. W ułamku sekundy kciuk spuchł i zrobił się fioletowy. Ojciec dotykał go i wyginał w różne strony, po czym oznajmił, że nie jest złamany. Matka poszła

do chaty po kawałek materiału, którym obwiązała mi palec. Nie byłam pewna, co w ten sposób chciała osiągnąć.

Przez resztę popołudnia siedziałam na wielkim kamieniu na podwórzu i jedną ręką wertowałam „Geographiki”. Gdy słońce osiadło niczym pomarańczowa piłka na trawie porastającej mokradła, matka weszła do domu, żeby nałożyć na talerze potrawkę z królika, której zapach kusił mnie od wielu godzin. Gdy zawołała nas na kolację, ojciec odłożył narzędzia i na mokradłach ponownie zapadła cisza.

Przy naszym kuchennym stole stały trzy krzesła. Zastanawiałam się, czy rodzina, która zbudowała chatę, też liczyła trzy osoby.

Podczas posiłku milczeliśmy, bo ojciec nie lubił rozmów z pełnymi ustami. Kiedy skończył jeść, odsunął krzesło, obszedł stół i stanął obok mnie.

— Pokaż kciuk — zażądał.

Położyłam rękę na stole i rozsunęłam palce. Ojciec rozwiązał materiał.

— Boli?

Skinęłam głową. Tak naprawdę kciuk już nie bolał, jeśli się go nie dotykało, ale byłam zadowolona, że zwróciłam na siebie uwagę ojca.

— Nie jest złamany, ale mógłby być. Rozumiesz to, Heleno, prawda?

Znów skinęłam głową.

— Musisz bardziej uważać. Przecież wiesz, że na mokradłach nie ma miejsca na błędy.

Skinęłam głową po raz trzeci i usiłowałam zrobić równie poważną minę jak on. Ojciec wielokrotnie powtarzał, że bym zachowywała ostrożność i że jeśli się zranię, będę musiała ponieść konsekwencje, bo nie opuścimy mokradeł choćby nie wiem co.

— Przepraszam — odparłam cienkim głosem.

Nie cierpiałam, kiedy ojciec był ze mnie niezadowolony.

— Przepraszam to za mało. Wypadki zawsze mają konsekwencje. Nie jestem

pewien, co zrobić, żebyś to zapamiętała.

Ścisnęło mnie w żołądku i poczułam się tak, jakbym połknęła kamień. Miałam nadzieję, że nie każe mi spędzać kolejnej nocy w studni. Zanim jednak zdążyłam powiedzieć, że naprawdę, ale to naprawdę bardzo przepraszam i że na pewno będę ostrożna i już nigdy, przenigdy nie przyłożę sobie młotkiem w palec, ojciec zacisnął pięść i rąbnął mnie z całej siły w kciuk. Pokój eksplodował gwiazdami, a moją dłoń przeszył przeraźliwy ból.

Ocknęłam się na podłodze. Ojciec klęczał obok. Podniósł mnie, posadził na krześle i wręczył mi łyżkę. Gdy ją brałam, ręka mi się trzęsła. Kciuk bolał o wiele bardziej niż wtedy, gdy stuknęłam w niego młotkiem. Zamrugałam, próbując powstrzymać łzy. Ojciec nie lubił, kiedy płakałam.

— Jedz — zażądał.

Czułam, że zaraz zwymiotuję. Zanurzyłam łyżkę w misce i przełknęłam kęs. Potrawka została w żołądku. Ojciec pogłaskał mnie po głowie.

— Jeszcze raz.

Połknęłam kolejną łyżkę i następną. Ojciec stał koło mnie, dopóki nie zjadłam całej miski.

Teraz rozumiem, że postępował źle, ale i tak uważam, że nie chciał mnie skrzywdzić. Po prostu zrobił to, co w swoim przekonaniu uważał za konieczne, żeby nauczyć mnie wszystkiego, co musiałam wiedzieć.

Jeszcze bardzo długo nie rozumiałam, jak matka mogła spokojnie patrzeć na ten incydent, maleńka i bezużyteczna jak królik, którego podała na kolację. Nie kiwnęła palcem, żeby mi pomóc. Musiało minąć mnóstwo czasu, zanim jej przebaczyłam.

Tamtej zimy, gdy spędzaliśmy czas w naszej nowej łaźni, ojciec opowiedział pewną historię. Siedziałam między nim a matką na wąskiej ławce. Matka miała na sobie T-shirt z Hello Kitty i majtki. Ja i ojciec byliśmy nadzy, jeśli nie liczyć wypolerowanego agatu z Jeziora Górnego, który ojciec nosił na



rzemyku na szyi. Lubiłam, kiedy zdejmował ubranie, bo wtedy mogłam oglądać wszystkie jego tatuaże. Ojciec tatuował się po indiańsku, z użyciem ości i sadzy. Obiecał mi, że też zacznie mnie tatuować, kiedy skończę dziewięć lat.

— Pewnej zimy nowożeńcy przenieśli się z całą wioską na nowy teren łowiecki — zaczął ojciec, a ja przysunęłam się bliżej. Wiedziałam, że to będzie straszna historia, innych nie opowiadał. — Tam urodziło im się dziecko. Któregoś dnia, gdy spoglądali na swojego syna w kołysce, on przemówił. „Gdzie jest ten *Manitou*?”, zapytał.

Ojciec przerwał i popatrzył na mnie.

— *Manitou* to Duch Nieba — odparłam.

— Bardzo dobrze — oznajmił. — „Podobno jest bardzo potężny”, powiedziało dziecko. „Któregoś dnia go odwiedzę”. „Cicho”, odezwała się matka chłopca. „Nie wolno ci tak mówić”. Potem para zasnęła, a syn spał w kołysce między nimi. W środku nocy matka odkryła, że dziecka nie ma. Obudziła męża, który rozpałił ognisko. Szukali chłopca po całym wigwamie, jednak niczego nie znaleźli. Przeszukali też wigwam sąsiada, a potem zapalili pochodnie z kory brzoźowej i wypatrywali śladów na śniegu. W końcu znaleźli rząd maleńkich śladów prowadzących do jeziora, więc poszli za nimi i natrafili na kołyskę. Ślady prowadzące z niej do jeziora były o wiele większe od ludzkich stóp. Przerażeni rodzice uświadomili sobie, że ich dziecko zamieniło się w *wendigo*, okropnego lodowego potwora, który zjada ludzi.

Ojciec zanurzył kubek w wiadrze z wodą i pokropił nią blaszany talerz ustawiony na ogniu. Krople zaskwierczały i zatańczyły na blasze, para wypełniła pomieszczenie. Woda spływała mi po twarzy i kapłała z brody.

— Jakiś czas później *wendigo* zaatakował wioskę — ciągnął ojciec. — Potwór był bardzo chudy i straszny. Zalatywał trupem i rozkładem, kości

sterczały mu pod skórą szarą jak śmierć. Miał popękane, krwawiące usta, a oczy głęboko zapadnięte w oczodołach. Był bardzo wielki. *Wendigo* nigdy nie jest usatysfakcjonowany po zabiciu i pożarciu człowieka. Ciągłe szuka nowych ofiar. Za każdym razem, gdy kogoś zje, rośnie, więc nigdy nie potrafi się nasycić.

Na zewnątrz rozległ się hałas, coś jakby odgłos skrobania. Zupełnie jakby gałąź ocierała się o ścianę łaźni, tyle tylko, że nasza *madoodiswan* stała pośrodku polanki i nie sięgała do niej żadna gałąź. Ojciec przechylił głowę. Czekaliśmy, ale skrobanie się nie powtórzyło.

Ojciec się pochylił. Blask ognia oświetlał mu brodę tak, że górna część jego twarzy pozostawała w cieniu.

— Gdy *wendigo* zbliżył się do wioski, mali ludzie chroniący *manitou* wybiegli potworowi na spotkanie. Jeden z nich rzucił w niego kamieniem, który zamienił się w błyskawicę i trafił *wendigo* w czoło. Martwy potwór upadł z łoskotem walącego się wielkiego drzewa, a gdy leżał w śniegu, wyglądał jak duży Indianin. Kiedy jednak ludzie zaczęli go rąbać na kawałki, okazało się, że tak naprawdę jest ogromną bryłą lodu. Rozpuścili lód i w środku znaleźli maleńkie niemowlę z dziurą w głowie, tam gdzie trafił je kamień. To było dziecko zamienione w *wendigo*. Gdyby *manido* go nie zabił, *wendigo* pożarłby całą wioskę.

Zadrżałam. W migotliwym świetle ognia zobaczyłam dziecko z dziurą w głowie i jego rodziców płaczących nad strasliwym losem, który spotkał ich zbyt ciekawską pociechę. Woda kapała przez szczeliny w dachu, spływając mi po karku lodowatym strumieniem.

Na zewnątrz ponownie rozległo się skrobanie, usłyszałam też ciężkie dyszenie, jakby istota za ścianą długo biegła, zanim dotarła do naszego wzniesienia. Ojciec wstał, niemal dotykał głową sufitu i rzucał gigantyczny cień. Z pewnością mój ojciec-szaman zdołałby stawić czoło temu, co czaiło

się na zewnątrz. Obszedł palenisko i otworzył drzwi, a ja zamknęłam oczy i przylgnęłam do matki, gdy do łaźni wpadło zimne powietrze.

— Otwórz oczy, Heleno! — rozkazał mi ojciec straszliwym głosem.  
— Patrz! Tu masz swojego *wendigo*!

Jeszcze mocniej zacisnęłam powieki i podkuliłam nogi na ławce. W łaźni znajdował się *wendigo*, wyraźnie go czułam i słyszałam, jak sapie, roztaczając okropny, paskudny smród. Wrzasnęłam, gdy coś zimnego i mokrego dotknęło mojej stopy.

Ojciec wybuchnął śmiechem, usiadł obok mnie i posadził mnie sobie na kolanach.

— Otwórz oczy, *Bangii-Agawaateyaa* — zwrócił się do mnie wymyślonym przez siebie przydomkiem, który oznaczał Mały Cień.

Posłusznie otworzyłam oczy.

Dziw nad dziwy, to nie *wendigo* trafił do naszej łaźni, tylko pies. Wiedziałam, że to pies, ponieważ oglądałam zdjęcia w „Geographicach”, a poza tym miał krótką, nakrapianą sierść, która ani trochę nie przypominała futra kojota czy wilka. Uszy mu zwisały, a kiedy wciskał nos między palce moich stóp, jego ogon uderzał na boki.

— Siadaj! — zakomenderował ojciec.

Nie byłam pewna, dlaczego to powiedział, bo przecież siedziałam. Dopiero w następnej chwili uświadomiłam sobie, że ojciec zwrócił się do psa. Co więcej, pies go zrozumiał, posłusznie przysiadł na zadzie i z przechylnym na bok łbem spojrzął na ojca, jakby chciał oznajmić: *W porządku. Załatwione. Co teraz?*

Matka wyciągnęła rękę i podrapała psa za uszami. Nie widziałam, żeby kiedykolwiek zdobyła się na równie odważny gest. Pies zaskowytał i podszedł bliżej do matki. Wstała i narzuciła ręcznik na ramiona.

— Chodź — powiedziała do psa, a on za nią potruczał.

Nigdy nie byłam świadkiem czegoś podobnego. Mogłam myśleć tylko o tym, że matka ukradła ojcu część szamańskiej magii.

Matka chciała, żeby pies spędził noc z nami w chacie, ale ojciec się roześmiał i oznajmił, że zwierzęta powinny mieszkać na zewnątrz. Potem zawiązał sznurek na szyi psa i zaprowadził go do drewnutni.

Jeszcze długo po tym, jak sprężyny łóżka przestały skrzypieć pod rodzicami, stałam w oknie swojego pokoju, wyglądając na podwórze. Odbijający się od śniegu blask księżyca zmienił noc w jasny dzień. Przez szczeliny w drewnutni widziałam, że pies się porusza. Postukałam paznokciem w szybę, a wtedy pies przestał się kręcić i podniósł na mnie wzrok.

Otuliłam się kocem i cichutko zeszałam po schodach. Na zewnątrz było zimno i spokojnie. Usiadłam na schodkach i włożyłam buty, po czym ruszyłam przez podwórze do drewnutni. Pies był przywiązany do żelaznego pierścienia w głębi. Stałam na progu i wyszeptałam indiańskie imię, które nadał mu ojciec. Pies zamerdał, tłukąc dookoła ogonem, a ja przypomniałam sobie opowieść ojca o tym, jak Pies przybył do ludu Ojibwa. Jak olbrzym, który dał schronienie myśliwym zagubionym w lesie, podarował im swojego ulubionego Psa, żeby chronił ich przed *wendigo* w drodze powrotnej. Jak Pies pozwolił ludziom się głaskać, brał jedzenie z ich rąk i bawił się z ich dziećmi.

Weszłam do środka i usiadłam na suszonych liściach pałki, które matka rozłożyła na ziemi dla psa. Ponownie wyszeptałam jego indiańskie imię: „Rambo”, a on znów zamerdał. Zbliżyłam się i wyciągnęłam rękę. Pies też się wyciągnął i powąchał moje palce. Powolutku przybliżyłam się jeszcze trochę i położyłam dłoń na jego łbie. Skoro matka miała dość odwagi, żeby go dotknąć, ja też mogłam. Pies wysunął głowę spod mojej dłoni. Zanim zdążyłam ją cofnąć, wystawił język i polizał mnie po palcach. Jego język był szorstki i miękki. Znów położyłam rękę na łbie psa, a on polizał moją twarz.

Kiedy się obudziłam, światło wpadało przez szczeliny drewnutni. Było tak

zimno, że widziałam swój oddech. Rambo przytulał się do mnie. Pociągnęłam za róg koca i przykryłam śpiącego psa, a on tylko westchnął.

Czuję fizyczny ból na myśl o tym, jak bardzo kochałam tego psa. Przez resztę jesieni aż do czasu, kiedy zimą zrobiło się zbyt mroźnie, spałam obok Rambo w drewnutni. Ściany były zbite z desek i nie chroniły przed wiatrem, więc przyszykowałam schronienie z drewna na opał i zawiesiłam koce na ścianach i u góry, tworząc coś w rodzaju fortu, podobnego do tych, które Stephen i dziewczynki budują w salonie z poduszek i siedzisk z kanapy.

Rambo znał podstawowe komendy — „do nogi”, „siad” i „zostań” — ale o tym nie wiedziałam, więc stopniowo uczyłam się jego języka, tak jak on uczył się mojego. Gdy przerywał tropienie królika albo żucie rogu jelenia, albo dawał spokój pręgowcowi i przychodził lub siadał na moją komendę, czułam się potężna niczym szaman.

Ojciec nienawidził mojego psa. Wtedy nie potrafiłam zrozumieć dlaczego, przecież Indianie i psy podobno się przyjaźnili. Gdy Rambo próbował biec za ojcem, ten go kopał, bił kijem albo na niego wrzeszczał. Kiedy akurat nie bił Rambo, ciągle narzekał, że to jeszcze jedna gęba do wykarmienia. Nie rozumiałam, dlaczego to miałoby stanowić problem. Ojciec twierdził, że Rambo to pies na niedźwiedzie, który się zgubił podczas polowania. Sezon na niedźwiedzie jest w sierpniu, a mieliśmy środek listopada, co oznaczało, że Rambo przez kilka miesięcy doskonale dawał sobie radę sam. Rzuciałam mu wyłącznie niepotrzebne resztki jedzenia. Dlaczego ojcu przeszkadzało, że Rambo zjadał kości i podroby, które i tak byśmy wyrzucili?

Teraz rozumiem, że ojciec nienawidził mojego psa ze względu na swój narcyzm. Narcyz jest szczęśliwy tylko wtedy, gdy wszystkim steruje i cały świat kręci się wokół niego. Plan ojca na nasze życie na mokradłach nie zakładał obecności zwierząt domowych, dlatego ojciec postrzegał psa wyłącznie jako problem.

Myślę też, że widział w Rambo zagrożenie. Początkowo wspaniałomyślnie pozwalał mi trzymać psa, kiedy jednak z czasem pokochałam Rambo równie czystą miłością jak jego, zrobił się zazdrosny, bo uznał, że musi dzielić się z psem moją miłością. Ona jednak wcale nie była podzielona, lecz przeciwnie, było jej teraz więcej. Uczucie do psa nie osłabiło uczucia do ojca. Można kochać więcej niż jedną osobę. Rambo mnie tego nauczył.

Myślę, że właśnie z powodu psa ojciec przepadł następnej wiosny. Jednego dnia był z nami w chacie, a następnego już nie. Matka i ja nie miałyśmy pojęcia, dokąd się udał i w jakim celu, ale już wcześniej wiele razy zdarzało się, że znikał na kilka godzin, na cały dzień czy nawet, raz na jakiś czas, na noc. Nic nie wskazywało, że tym razem będzie inaczej, dlatego robiłyśmy to, co zawsze. Matka dźwigała wodę i dorzucała do ognia, a ja rąbałam drewno i sprawdzałam wnyki, które w większości wypadków okazały się puste. Króliki rozmnażają się na wiosnę, więc w tym czasie głównie siedzą w norach i trudniej je złapać. Spróbowałabym zapolować na jelenia, tyle że ojciec zabrał strzelbę. Jadłyśmy przede wszystkim warzywa z piwnicy. Wiele razy miałam ochotę wziąć siekiere ojca i rozwalić drzwi do spiżarni, żebyśmy mogły dobrać się do zapasów, ale potem uświadamiałam sobie, co mi robi ojciec, gdy wróci i to zobaczy, więc dawałam sobie spokój. Kiedy Rambo dokopał się do miotu królików, my również je zjadłyśmy.

Dwa tygodnie później ojciec powrócił równie nieoczekiwanie, jak zniknął. Wmaszerował na wzniesienie, pogwizdując pod nosem, ze strzelbą na ramieniu i kaczeńcem wystającym z worka, jak gdyby nigdy nic. Przyniósł torbę soli dla matki i agat z Jeziora Górnego, niemal identyczny jak ten, który sam nosił — to był prezent dla mnie. Nie powiedział, gdzie był i co robił, a my nie pytałyśmy. Cieszyłyśmy się, że wrócił.

W następnych tygodniach wszyscy wypełnialiśmy swoje obowiązki, jakby nic się nie zmieniło, ale się zmieniło. Wtedy, po raz pierwszy w całym swoim

życiu, zdołałam sobie wyobrazić świat bez ojca.

## 13

Jadę drogą i jak płomykówka kręcę głową, wypatrując śladów obecności ojca. Sama nie wiem, co spodziewam się znaleźć. Z pewnością nie oczekuję, że skręcę i zobaczę, jak ojciec stoi pośrodku jezdni i macha, żebym się zatrzymała. Pewnie się dowiem, na co liczę, kiedy to zobaczę.

Smycz Rambo przymocowałam do uchwytu nad drzwiami od strony pasażera. Zwykle nie przywiązuję psa podczas jazdy pikapem, ale Rambo jest równie zdenerwowany jak ja, marszczy nos, drżą mu mięśnie. Co jakiś czas unosi łeb i zawodzi, jakby złapał trop mojego ojca. Za każdym razem, gdy to robi, zaciskam ręce i czuję ucisk w żołądku.

W trakcie jazdy dużo myślę o Stephenie i o naszej wczorajszej kłótni. O tym, że wrócił dziś rano i że chce mnie wspierać, niezależnie od wszystkiego, co mu zrobiłam. Zastanawiam się nad rolami, które odgrywamy w naszym związku — ja obrońcy, Stephen wychowawcy — i nad tym, że swego czasu uważałam to za problem.

Oczywiście myślę o dniu, w którym się poznaliśmy na festiwalu borówek, bez wątpienia z woli bogów. Gdy rozstawiłam na stole słoiki i zawiesiłam z przodu tabliczkę, przyglądałam się, jak Stephen rozbija namiot dokładnie naprzeciwko mojego. Szczerze mówiąc, większe wrażenie zrobiła na mnie aranżacja przestrzeni niż zdjęcia. Rozumiem, że fotografie latarni morskich są popularne wśród turystów, bo liczące ponad cztery i pół tysiąca kilometrów wybrzeże Michigan ma więcej latarni niż jakikolwiek inny stan, ale i tak trudno mi pojąć, dlaczego ktoś chciałby wieszać sobie takie zdjęcie na ścianie.

Nigdy nie weszłabym do tego namiotu, ale kiedy mijałam go w drodze do



przenośnej toalety, zerknęłam do środka i zobaczyłam zdjęcie niedźwiedzia. Rozwożąc dzemy, widuję w sklepach z pamiątkami mnóstwo fotografii i pocztówek przedstawiających niedźwiedzie, ale tym razem coś przykuło moją uwagę. Może chodziło o oświetlenie albo o kąt, pod którym Stephen zrobił zdjęcie — trudno powiedzieć. Wiem tylko, że błysk w oku zwierzęcia i jego wysunięta szczeka wywarły na mnie wrażenie.

Przystanąłam, a kiedy Stephen uśmiechnął się do mnie, weszłam do środka. Po przeciwnej stronie drucianej siatki ze zdjęciami latarni morskich wisały fotografie, które chwyciły mnie za serce: czaple i bąki amerykańskie, orły i norki, wydry, bobry i jaskółki. Wszystkie zwierzęta mojego dzieciństwa, sfotografowane w taki sposób, by uwypuklić ich niepowtarzalne cechy oraz osobowość, całkiem jakby Stephen potrafił zajrzeć im w dusze. Kupiłam zdjęcie niedźwiedzia, Stephen wykupił wszystkie dzemy, które mi zostały, a reszta, jak to mówią, jest milczeniem.

Wiem, co widziałam w Stephenie. Nadal nie jestem pewna, co takiego on zobaczył we mnie, ale staram się za dużo o tym nie myśleć. Stephen jest jedynym człowiekiem na tej planecie, który mnie wybrał i który kocha mnie nie z przymusu, tylko dlatego, że chce. Jest darem dla mnie od wszechświata za to, że przetrwałam.

Znowu myślę o wszystkich tych latach i okazjach do wyjawienia mu, kim jestem, o wszystkich tych niewykorzystanych momentach. Zastanawiam się nad tym, co poświęciłam, żeby utrzymać w tajemnicy swoją tożsamość. Musiałam trzymać się z dala od ojca. Tuż po porodzie pragnęłam pokazać Iris matce, ale to nie wchodziło w grę. Wiele razy, gdy mówiłam lub robiłam coś nietypowego, Stephen patrzył na mnie, jakbym postradała zmysły, a ja nie mogłam mu wytłumaczyć, dlaczego tak się dzieje. Wszystko byłoby o wiele łatwiejsze, gdybym wyjawiała prawdę.

Dziesięć minut później parkuję na poboczu. Rambo kładzie łapy na występie

pod oknem i przyciska nos do szyby, jakby myślał, że go wypuszczę, ale tym razem to ja muszę iść za potrzebą. Chowam się w pobliskich zaroślach i rozpinam dzinsy. W zasadzie nikt tędy nie jeździ, ale nigdy nie wiadomo. Ojciec i ja nie dbaliśmy o prywatność podczas polowań czy wędkowania, gdy trzeba było odpowiedzieć na zew natury, jednak ludzie są przewrażliwieni na tym punkcie.

Prawie kończę, gdy Rambo kilka razy szczeka, ostro i ostrzegawczo, co oznacza, że coś zauważył. Zapinam dzinsy, chwytam magnum i z bronią w obu rękach padam na brzuch, spoglądając przez krzaki.

Nic. Czołgam się pod osłoną wiatru, żeby popatrzeć na pikapa z innej perspektywy. Podejrzewałam, że po drugiej stronie ktoś kuca, ale wszystko jest w porządku. Powoli liczę do dwudziestu, a kiedy nic się nie zmienia, wstaję. Na mój widok Rambo zaczyna szczekać i drapać, żeby wyjść. Podchodzę do samochodu i uchylam drzwi od strony pasażera, żeby wsunąć dłoń do środka, po czym łapię Rambo za obrozę i odwiązuję smycz od uchwytu. Pies jest w takim stanie, że gdybym puściła go luzem, nie zobaczyłabym go przez kilka dni, może nigdy. Pierwszy Rambo w ten właśnie sposób pojawił się na naszym wzniesieniu.

Wyskoczywszy z samochodu, ciągnie mnie do pieńka sterczącego z ziemi jakieś sześć metrów od miejsca, w którym się załatwiłam. Rambo warczy i kręci się wokół pnia tak, jakby zagonił na drzewo wiewiórkę lub szopa. Tyle że nie ma tam żadnej wiewiórki, za to na samym środku pieńka leży agat z Jeziora Górnego.

## CHATA

*Żona wikinga odczuwała z tego powodu strach i smutek, a jednak jej serce trwało przy biednym stworzeniu; nie sądziła, że będzie mogła o jego naturze powiedzieć mężowi, gdy wkrótce wróci do domu, bo zgodnie z obyczajem na pewno położyłby dziecko na ruchliwej drodze, żeby je sobie wziął, kto zechce. Tego ta porządna kobieta nie miała sumienia zrobić; mąż będzie widywał dziecko tylko w jasny dzień.*

*Przybrana matka miała właściwie więcej serca do biednej, głęboko wzdychającej żaby o poważnych oczach niż do wierzgającej i kłającej ślicznotki.*

H.CH. ANDERSEN  
*Córka króla moczarów*

Moje dzieciństwo zakończyło się w dniu, w którym ojciec próbował utopić matkę. To była moja wina. Cały incydent zaczął się dość niewinnie i choć absolutnie nie mogłam przewidzieć jego skutków, fakt pozostaje faktem. Trudno pogodzić się z czymś takim. Nawet teraz zbiera mi się na wymioty, kiedy słyszę w radiu piosenkę o wraku „Edmunda Fitzgeralda” albo w serwisie informacyjnym podawana jest wiadomość, że prom czy statek wycieczkowy wywróciły się do góry dnem, albo że jakaś matka wepchnęła do jeziora samochód pełen małych dzieci.

— Widziałam poletko poziomek na wzniesieniu obok — powiedziałam do matki pewnego poranka pod koniec czerwca.

Miałam wtedy jedenaście lat. Rozmawiałyśmy o poziomkach, bo matka się skarżyła, że owoce, które zebrałam na naszym wzniesieniu, w żadnym razie nie wystarczą na taką ilość dżemu, jaką planowała przygotować.

Aby lepiej zrozumieć to, co zdarzyło się później, musicie wiedzieć, że kiedy powiedziałam matce o „wzniesieniu obok”, doskonale wiedziała, co mam na myśli. Biali lubią nadawać miejscom geograficznym nazwy upamiętniające ich samych lub innych ważnych ludzi, ale my stosowaliśmy się do indiańskiej tradycji i nazywaliśmy okolice zgodnie z ich przeznaczeniem albo bliskością. Wzniesienie obok. Cedry, pod którymi chętnie gromadzą się jelenie. Mokradło, na którym rośnie wapato. Miejsce, gdzie Jacob zastrzelił orła. Skała, na której Helena rozcięła głowę. W języku Ojibwa rzeka Tahquamenon nazywa się *Adikamegongziibi*, „rzeka, w której pływają łososie”. Nadal uważam, że indiańska tradycja ma więcej sensu.

— Nazbierasz ich dla mnie? — zapytała matka. — Jeśli teraz przestanę mieszać, dżem nie zastygnie.

Właśnie dlatego to moja wina, że ojciec omal nie utopił matki. Chciałam się zgodzić. Od pływania kanoe ojca wołałam tylko polowanie na jelenie albo zastawianie pułapek na bobry. W innych okolicznościach podskoczyłabym z radości po takiej propozycji i do teraz bardzo żałuję, że tego nie zrobiłam. Rzecz w tym, że w wieku jedenastu lat coraz częściej musiałam podkreślać swoją ważność, więc pokręciłam głową.

— Idę na ryby — oznajmiłam.

Matka spoglądała na mnie długo, jak gdyby chciała coś powiedzieć, ale nie mogła. W końcu z ciężkim westchnieniem przesunęła garnek na tył piecyka, podniosła koszyk z wierzbowych witek, jeden z tych, które ojciec wyplół zimą, po czym wyszła z domu.

Gdy tylko zatrzasnęły się za nią siatkowe drzwi, skropiłam gorącym syropem poziomkowym talerz herbatników z poprzedniego dnia, nalałam sobie kubek cykoriowej kawy i zaniiosłam śniadanie na werandę. Robiło się coraz cieplej. Na Górnym Półwyspie zima trwa bez końca, wiosna ciągnie się niemiłosiernie, aż tu nagle człowiek się budzi pewnego ranka w środku czerwca i widzi, że jest lato. Rozpięłam sprzączki ogrodniczek, zdjęłam koszulę, po czym podwinęłam nogawki spodni najwyżej jak się dało. Poważnie rozważałam, czy ich nie obciąć i nie zrobić sobie szortów, ale to były moje największe spodnie i wiedziałam, że z nadejściem zimy będę potrzebowała nogawek.

Prawie skończyłam jeść i już miałam zakraść się do kuchni po dokładkę, kiedy ojciec wrócił na wzgórze z wiadrami wody w rękach. Postawił oba na werandzie i usiadł obok mnie. Poczęstowałam go ostatnim herbatnikiem, wylałam reszkę cykorii na ziemię i zanurzyłam kubek w jednym z wiader. Woda była zimna i czysta. Czasem nabierały się z nią do wiadra larwy komarów, a wtedy patrzyliśmy, jak kręcą się i rzucają niczym ryby wyrzucone na ląd. W takich wypadkach zanurzaliśmy kubki obok albo palcem wyprztykiwaliśmy larwy z wody. Pewnie należałoby ją przegotować, ale spróbujcie powstrzymać się od wypicia smacznej chłodnej wody z mokradeł w upalny letni dzień. Tak czy inaczej, nigdy się nie rozchorowaliśmy, za to przez dwa lata po opuszczeniu mokradeł matka i ja kaszlałyśmy i pociągałyśmy nosami. To jest właśnie zaleta życia w odosobnieniu, o której nikt nie myśli — brak zarazków. Zawsze wydaje mi się dziwne, kiedy ludzie mówią, że się przeziębili, bo wyszli na dwór bez czapki lub kurtki. Zgodnie z tą logiką powinno się dostawać gorączki latem, kiedy jest za gorąco.

— Gdzie matka? — spytał ojciec niewyraźnie, przeżuając herbatnik z syropem.

Chciałam zapytać, dlaczego jemu wolno mówić z pełnymi ustami, a mnie

i matce nie, ale wolałam nie psuć tej chwili. W naszej rodzinie nie było zbyt dużo fizycznego kontaktu i podobało mi się, że mogę siedzieć obok ojca na górnym schodku i że dotykamy się biodrami i kolanami niczym syjamskie bliźnięta.

— Poszła nazbierać poziomek — odparłam dumnie, zadowolona, że dzięki mnie tego lata będziemy mieli mnóstwo poziomkowego dzemu. — Znalazłam poziomkowy zakątek na wzniesieniu obok.

Matka zdążyła już dotrzeć do wyrębu u podnóża naszego wzniesienia. Na samym dole wyrębu ojciec trzymał kanoe w zagłębieniu o kształcie litery V.

Ojciec zmrużył oczy, zerwał się z werandy i rzucił biegiem w dół wzgórza. Nigdy nie widziałam, żeby tak szybko się poruszał. Nie miałam pojęcia, co się wydarzy, i nie przyszło mi do głowy, że skorzystanie z kanoe przez matkę mogłoby być problemem. Naprawdę sądziłam, że ojciec chciał jej tylko pomóc, chociaż zawsze twierdził, że zbieranie owoców leśnych to zajęcie dla kobiet i dzieci.

Dogonił ją, gdy odbijała od brzegu, i rzucił się do wody. Zamiast jednak wskoczyć do łódki, jak się spodziewałam, chwycił matkę za włosy, wyciągnął ją z kanoe i nie zważając na jej wrzaski, powłókł na sam szczyt wzgórza. Na naszej werandzie z tyłu domu wpakował jej głowę do jednego z wiader z wodą i przytrzymał, podczas gdy matka szamotała się i drapała. Po pewnym czasie zwiotczała i myślałam, że nie żyje. Gdy ojciec ją wyszarpnął, krztuszącą się i parszczącą, z mokrą twarzą i włosami, jej dzikie spojrzenie i mina świadczyły o tym, że też była o tym przekonana.

Ojciec cisnął matkę na podłogę i odszedł. Minęło dobrych parę minut, zanim się pozbierała, uklękła i na czworakach popęzła do chaty. Siedziałam na dużym kamieniu na podwórzu i wpatrywałam się w wodę, której smugi pozostawiła po sobie matka. Zawsze obawiałam się ojca, ale do tamtej chwili darzyłam go podziwem. Bałam się jego niezadowolenia, ale nie ze strachu

przed karą, tylko dlatego, że nie chciałam go rozczarować. Teraz przeraziło mnie, gdy zobaczyłam, że prawie utopił matkę — zwłaszcza że nie rozumiałam, dlaczego chciał ją zabić ani co złego zrobiła. Nie wiedziałam wtedy, że matka jest jego więźniem i że naprawdę mogła zdecydować się na ucieczkę. Na jej miejscu odtąd za wszelką cenę usiłowałabym zwać porywaczowi, ale po opuszczeniu mokradeł nauczyłam się, że każdy człowiek jest inny. Jedni nie potrafią się zdobyć na zrobienie czegoś, co dla drugich jest koniecznością.

Tak czy owak, właśnie dlatego mam problem z utonięciami.

\* \* \*

Zanim ojciec spróbował utopić matkę, lubiłam zastawiać pułapki na bobry. Niecały kilometr od naszej chaty w górę rzeki Tahquamenon znajdowało się bobrowe rozlewisko. Ojciec łapał bobry w grudniu i styczniu, kiedy ich futro było najwyższej jakości. Chodził wzdłuż brzegów rozlewiska, wypatrując miejsc, w których wylaniały się w poszukiwaniu świeżego powietrza i słońca. Zastawiał tam sidła, między innymi takie, w których utyka noga zwierzęcia. Zakładam, że rozlewisko nadal tam jest, ale kto wie? Ludzie z departamentu zasobów naturalnych czasami wysadzają bobrowe tamy, jeśli któraś z nich zakłóca pożądany bieg rzeki albo w taki czy inny sposób stwarza problemy człowiekowi. Wartość szkód powodowanych przez bobry każdego roku sięga milionów dolarów, więc departament bardzo poważnie podchodzi do swoich obowiązków. Straty w drewnie, zrujnowane uprawy, podtopione drogi, zalana kanalizacja, nawet zniszczenia roślin ozdobnych w podmiejskich ogrodach uważa się za wystarczające powody, by wysadzać tamy w powietrze. Potrzeby bobrów się nie liczą.

Nasze rozlewisko powstało, kiedy bobry zablokowały jeden z mniejszych, nienazwanych dopływów Tahquamenon. Największa znana tama bobrowa ma

prawie kilometr długości. Gdybyście próbowali to sobie wyobrazić, jest dwa razy dłuższa od tamy Hoovera, co robi wrażenie, biorąc pod uwagę, że pod względem rozmiarów i wagi dorosły samiec bobra przypomina dwuletnie dziecko. Nasza tama była o wiele mniejsza. Przechadzałam się po niej, rzucając kamienie i patyki do rozlewiska albo łowiąc bassy wielkogębowe. Niekiedy siadywałam z nogami zwieszonymi po suchej stronie i pogryzałam jabłko. Podobało mi się, że to siedlisko stworzyły zwierzęta, które w nim żyły. Czasem niszczyłam kawałeczek tamy, żeby sprawdzić, ile czasu zajmie bobrom jej naprawienie.

Poza bobrami w naszym rozlewisku mieszkało wiele gatunków ryb, wodnych owadów i ptaków, między innymi kaczki, czaple modre, zimorodki, mergusy i bieliki amerykańskie. Żałujcie, jeśli nigdy nie widzieliście, jak bielik niczym kamień spada z nieba wprost na nieruchomą wodę i odlatuje ze szczupakiem albo sandaczem amerykańskim w szponach.

Po tym, jak ojciec usiłował utopić matkę, musiałam zrezygnować z zastawiania pułapek na bobry. Zabijanie zwierząt nie stanowiło dla mnie problemu, o ile było konieczne i przeprowadzone z szacunkiem, ale wnyki chwyciły bobry za nogi i zabijały, wciągając je pod wodę i przytrzymując, a na myśl o topieniu robiło mi się niedobrze.

Jeszcze bardziej niż topienie bobrów przejmowało mnie to, że nie rozumiałam, dlaczego ojciec wciąż na nie poluje. Nasza szopa pełna była futer norek, bobrów, wyder, lisów, kojotów, wilków, piżmaków i gronostajów. Ojciec uczył mnie, że szacunek dla zabijanych zwierząt jest bardzo ważny, że powinniśmy się zastanowić, zanim pociągniemy za spust, i że marnotrawstwo jest złe. Nie należy zabijać pierwszego zwierzęcia, na które się natrafi, bo być może to jedyne takie, jakie zobaczymy przez cały dzień, a to oznacza, że liczebność gatunku jest niewielka i trzeba na jakiś czas dać mu spokój. Mimo tych deklaracji każdego roku dokładał nowe futra do stosów. Kiedy byłam



bardzo mała, sądziłam, że pewnego dnia ojciec załaduje je do kanoe, popłynie w górę rzeki, po czym przehandluje futra, tak jak to robili Francuzi i Indianie. Liczyłam na to, że zabierze mnie ze sobą, ale po tym, jak próbował utopić matkę, ogarnęły mnie wątpliwości co do futer. Wiedziałam, że to, co zrobił matce, było złe. Może przesada w zastawianiu sideł też była zła. I jaki to miało sens, skoro w ostatecznym rozrachunku ojciec tylko kładł futra na sterty wyższe ode mnie?

Rozmyślałam o takich sprawach, siedząc na werandzie za domem, po kolacji, gdy lato ustępowało pola jesieni, i przeglądając „Geographiki”, aż robiło się zbyt ciemno, żebym zdołała cokolwiek zobaczyć. Liczyłam na to, że znajdę artykuł, którego jeszcze nie przeczytałam. Kiedyś lubiłam obserwować, jak wieczorny wiatr porusza trawami, nad mokradłami kładą się cienie, a na niebie stopniowo pojawiają się gwiazdy. Ostatnio jednak ruch budził we mnie niepokój. Leżąc przy mnie na werandzie, Rambo czasem podnosił łeb i węszył, po czym skomlał, jakby też to wyczuwał. Było to poczucie niedosytu, świadomość, że za mokradłami znajduje się coś większego, lepszego. Wpatrywałam się w ciemną linię drzew na horyzoncie, próbując sobie wyobrazić to, co jest za nimi. Kiedy nad chatą przelatywały samoloty, osłaniałam oczy i patrzyłam w niebo jeszcze długo po tym, jak zniknęły. Myślałam o ludziach w środku. Czy marzyli o tym, żeby być na mokradłach ze mną, tak bardzo jak ja życzyłam sobie, żeby znaleźć się z nimi wysoko w powietrzu?

Wiedziałam, że ojciec się mną przejmuje. Tak samo jak ja nie rozumiał zmian, które we mnie zachodziły. Czasem przyłapywałam go na tym, jak mnie obserwował, myśląc, że nie patrzę. Głaskał się po rzadkiej brodzie, a ja wiedziałam, że myśli, długo i intensywnie. Zwykle był to wstęp do opowieści, jakiejś indiańskiej legendy, historii o polowaniu lub wędkowaniu albo o czymś dziwnym lub zabawnym, dramatycznym, strasznym lub cudownym, co

mu się przytrafiło. Siedziałam po turecku, z rękami grzecznie złożonymi na kolanach, tak jak mnie nauczył, i udawałam, że słucham, ale myślami błądziłam gdzie indziej. Opowieści ojca nie przestały mnie interesować, w końcu jest jednym z najlepszych znanych mi gawędziarzy. Teraz jednak sama chciałam tworzyć opowieści.

Tamtej jesieni w pewien ponury deszczowy ranek ojciec zdecydował, że przyszła pora, abym się nauczyła robić dżemy. Nie rozumiałam, dlaczego powinnam to umieć. Chciałam wziąć kanoe ojca i sprawdzić pułapki. Po drugiej stronie wzniesienia, tam, gdzie zbierały się jelenie, mieszkała rodzina rudych lisów. Miałam nadzieję, że złapię jednego, żeby matka zrobiła mi czapkę z lisiego ogona z nausznikami, taką jak miał ojciec. Deszcz mi nie przeszkadzał, przecież nie byłam z cukru, a zresztą to, co zmoknie, w końcu wysycha. Kiedy matka oświadczyła przy śniadaniu, że ze względu na deszcz zrobi dżem i że przydałaby się jej moja pomoc, włożyłam palto, bo matka nie mogła mi rozkazywać. Ojciec jednak mógł. Oświadczył, że dziś nauczę się robić dżem, i tak oto utkwiałam w domu.

Wolałabym pomóc ojcu, który siedział przy kuchennym stole i osełką oraz szmatką ostrzył i polerował kolekcję noży, choć już były ostre i lśniące. Nasz kaganek stał pośrodku stołu. Zwykle nie zapalaliśmy lampki podczas dnia, żeby nie marnować niedźwiedziego sadła, ale tego ranka z powodu deszczu było bardzo ciemno.

Matka postawiła na blacie garnek z gorącą papką z jabłek i mieszała ją drewnianą łyżką, żeby papka szybciej wystygła. Zawartość drugiego garnka gotowała się i pieniała na piecyku. Puste słoiki, które matka umyła i wysuszyła, czekały na poskładanych ściereczkach do naczyń na stole. Z tyłu piecyka stała puszka z rozpuszczoną parafiną. Matka zalewała stężały dżem warstwą gorącej parafiny, żeby zabezpieczyć go przed pleśnią, która jednak i tak się pojawiała. Matka twierdziła, że pleśń nam nie zaszkodzi, ale zauważyłam, że zdrapuje ją

przed nałożeniem dzemu i wyrzuci to, co spleśniało. Balia na podłodze była pełna obierek z jabłek. Wiedziałam, że gdy przestanie padać, matka wyniesie balie i wyrzuci obierki na kompost.

Ręce poczerwieniały mi od ugniatania gazy z gorącą papką, z której wyciskałam sok. W kuchni panował zaduch i czułam się jak górnik fedrujący węgiel głęboko pod ziemią. Ściągnęłam T-shirt i otarłam nim twarz.

— Włóż to z powrotem — zażądała matka.

— Nie chcę, jest za gorąco.

Matka rzuciła ojcu wymowne spojrzenie, a on wzruszył ramionami. Zwinęłam T-shirt, cisnęłam go w kąt, po czym tupiąc, weszłam po schodach i rzuciłam się na łóżko w swoim pokoju. Leżałam z rękami pod głową, gapiłam się w sufit i snułam mordercze myśli na temat ojca i matki.

— Helena! Zejdź tu! — zawołała matka z dołu schodów.

Nawet nie drgnęłam. Słyszałam, jak rodzice się kłócą.

— Jacob, zrób coś.

— Niby co takiego?

— Każ jej zejść. Niech pomaga. Sama nie dam sobie rady ze wszystkim.

Stoczyłam się z łóżka i przekopałam przez stertę ubrań na podłodze w poszukiwaniu suchego T-shirtu. Na wierzch włożyłam flanelową koszulę, zapięłam guziki, po czym znowu głośno tupiąc, zeszałam po schodach.

— Nie wyjdiesz — oznajmiła matka, gdy przeszłam przez kuchnię i chwyciłam palto z wieszaka przy drzwiach. — Jeszcze nie skończyliśmy.

— Ty nie skończyłaś, ja tak.

— Jacob?

— Słuchaj matki, Heleno — powiedział ojciec, nie podnosząc wzroku znad noża.

Widziałam jego odbicie w ostrzu. Ojciec się uśmiechał.

Rzuciłam palto na podłogę, wbiegłam do salonu i runęłam na dywanik

z niedźwiedziej skóry, ukrywając twarz w futrze. Nie chciałam się uczyć robienia dzemu. Nie rozumiałam, dlaczego ojciec nie stanie po mojej stronie przeciwko matce, ani co się dzieje ze mną i z moją rodziną, ani czemu zbiera mi się na płacz, chociaż wcale tego nie chcę.

Usiadłam, objęłam rękami kolana i wbiłam zęby w przedramię, aż poczułam smak krwi. Skoro nie mogłam powstrzymać się od płaczu, postanowiłam znaleźć sobie powód.

Ojciec wszedł do salonu i stanął nade mną z założonymi rękami. W dłoni trzymał nóż, który wcześniej ostrzył.

— Wstawaj.

Zrobiłam, co kazał. Próbowalam nie patrzeć na nóż, prostując się najbardziej jak potrafiłam. Skrzyżowałam ręce na piersi, wysunęłam brodę i gapiłam się na ojca. Nie rzucałam mu wyzwania, jeszcze nie. Po prostu chciałam, aby wiedział, że zapłaci za to, co zaplanował dla mnie w ramach kary za krnąbrność. Gdybym mogła cofnąć się w czasie i zapytać jedenastoletnią mnie, co zamierzałam zrobić ojcu w odwecie, nie potrafiłabym odpowiedzieć. Wtedy wiedziałam jedynie, że nic, co powie czy zrobi ojciec, nie zmusi mnie do pomocy matce przy robieniu dzemu.

Ojciec odpowiedział mi równie niewzruszonym spojrzeniem. Podniósł nóż i się uśmiechnął. To był przebiegły, krzywy uśmiech, który mówił, że postąpiłabym o wiele rozsądniej, gdybym okazała posłuszeństwo, ponieważ teraz zamierzał się zabawić. Chwycił mnie za nadgarstek i mocno przytrzymał, żebym nie mogła się wyrwać. Przyjrzał się śladowi zębów na moim przedramieniu, po czym dotknął mojej skóry czubkiem noża. Wzdrygnęłam się wbrew sobie, bo wiedziałam, że jeśli ojciec dostrzeże mój lęk, to zrobi mi coś jeszcze gorszego, niż zaplanował. Właściwie się nie bałam, w każdym razie nie bólu. Ze względu na swoje tatuaże już nieraz miałam z nim do czynienia. Z perspektywy czasu uważam, że się wzdrygnęłam, bo nie wiedziałam, co

zrobi ojciec. Psychologiczny element kontroli nad drugim człowiekiem oddziałuje równie silnie jak fizyczny ból, który można zadać, a to zdarzenie jest dobrym tego przykładem.

Ojciec powiódł nożem wzdłuż mojego przedramienia. Nacięcia, które robił, nie były głębokie, ale wystarczyły, żeby zebrała się krew. Powoli połączył ślady zębów, aż utworzyły koślawe O.

Znieruchomiał, przyjrzał się swojemu dziełu, a potem dorzucił cztery stykające się linie z jednej strony i trzy z drugiej.

Gdy skończył, uniósł mi rękę, żebym zobaczyła. Krew spływała po wewnętrznej stronie mojego przedramienia i skapywała z łokcia.

— Idź pomóc matce.

Opukiwał czubkiem noża słowo, które wyrył mi na skórze, i znów się uśmiechnął, jakby cieszył się, że będzie to przedłużał, jeśli nie posłucham, więc poszłam.

Blizny zbladły z biegiem czasu, ale jeśli się wie, gdzie spojrzeć, nadal można odczytać słowo *WON* po wewnętrznej stronie mojego prawego przedramienia.

Blizny, które przez niego nosiła moja matka, sięgały rzecz jasna znacznie głębiej.

Wpatruję się w agat, który ojciec pozostawił na pieńku, ale nie chcę go dotykać. Takie same sztuczki stosował, ucząc mnie tropić. Kiedy już sądziłam, że świetnie sobie radzę i radośnie wyczekiwałam chwili, gdy strzełę mu między stopy, robił coś, co zbijało mnie z tropu. Zacierał ślady liściastą gałęzią, długim kijem ugniatał trawę, abym myślała, że poszedł inną drogą niż w rzeczywistości, a czasami szedł tyłem lub na bokach stóp, żeby w ogóle nie zostawiać śladów obcasów czy czubków butów. Za każdym razem, gdy myślałam, że udało mi się opanować do perfekcji wszystko, co wiadomo o tropieniu człowieka w terenie, ojciec wyskakiwał z czymś nowym.

Teraz agat. To, że ojciec obserwował mnie diabli wiedzą jak długo, że się podkradł, gdy byłam zajęta, i zostawił dla mnie agat, dowodzi, że po trzynastu latach w maleńkiej więziennej celi jest lepszym tropicielem niż ja kiedykolwiek będę. Nie tylko zdołał uciec z więzienia o zaostrzonym rygorze, ale też przekonał poszukujących go ludzi, że jest gdzie indziej, a potem zwabił mnie tutaj, świadomy, że nasza wspólna przeszłość doprowadzi mnie do tego miejsca. Tego ranka, gdy wyruszyłam na poszukiwanie ojca, wiedziałam, że go znajdę.

Nie spodziewałam się jednak, że on pierwszy znajdzie mnie.

Rambo szczeka, jakby myślał, że agatowi wyrosną nogi i ucieknie. Dam mu go do powąchania, ale najpierw chcę wiedzieć, jak ojciec się domyślił, że to ja byłam tą osobą, która poszła w krzaki opróżnić pęcherz. Wyglądam zupełnie inaczej niż kiedyś. Czarne włosy, które dawniej chesałam w mysie ogonki i warkocze, sięgają mi teraz do ramion i są rozjaśnione tyłoma pasemkami, że

wyglądają niemal jak blond. Po urodzeniu dwójki dzieci wyraźnie się zaokrągliłam. Nigdy nie będę gruba, bo nie mam takiej budowy ciała ani metabolizmu, ale nie jestem już tak chuda jak wtedy, gdy widział mnie po raz ostatni, a do tego urosłam ze trzy, może nawet z pięć centymetrów. Rambo mógłby stanowić wskazówkę, bo jest tej samej rasy co pies, który pokazał się na naszym wzniesieniu, jednak morełowaty pies na niedźwiedzie biegający po lasach Górnego Półwyspu podczas sezonu myśliwskiego nie stanowi szczególnej rzadkości. Jeśli nie wypowiedziałam na głos jego imienia, nie wiem, jak ojciec mógłby skojarzyć fakty. Poza tym skąd i jak zdobył agat? Cała ta historia śmierdzi gorzej niż mięsne odpadki, które wyrzucaliśmy do naszego dołu na śmieci. Jeśli ojciec myśli, że wciągnie mnie w dorosłą wersję naszej starej zabawy w tropienie, powinien pamiętać, że wygrałam ostatnie trzy rozgrywki.

Możliwe jednak, że nie położył kamienia na pieńku, aby chęłpić się tym, że jest lepszy ode mnie w polowaniu i tropieniu. Może to nie kpina, tylko zaproszenie. *Nie zapomniałem. Zależy mi na tobie. Chcę cię zobaczyć raz jeszcze, zanim zniknę.*

Wyciągam połę koszuli, podnoszę agat i podsuwam go psu do powąchania. Rambo węszy wśród patyków i zarośli, a następnie prowadzi mnie do miejsca na drodze jakieś sześć, siedem metrów od mojego pikapa. Ślady stóp prowadzą na zachód. Takie buty mogły należeć do zabitego strażnika więziennego. Idę na tył pikapa, podświadomie spodziewając się, że ojciec wyskoczy z krzaków i mnie złapie, jak kiedyś, gdy wracałam do chaty po wysłuchaniu w łaźni jednej z jego przerażających opowieści.

Rzucam kamień na fotel obok kierowcy, przywiązuję Rambo z tyłu, po czym daję mu znać, żeby leżał cicho. Nie zapomniałam, jaki stosunek ma ojciec do psów. Ściągam z kółka kluczyk do stacyjki, wkładam go do jednej kieszeni, do drugiej wsuwam telefon, upewniwszy się, że jest wyciszony. Gdy poluję,

zwykle zostawiam kluczyki w stacyjce — na Górnym Półwyspie nie roi się od złodziei samochodowych, a żaden myśliwy nie chce, żeby kluczyki pobrzękiwały mu w kieszeni — nie zamierzam jednak iść śladem pozostawionym przez ojca tylko po to, aby dotrzeć do końca i przekonać się, że zwinął mi ciężarówkę. Zamykamabinę, żeby dodatkowo się zabezpieczyć, po czym sprawdzam, czy mam nóż i pistolet. Policja mówi, że ojciec jest uzbrojony i niebezpieczny. To tak jak ja.

Niespełna pół kilometra od pikapa ślady skręcają z drogi na podjazd jednej z chat, które zamierzałam sprawdzić. Mijam go i zataczam szeroki łuk, żeby dotrzeć do domu od tyłu. Nie czuję się dostatecznie osłonięta. Te lasy to głównie modrzew amerykański i sosna Banksa, drzewa cienkie, postrzępione i suche jak pieprz, więc nie sposób bezszelestnie się wśród nich skradać. Inna sprawa, że jeśli ojciec czeka na mnie w budynku, i tak już wie, że tu jestem.

Chata jest stara, mała i stoi tak daleko od polany, że niemal znika w lesie. Mech i sosnowe igły pokrywają dach, a wysokie żółte kwiaty i smukłe pnącza zasłaniają boki domu. Właśnie tak wygląda chatka z bajki na ilustracjach jednej z książek moich córek, ale to nie jest domek, w którym mogłaby mieszkać niewinna, bezdzietna para albo ubogi drwal, lecz raczej miejsce służące do wabienia nieostrożnych dzieci. Szczególnie uważnie przyglądam się szopie na końcu podjazdu, gdzie stoi stary pikap. Zerkam pod podwozie samochodu i sprawdzam belki pod dachem szopy. Pusto.

Idę skrajem polanki i docieram na tył domu. Jedyne okno z tej strony znajduje się w sypialni niewiele większej od łóżka wciśniętego do niej wraz z toaletką i krzesłem. Łóżko jest zapadnięte pośrodku i wygląda na to, że nikt w nim nie spał.

Przechodzę na bok, żeby sprawdzić następne okno. Armatura w łazience jest zardzewiała, ręczniki stare. Nad umywalką zainstalowano uchwyt, zwisa w nim szczoteczka do zębów. W ubikacji ciemne kółko nad taflą brązowej



wody dowodzi, że od dawna nikt jej nie spuszczał.

Przez kolejne okno widzę salon, niemal bliźniaczo podobny do salonu w domu moich dziadków. Patrzą na spłowiałą sofę w kwieciste wzory, fotele do kompletu, drewniany stolik z misą pełną szyszek, drewnienek wyrzuconych przez wodę i agatów, przeszklony kredens z mnóstwem drobiazgów, solniczek, pieprzniczek i kolorowych kieliszków. Na oparciach foteli leżą pożąłkłe koronkowe serwetki. Jest tam też stary fotel z odchylanym oparciem, który rozpaczliwie potrzebuje nowego obicia. Na stoliku obok czekają kubek z kawą i zwinięta gazeta. Nie wygląda na to, żeby ktokolwiek zmącił panujący tu spokój. Jeśli ojciec czeka w chacie, to nie tutaj.

Cicho skradam się na werandę od frontu, zamieram, nasłuchuję i pociągam nosem. Kiedy się tropi ludzi, nie wolno się śpieszyć.

Po kilku długich minutach, w czasie których nie dzieje się absolutnie nic, postanawiam otworzyć drzwi. Gałka obraca się bez oporu i wchodzę do środka.

W wieku piętnastu lat po raz pierwszy włamałam się do chaty. Wtedy już zdążyłam wylecieć ze szkoły, a opiekunowie przysłani przez państwo tak samo jak dziadkowie nie wiedzieli, co ze mną zrobić, więc miałam mnóstwo wolnego czasu.

Chciałabym powiedzieć, że włamałam się z konieczności — bo złapała mnie ulewa, zadymka lub coś w tym stylu — ale zrobiłam to dla zabawy. Pewnego dnia wpadłam na ten pomysł z nudów. Chata należała do rodziców jednego z chłopaków ze szkoły, który lubił wchodzić mi w paradę. Doszłam do wniosku, że śmiesznie będzie odwrócić sytuację i narobić kłopotów jemu. Nie zamierzałam nic niszczyć, po prostu chciałam zostawić dość dowodów, aby wiedział, że udało mi się włamać. Na drzwiach chaty widniała naklejka „Własność chroniona”, ale dziadkowie też mieli taki napis na domu, więc wiedziałam, że to ostrzeżenie nic nie znaczy. Dziadek twierdził, że fałszywe

naklejki odstraszały złodziei równie skutecznie jak prawdziwe, za to kosztują o wiele mniej niż system alarmowy.

Mój plan był prosty:

1. Włożyć żółte gumowe rękawiczki, które zabrałam spod zlewu babci.
2. Podważyć nożem bolce w zawiasach drzwi wejściowych.
3. Otworzyć jedną z puszek w kuchni i napalić w piecyku, żeby ją podgrzać, bo gorące jedzenie z puszki smakowało mi bardziej niż zimne.
4. Zostawić na środku salonu puszkę ze zdechłą myszą, którą znalazłam w stosie drewna na opał u dziadków.
5. Z powrotem zamocować drzwi na zawiasach i sobie pójść.

Mysz była świeża, więc liczyłam na to, że zasmrodzi cały dom i kiedy ktoś wejdzie, fetor natychmiast go zaatakuje. Potem ten ktoś znajdzie puszkę ze zdechłą myszą i zrozumie, że było włamanie, ale nie zorientuje się, kto konkretnie się włamał, a to dzięki moim rękawiczkom. Po tym, jak wpadłam na pomysł z myszą w puszcze, doszłam do wniosku, że włamię się do wszystkich chat należących do rodzin dzieciaków, które mi bruździły, i to będzie moja wizytówka. Policja uzna włamania za przypadkowe, ale moi dręczyciele w końcu zauważą związek między nimi i zrozumieją, że to moja robota. Nie będą jednak mogli nic powiedzieć bez wskazywania na siebie, co uznałam za najlepszą część planu.

Okazało się jednak, że nie wszyscy są tak skąpi jak mój dziadek i tu zainstalowano prawdziwy alarm. Siedziałam na krześle przy piecyku i podgrzewając fasolkę, przeglądałam „Geographiki” w poszukiwaniu tego z artykułem o wikingach, kiedy podjechał radiowóz na sygnale. Mogłam uciec drzwiami z tyłu domu — żaden szeryf na świecie nie złapałby mnie w lesie, gdybym nie chciała zostać złapana, ale z samochodu wysiadł ten sam zastępca

szeryfa, który schwytał mnie już dwukrotnie po moich ucieczkach, więc w pewnym sensie trochę się zżyliśmy.

— Nie strzelaj! — zawołałam, gdy z podniesionymi rękami wychodziłam przez otwarte drzwi. Oboje wybuchnęliśmy śmiechem.

Policjant kazał mi odłożyć wszystko na miejsce, po czym otworzył przede mną drzwi samochodu, jakbym była gwiazdą filmową, a on moim szoferem. W drodze do domu gadaliśmy sobie o polowaniach i wędkowaniu i świetnie się bawiliśmy. Był pod wrażeniem, kiedy opowiedziałam mu historię o upadku ojca do niedźwiedziej jamy tak, jakby to przydarzyło się mnie, nie jemu. Gdy zapytałam policjanta, czy nie zostałby moim chłopakiem, bo świetnie się dogadywaliśmy, odparł że jest żonaty i ma dwójkę dzieci. Uznałam to za szczegół bez znaczenia, policjant zapewnił mnie jednak, że się mylę.

Zawiózł mnie na posterunek, bo okazało się, że włamanie jest poważniejszym przestępstwem niż ucieczka. Liczyłam na to, że wsadzi mnie do celi, w której trzymano mojego ojca, bo chciałam sprawdzić, jak wyglądała, ale on kazał mi usiąść na drewnianej ławce w korytarzu, a sam zadzwonił po moich dziadków. Kiedy się zjawili, wygłosił długi wykład o tym, jakie mam szczęście, że właściciele domu mnie nie oskarżają, chociaż mogliby, a wtedy znalazłabym się w prawdziwych tarapatach, i dodał, że muszę przestrzegać prawa i szanować cudzą własność, żeby to się nie powtórzyło. Nie miałam mu za złe tych słów, po prostu wykonywał swoje obowiązki. Kiedy jednak zaczął głądzić o tym, że powinnam się zastanowić, co ze mną będzie, jeśli nie przestanę zachowywać się tak lekkomyślnie, i zapytał, czy chcę skończyć w więzieniu jak mój ojciec, ucieszyłam się, że nie jest moim chłopakiem. Postanowiłam przy pierwszej okazji włamać się do innej chaty tylko po to, żeby go wkurzyć. Najlepiej do jego własnej.

Po tym incydencie dziadek zmusił mnie do pełnoetatowej pracy w sklepie. Wcześniej pracowałam tam tylko trzy dni w tygodniu. Dziadkowie prowadzili

sklep z rowerami i przynętą dla wędkarzy. Mieścił się w starym drewnianym budynku przy Main Street, wciśnięty między biuro pośrednictwa nieruchomości a aptekę. Przed sklepem, na widoku, stały rowery, a pojemniki oraz lodówki z robakami i dżdżownicami znajdowały się w głębi pomieszczenia. Kiedyś uważałam, że dziadek postanowił sprzedawać robaki i rowery dlatego, że jedno i drugie zaczynało się na R, teraz jednak wiem, że mnóstwo sklepów na Górnym Półwyspie oferuje kombinacje rzeczy, które na pierwszy rzut oka do siebie nie pasują, bo ciężko jest zarobić tu na życie, handlując jednym rodzajem towaru. Ja sobie radzę, sprzedając wyłącznie dzemy, tylko dzięki temu, że ludzie zwykle kupują je przez internet.

Mój dziadek oświadczył, że skoro pracuję na pełny etat, muszę płacić za pokój i wyżywienie, i że jeśli chcę, resztę pieniędzy mogę zaoszczędzić i kupić od niego rower po kosztach własnych. Dużo wcześniej sprzedał wszystkie rowery oraz rzeczy, które przysyłał mi ludzie, więc cieszyłam się, że będę miała szansę na własny rower. Na kartce papieru dziadek narysował trzy kolumny, które nazwał *Hurt*, *Detal* i *Zysk netto*, a następnie umieścił w nich przykładowe kwoty, żebym zrozumiała, jak działa sklep, co przydało mi się później, gdy sama założyłam firmę.

Wybrałam sobie górski rower marki Schwinn Frontier w kolorze metalizowanego błękitu. Podobało mi się, że można nim jeździć zarówno po drogach, jak i w terenie. Teraz wiem, że dziadek mógł handlować lepszymi i droższymi modelami, ale nikt na Górnym Półwyspie nie zdołałby wyżyć ze sprzedaży luksusowych rowerów, nawet sprzedając jednocześnie żywą przynętę.

Za każdym razem, gdy do sklepu wchodzili klienci w poszukiwaniu roweru, kierowałam ich z dala od mojego. Nie wiedziałam, że dziadek mógł zamówić następny, gdyby ten się sprzedał. Zdaję sobie sprawę, że zdaniem większości ludzi po trzech latach powinnam była lepiej rozumieć, jak funkcjonuje system

sprzedaży, ale chciałabym się przekonać, jak oni by sobie poradzili, gdyby zaczęli od zera. Nawet teraz co jakiś czas trafiam na rzeczy, o których nie mam pojęcia. Kiedy zatem jeden z chłopaków ze szkoły kupił rower, na który oszczędzałam, doszłam do wniosku, że już po sprawie. Odprowadziłam rower do auta rodziców chłopca i rzuciłam go na chodnik, nie pomagając im go załadować, choć to był mój obowiązek. Następnie ruszyłam przed siebie bez konkretnego celu. Wiedziałam tylko, że dziadek oszustwem pozbawił mnie rowerem, na który oszczędzałam, i że nie wrócę.

Dziadek dogonił mnie po kilku godzinach, już dobrze po zmierzchu. Gdyby babcia nie siedziała na miejscu dla pasażera, pewnie w ogóle bym nie wsiadła do samochodu. Oczywiście, zrobiło mi się głupio, kiedy już wszystko sobie wyjaśniliśmy, a dziadek obiecał zamówić mi taki sam rower. Wtedy często czułam się głupio.

Nie opowiadam tych historii po to, żeby ludzie uzalali się nade mną. Bóg mi świadkiem, że miałam tego po uszy. Po prostu pragnę, żeby zrozumieli, dlaczego kilka lat później poczułam, że muszę zacząć od początku. Czasem człowiek myśli, że czegoś chce, ale gdy to dostanie, okazuje się, że to nie to, na co liczył. Tak właśnie było ze mną po opuszczeniu mokradeł. Sądziłam, że czeka mnie nowe życie i zaznam szczęścia. Byłam inteligentna, młoda, otwarta na świat, chętna do nauki. Problem polegał na tym, że ludzie nie byli szczególnie chętni, aby otworzyć się na mnie. Dziecko porywacza, gwałciciela i mordercy nosi piętno, które trudno usunąć. Jeśli ludzie uważają, że przesadzam, powinni się zastanowić, czy przyjmowałiby mnie w swoich domach, gdyby wiedzieli, kim był mój ojciec i co zrobił mojej matce. Czy pozwoliliby swoim dzieciom przyjaźnić się ze mną? Czy wychodząc z domu, powierzyliby mojej opiece swoje niemowlęta? Nawet jeśli ktoś odpowie twierdząco na te pytania, założę się, że wcześniej się zawaha.

Na szczęście rodzice ojca zmarli w odstępie kilku miesięcy, jedno po

drugim, wkrótce po moich osiemnastych urodzinach, i zostawili mi w spadku dom, w którym dorastał ojciec. Byłam pełnoletnia, więc prawnik zgodził się przekazać mi prawo własności bez informowania o tym mojej matki i dziadków. Gdy tylko dokumenty były gotowe, zapakowałam walizkę i oznajmiłam, że się wyprowadzam, ale nie podałam adresu. Zmieniłam nazwisko na Eriksson, bo uwielbiałam wikingów i doszłam do wniosku, że wreszcie mam szansę stać się jedną z nich. Obciąłam włosy, rozjaśniłam je i ot tak, córka Króla Moczarów zniknęła.

Otwarte drzwi chaty prowadzą bezpośrednio do salonu. Pomieszczenie jest niewielkie, jakieś trzy na cztery metry, a sufit tak niski, że mogłabym go dotknąć, gdybym wspięła się na palce. Zostawiam drzwi otwarte. Źle się czuję w zamkniętych pomieszczeniach, w których czuć stęchliznę.

Wewnątrz zastaję włączony telewizor z wyciszonym dźwiękiem. Na ekranie prezenter przekazuje bezgłośnie najświeższe wiadomości o poszukiwaniach mojego ojca. Nad lewym ramieniem mężczyzny emitowany jest materiał filmowy: helikopter wzniesła drobne fale na powierzchni małego jeziora, po którym krążą łodzie patrolowe. Na dole ekranu przesuwają się napisy: *Poszukiwania trwają. FBI sprowadza więcej ludzi. Znalezione zwłoki więźnia?*

Próbuję stać całkiem nieruchomo, dostrzec ruch zasłony, usłyszeć oddech, wyczuć choćby minimalne przesunięcie cząsteczek powietrza, które wskazywałoby na to, że nie jestem tu sama. Poza pleśnią i stęchlizną wyczuwam woń bekonu, jajek, kawy i prochu z broni, z której ktoś niedawno strzelał, a także ostry, metaliczny zapach świeżej krwi.

Czekam. Żadnego dźwięku, żadnego ruchu. Cokolwiek się stało, było to na długo przed moim przybyciem. Czekam jeszcze trochę, po czym przechodzę przez salon do kuchni.

Nagi mężczyzna leży na boku między stołem a piecem. Podłoga zbryzgana

jest krwią i kawałkami mózgu.

*Stephen.*

## CHATA

*Skald wspomniał w swojej pieśni także o niej, mówił o złotym skarbie, który dała swojemu mężowi. A on był szczerze zadowolony z tego ślicznego dziecka, widywał dziewczynkę tylko za dnia w całej jej urodzie; jej dzikość mu się podobała, mówił, że może z niej będzie mężna wojowniczką, która zwycięży swojego olbrzyma i nawet nie mrugnie okiem, gdy wyćwiczona ręka w żartach obetnie jej ostrym mieczem brwi.*

*Miesiąc za miesiącem jej natura objawiała się coraz wyraźniej. W ciągu paru lat, gdy bociany odbywały jesienią tę samą podróż nad Nil, a wiosną nad moczary, dziecko zmieniło się w dziewczynę, i nim się kto zorientował, była piękną szesnastoletnią panną; piękną na zewnątrz, ale surową i bezwzględną w środku.*

H.CH. ANDERSEN  
*Córka króla moczarów*

— Bierz palto — powiedział ojciec pewnego wczesnego zimowego poranka, gdy miałam jedenaście lat. To była moja ostatnia zima na mokradłach, chociaż jeszcze tego nie wiedziałam. — Chcę ci coś pokazać.

Matka popatrzyła na nas znad skóry, nad którą pracowała. Gdy zrozumiała, że ojciec nie mówi do niej, szybko pochyliła głowę. Odkąd ojciec usiłował utopić moją matkę, napięcie między rodzicami było gęste jak mgła. „On mnie



zabije”, wyszeptała matka niedługo po tamtym incydencie, kiedy była pewna, że ojca nie ma w pobliżu. Pomyślałam, że tak się pewnie stanie. Matka nie prosiła mnie o pomoc ani nie oczekiwała, że sprzymierzę się z nią przeciwko ojcu, i byłam jej za to wdzięczna. Gdyby naprawdę chciał zabić matkę, nic nie mogłabym na to poradzić.

Pracowała nad skórą jelenia, którą ojciec wygarbował. Poza gotowaniem i sprzątaniami zimą było to jej główne zajęcie. Poprzedniego roku uszyła ojcu piękną, zdobioną frędzlami kurtkę z miękkiej skóry. Tej zimy postanowiła zrobić taką dla mnie, jeśli dostanie wystarczająco dużo skóry. Ojciec obiecał, że ozdobi kurtkę według wzoru, który narysowałam mu kawałkiem węgla drzewnego na brzożowej korze, bo ołówki i papier się skończyły. Był utalentowanym artystą i kurtka z pewnością miała wyglądać o wiele lepiej niż na moim obrazku.

Włożyłam zimowy strój i wyszłam za ojcem z domu. Moje nakrapiane rękawice z jelonka były już za małe, jednak starałam się używać ich jak najczęściej, zanim trafią na stos nieprzydatnych rzeczy. Żałowałam, że matka nie uszyła większych, ale jak wyjaśniła, jelonek był tak maleńki, że nic nie mogła na to poradzić. Liczyłam na to, że gdy tej wiosny ojciec zastrzeli jelenia, trafi się nam łania z bliźniakami.

Dzień był słoneczny i zimny. Słońce odbijało się od śniegu i raziło mnie w oczy tak bardzo, że musiałam mrużyć powieki. Ojciec nazywał taką pogodę styczniową odwilżą, ale tego dnia nic nie tajało. Usiedliśmy na skraju werandy i przymocowaliśmy rakiety. Tej zimy spadło mnóstwo śniegu i nie wychodziliśmy bez nich na zewnątrz. Ojciec zrobił moją parę z gałęzi olchowych i niewyprawionej skóry zimą, gdy miałam dziewięć lat. On sam wkładał rakiety Iverson, które kiedyś należały do jego ojca. Obiecał, że mi je odda, kiedy będzie już za stary na chodzenie w raketach.

Ruszyliśmy zwawym krokiem. Teraz, gdy niemal dorównywałam ojcu

wzrostem, nie miałam problemu, by za nim nadążyć. Nie pytałam, dokąd idziemy. Kiedyś ojciec zaskakiwał mnie takimi tajemniczymi wyprawami, ale od dawna tego nie robił. Zwykle wiązały się one z nauką tropienia. Gdy szłam za nim w dół naszego wzniesienia, starałam się odgadnąć cel naszej wycieczki. Nie było to trudne. W plecaku niósł mały dzbanek z pokrywką do zaparzania kawy, w którym rozpuszczał śnieg na herbatę. Miał też sześć herbatników, twardych jak skała, ale miękkich po namoczeniu, do tego cztery paski suszonej jeleniny z borówkami, którą nazywał pemikanem, a także słoik dżemu borówkowego, stąd wiedziałam, że nie wrócimy na lunch. Strzelba była zamknięta w spiżarni, a Rambo przywiązany w drewnutni, więc nie szliśmy na polowanie. Mieliśmy ze sobą kijki, co oznaczało, że pokonamy spory dystans. Między naszym wzniesieniem a rzeką znajdowało się tylko kilka małych pagórków, które już wcześniej zbadałam. Nie zauważyłam na nich nic wartego obejrzenia, więc na pewno nie one były naszym celem. Biorąc to wszystko pod uwagę, doszłam do wniosku, że niewątpliwie zmierzamy ku rzece, jednak nie rozumiałam po co. Widziałam rzekę wiele razy, o każdej porze roku. Przychodziło mi tylko do głowy, że ojciec znalazł jakieś interesujące twory lodowe, które chciał mi pokazać. Jeśli się nie myliłam, skórka wydawała się niewarta wyprawki.

W końcu dotarliśmy do rzeki. Zakładałam, że pójdziemy z jej biegiem lub w przeciwnym kierunku, aż natrafimy na to, co miałam zobaczyć, ojciec jednak, nawet nie zwalniając, wszedł prosto na lód. To mnie zaskoczyło. Rzeka Tahquamenon była wąska i szeroka na co najmniej trzydzieści metrów i choć w większości zamarzała, wielu fragmentów nie skuł lód. Mimo to ojciec szedł pewnym krokiem ku drugiemu brzegowi, nawet nie oglądając się za siebie, całkiem jakby stąpał po ubitej ziemi. Mogłam tylko stać na brzegu i patrzeć. W innych okolicznościach ruszyłabym za nim bez wahania, ale dlaczego uważał, że zdoła bezpiecznie przekroczyć rzekę? Odkąd urosłam na

tyłe, żeby samodzielnie wędrować po mokradłach, powtarzał nieustannie, że nie wolno mi wchodzić na rzekę zimą, bez względu na to, jak mocny wyda mi się lód, bo z powodu prądów pokrywa lodowa na rzece w niczym nie przypomina lodu na jeziorze. W pewnych miejscach jest gruba, w innych cienka i dopóki nie sprawdzi się jej grubości kijem — czego ojciec nie zrobił — nie da się tego określić. Gdyby lód załamał się pode mną i wpadłabym do jeziora albo stawu, przemokłabym, ale nie groziłoby mi nic poważnego, bo jeziora i stawy na mokradłach są zazwyczaj płytkie. Nawet gdybym musiała podpłynąć do miejsca, w którym lód był na tyle gruby, aby mnie utrzymać, i tak udałoby mi się wydostać. Gdybym jednak wpadła do rzeki, prąd wciągnąłby mnie pod lód szybciej, zanim zdążyłabym wziąć oddech i zawołać o pomoc, i już nikt by mnie nie zobaczył ani nie usłyszał.

Tego nauczył mnie ojciec, a jednak teraz robił coś zupełnie innego. Zawsze uważałam, że jest potężny, wręcz niezniszczalny, niemal jak jakiś bóg. Zdawałam sobie sprawę, że jest śmiertelnikiem i człowiekiem, ale jeśli choćby połowa jego opowieści wydarzyła się naprawdę, udało mu się wyjść cało z wielu opresji. Nawet on nie przetrwałby jednak upadku do rzeki, a śmierć przez utonięcie była ostatnią rzeczą, jakiej bym chciała.

A może właśnie o to chodziło? Ojciec nigdy nie robił niczego bez przyczyny. Może z tego powodu przyprowadził mnie nad rzekę? Wiedział, że boję się utonąć i że bardzo pragnę zbadać drugi brzeg. Wielokrotnie prosiłam, aby zabrał mnie tam w kanoe. Nie sądziłam, że się domyśli, jak mi ciasno na mokradłach i jak bardzo chciałabym zobaczyć coś nowego. Tak czy inaczej, wziął pod uwagę to, czego najbardziej pragnę i czego najbardziej się boję, a następnie przyprowadził mnie nad rzekę, żebym mogła stawić czoło strachowi, zamiast hodować go i gnić od środka.

Szybko pokonałam zmrożone bryły na brzegu i wkroczyłam na zamarznąłą rzekę, zanim zdążyłam zmienić zdanie. Serce waliło mi głośno, dłonie

w rękawicach miałam wilgotne od potu. Ostrożnie stawiałam stopę za stopą, próbując dokładnie odtworzyć drogę, którą przemierzył ojciec. Lód unosił się i opadał, gdy szłam, tak jakby rzeka oddychała, jakby była żywym organizmem, obrażonym przez bezczelne dziecko, które ośmieliło się stąpać po jego zamarznętym ciele. Wyobraziłam sobie, jak duch rzeki wystawia lodowatą dłoń z jednej z licznych szczelin, łapie mnie za kostkę i ciągnie w dół. Oczyma duszy widziałam, jak spoglądam spod lodu, moje włosy się rozplývają we wszystkich kierunkach, a płuca napinają, gdy duch rzeki wciąga mnie coraz niżej. Wyrzeczam oczy, twarz mam równie przerażoną jak moja matka.

Szłam przed siebie. Brązowy nurt widoczny w szczelinach przyprawiał mnie o zawroty głowy. Strach sprawił, że czułam w ustach kwaśny smak. Odwróciłam się, żeby sprawdzić, jak daleko zaszłam, a potem skierowałam wzrok na ojca, chcąc się przekonać, ile jeszcze muszę pokonać. Wtedy uświadomiłam sobie, że znajduję się w równej odległości od obu brzegów. Chciałam się zatrzymać, pomachać radośnie ojcu i w ten sposób zademonstrować, jaka jestem dzielna i nieustraszona. Zamiast tego pobiegłam po lodzie najszybciej jak się da w raketach domowego wyrobu. Ojciec wyciągnął rękę i pomógł mi wydostać się na brzeg, między drzewa. Zgięłam się, oparłszy dłonie na kolanach, i zaczęłam, aż mój oddech się uspokoi. Oszalałam na ogrom tego, co udało mi się osiągnąć. Bałam się, lecz strach nie powstrzymał mnie przed spełnieniem marzenia. Właśnie tego chciał nauczyć mnie ojciec i ta wiedza dodała mi sił. Rozłożyłam szeroko ręce, spojrzałam w niebo i podziękowałam Wielkiemu Duchowi za mądrość ofiarowaną mojemu ojcu.

Skręciliśmy na wschód i ruszyliśmy z biegiem rzeki. Byłam Erykiem Rudym albo jego synem Leifem Erikssonem i po raz pierwszy stawiałam stopę na wybrzeżach Grenlandii lub Ameryki Północnej. Każde drzewo, każdy krzew, każda skała była skałą, krzewem lub drzewem, których nigdy wcześniej nie

widziałam. Nawet powietrze pachniało tu inaczej. Na naszym brzegu rzeki mokradła były w większości trawiastymi równinami pokrytymi stojącą wodą, z których od czasu do czasu wystawało wzniesienie. Teraz stąpaliśmy po pewnym gruncie porośniętym ogromnymi sosnami amerykańskimi o pniach tak szerokich, że nie objęłoby ich dwoje ludzi. W tym lesie znajdowało się tyle drewna, że wystarczyłoby go do zbudowania tysiąca chat takich jak nasza, a mieszkające w nich rodziny mogłyby nim palić przez dziesiątki lat. Zastanawiałam się, dlaczego ludzie, którzy wzniesli nasz dom, nie postawili go po tej stronie.

Gdy szłam za ojcem, czułam się tak, jakbym mogła wędrować jeszcze przez wiele kilometrów. Nagle uświadomiłam sobie, że naprawdę dam radę. Nic nie mogło mnie powstrzymać przed chodzeniem tam, dokąd zechcę, bo rzeka już mnie nie ograniczała. Nic dziwnego, że mokradła wydawały mi się małe.

Oczywiście rozumiałam też, że w pewnym momencie będziemy musieli zawrócić, przejść z powrotem tą samą drogą i ponownie przekroczyć rzekę. Jeśli nie udałoby się nam tego odpowiednio rozplanować w czasie, mógłby zaskoczyć nas zmrok. Nie miałam pojęcia, jak byśmy sobie wtedy poradzili, ale postanowiłam o tym nie myśleć. Skoro ojciec raz przeprowadził mnie przez rzekę, mógł to zrobić ponownie. Liczyło się tylko to, że w końcu oglądałam i przeżywałam coś zupełnie nowego.

Rzeka się rozszerzyła, z oddali dobiegł mnie przyciszony huk. Z początku ten dźwięk był ledwie słyszalny i nie byłam pewna, czy czegoś sobie nie ubzdurałam, ale potem wyraźnie się nasilił. Brzmiało to tak, jakby lód pękał na wiosnę, tyle tylko, że do wiosny było jeszcze daleko, a lodowa pokrywa wyglądała na nienaruszoną. Chciałam spytać, co oznacza ten huk, dlaczego się nasila i czemu prąd się wzmacnia, ale ojciec szedł tak szybko, że z trudem dotrzymywałam mu kroku.

Dotarliśmy do miejsca, w którym nad rzeką wisiała rozciągnięta gruba lina

ze splecionego drutu. Na naszym brzegu była owinięta wokół drzewa i z pewnością znajdowała się tu już od bardzo dawna, bo porosła korą. Doszłam do wniosku, że po drugiej stronie linę zamocowano w ten sam sposób. Na jej środku wisiała tablica z napisem, ale udało mi się dostrzec wyłącznie wielkie czerwone słowo na samej górze — *NIEBEZPIECZEŃSTWO*. Resztę ostrzeżenia napisano zbyt małymi literami, żebym zdołała je przeczytać. Nie rozumiałam, dlaczego ktoś zadał sobie tyle trudu, żeby zawiesić znak w miejscu, w którym dało się go odczytać wyłącznie z łodzi. I o jakie niebezpieczeństwo chodziło?

Szliśmy dalej, po coraz bardziej śliskim i mokrym śniegu. Na drzewach zauważyłam warstwę czegoś, co wyglądało jak szron, ale kiedy pociągnęłam za gałąź, żeby sprawdzić, czy opadnie, trzymało się mocno.

A potem rzeka znikła. Nie potrafię tego inaczej opisać. Obok nas płynęła szybkim, szerokim nurtem, a sto metrów przed nami widziałam tylko niebo. Rzeka po prostu się urywała, jakby ktoś przekroił ją nożem. Znikająca rzeka, szron, który nie był szronem, i ryk, który przypominał grzmot, ale nie cichł — czułam się tak, jakbym przeniknęła z realnego świata wprost do jednej z opowieści ojca.

Ojciec przeprowadził mnie przez prześwit między drzewami na skraj pokrytego lodem urwiska. Przez jedną koszmarną chwilę myślałam, że chce, abyśmy złapali się za ręce i skoczyli, tak jak w legendach o indiańskich wojownikach i dziewicach, którym zabroniono się pobrać. On jednak tylko położył dłonie na moich ramionach i delikatnie mnie odwrócił.

Wstrzymałam oddech. Jakieś piętnaście metrów od nas rzeka eksplodowała za krawędzią urwiska, tworząc ogromną ścianę brązowej i złotej wody, która spadała bez końca na skały w dole. Kawały lodu wielkości naszej chaty pokrywały dno rzeki. Drzewa i skały znikły pod grubą warstwą zmrożonej wody. Brzegi wodospadu zamarzły, przeobrażając się w potężne lodowe

kolumny, jakby przeniesione ze średniowiecznej katedry. Na wprost nas, nad szczytem wodospadu zbudowano drewniany pomost ze schodami, które prowadziły w górę stromego zbocza i niknęły wśród drzew. Wcześniej oglądałam zdjęcia wodospadu Niagara w „Geographicach”, ale czegoś takiego sobie nie wyobrażałam. Nie sądziłam, że takie zjawisko występuje na naszych mokradłach, niespełna dzień drogi od domu.

Przez długi czas staliśmy, przyglądając się wodospadowi. Wilgoć pokryła moje włosy, twarz, rzęsy. Ojciec w końcu postukał mnie w ramię. Nie chciałam odchodzić, ale ruszyliśmy między drzewa i usiadłam obok ojca na zwalonej kłodzie. Podobnie jak wszystko inne w tym zaczarowanym lesie była ogromna, przynajmniej trzy razy większa od największej, jaką kiedykolwiek widziałam.

Ojciec uśmiechnął się i zatoczył krąg dłonią.

— I co ty na to? — spytał.

— Cudowne.

Tylko tyle przyszło mi do głowy, ale miałam nadzieję, że wystarczy. Hałas, mgiełka, nieustanny huk wody — brakowało mi słów, aby opisać, co czułam i myślałam.

— To nasza własność, *Bangii-Agawaateyaa*. Rzeka, ziemia, wodospad, wszystko to należy do nas. Na długo przed przybyciem białego człowieka nasz lud łowił ryby w tych wodach i polował na tych brzegach.

— A ten drewniany pomost? My go zbudowaliśmy?

Twarcz ojca spochmurniała. Natychmiast pożałowałam tego pytania, ale było za późno.

— Po drugiej stronie wodospadu jest miejsce, które biali ludzie nazywają parkiem. Biali ludzie postawili te schody i pomost, żeby inni dawali im pieniądze za patrzenie na nasz wodospad.

— Myślałam, że ten pomost to miejsce do wędkowania.

Ojciec zaklaskał i wybuchnął śmiechem. Śmiał się głośno i długo. W innych okolicznościach ucieszyłaby mnie jego reakcja, lecz tym razem wcale nie próbowałam go rozbawić. Gdy tylko słowa wydostały się z moich ust, uświadomiłam sobie, że w tych wodach nie ma ryb. Ojciec opowiadał mi, że nasza rzeka wpływa do wielkiego jeziora *Gitche Gumee* w miejscu, które Ojibwa nazywają *Ne-adikamegwaning*, a biali ludzie Zatoką Łososi. Wiedziałam również z „Geographiców”, że łososie płyną pod prąd, pokonując bystrza, na tarło w rzekach północnego zachodu, uchodzących do Oceanu Spokojnego. Rzecz w tym, że żadna ryba nie zdołałaby płynąć w górę takiego wodospadu.

Śmiech ojca odbił się echem od drugiego brzegu, piskliwy jak u kobiety lub dziecka. Po chwili ojciec umilkł, ale echo jego śmiechu trwało. Moje serce biło jak oszalałe. *Nanabozho*, figlarz, na pewno ukrywał się po drugiej stronie rzeki i potęgował śmiech ojca zrodzony z mojej głupoty. Posyłał go przez wodę, żeby ze mnie kpić. Zerwałam się na nogi. Chciałam zobaczyć, jaką formę przybrał ten pradawny zmiennokształtny twór. Ojciec chwycił mnie za rękę i lekko pociągnął. Podniosłam głowę. Jeśli w lesie pojawił się *Nanabozho*, musiałam go zobaczyć.

Zabrzmiał nowy dźwięk, jakby szczękającego metalu, i dwoje ludzi zbiegło po schodach. Nie tego się spodziewałam. *Nanabozho* zwykle objawiał się pod postacią królika albo lisa. Był jednak synem ducha i ludzkiej matki, więc pewnie potrafił przybrać kształt człowieka. Jeśli nie umiał również się rozdwoić, ludzie na pomoście musieli być prawdziwi.

*Ludzie*. To byli pierwsi ludzie, jakich widziałam, poza ojcem i matką. Mieli na sobie czapki, szaliki i płaszcze, więc nie byłam pewna, ale gdybym musiała zgadywać, powiedziałabym, że patrzę na chłopca i dziewczynkę.

Chłopiec i dziewczynka.

*Dzieci*.



Usłyszałam inne głosy, głębsze, i po schodach zesła jeszcze dwójka ludzi, dorosłych. Mężczyzna i kobieta, rodzice dzieci.

*Rodzina.*

Wstrzymałam oddech. Bałam się wypuścić powietrze z ust, żeby dźwięk nie przeniósł się przez wodę i ich nie spłoszył. Ojciec ścisnął mi rękę, ostrzegając, żebym siedziała cicho, ale nie musiał tego robić. Nie chciałam przyciągnąć ich uwagi. Pragnęłam tylko popatrzeć. Żałowałam, że nie przynieśliśmy strzelby, mogłabym im się przyjrzeć przez lunetę.

Rodzina rozmawiała, śmiała się i żartowała. Nie rozumiałam, co mówią, ale było oczywiste, że dobrze się bawią. Kiedy tamten ojciec posadził sobie mniejsze dziecko na barana i wniósł po schodach, miałam nogi zdrętwiałe z zimna i burczało mi w brzuchu. Matka szła wolniej z drugim dzieckiem. Słyszałam ich śmiech jeszcze długo po tym, jak zniknęli mi z oczu.

Dość długo kucaliśmy za zwałonym drzewem. W końcu ojciec wstał, przeciągnął się, otworzył plecak i położył na kłodzie nasz lunch. Zazwyczaj rozpalał ognisko, żeby zaparzyć herbatę, ale teraz tego nie zrobił, więc jadłam śnieg, żeby rozmoczyć herbatniki matki.

Po jedzeniu włożył wszystko do plecaka i odwrócił się bez słowa, żeby odejść. Gdy wędrowaliśmy do naszej chaty, mogłam myśleć tylko o tamtej rodzinie. Byliśmy tak blisko, że gdybym rzuciła kamieniem, pewnie bym ich trafiła. Z pewnością przyciągnęłabym ich uwagę, gdybym strzeliła nad ich głowami w drzewa. Zastanawiałam się, co by się wtedy stało.

Od tamtego czasu wiele razy byłam przy wodospadzie na rzece Tahquamenon. Zawsze robi wrażenie — liczy sobie ponad sześćdziesiąt metrów szerokości i piętnaście metrów pionowego spadku. Sto dziewięćdziesiąt tysięcy litrów wody przepływa w nim co sekundę podczas wiosennych roztopów, co sprawia, że Tahquamenon jest trzecim pod względem przepustowości wodospadem na wschód od Missisipi. Ponad pół miliona ludzi z całego

świata przybywa co roku, żeby obejrzeć to miejsce. Nie wiadomo dlaczego, wodospad cieszy się szczególną popularnością wśród turystów z Japonii. W parku znajdują się: centrum dla gości, restauracja z minibrowarem, publiczne toalety ze spuszczaną wodą i sklep z pamiątkami, gdzie sprzedaje swoje dzemy. Ścieżka do wodospadu jest brukowana, żeby łatwiej się szło, a służby parkowe postawiły cedrowe ogrodzenie przy krawędziach urwiska, żeby ludzie nie pospadali. Zdarza się, że ktoś ginie, tak jak pewien mężczyzna, który skoczył w wir u podnóża wodospadu, aby wydostać tenisówkę swojej dziewczyny, ale to nie wina służb parkowych.

W marcu Stephen i ja przywieźliśmy dziewczynki nad wodospad. Wtedy po raz pierwszy wróciłam tam zimą. Z perspektywy czasu uświadamiam sobie, że mogłam przewidzieć, co się stanie. Wtedy jednak myślałam tylko o tym, jak bardzo dziewczynkom spodoba się wodospad. Stephen od pewnego czasu nalegał na wycieczkę, ale ja wolałam poczekać, aż Mari będzie na tyle duża, żeby docenić to, co widzi. Poza tym na pomost trzeba zejść po dziewięćdziesięciu czterech stopniach, a potem się po nich wdrapać, więc lepiej nie przychodzić tam z dzieckiem, które trzeba nosić.

Stałam przy barierce na pomoście widokowym i patrzyłam, jak Stephen i dziewczynki śmieją się, rzucają śnieżkami i w ogóle dobrze się bawią, po czym się odwróciłam, żeby spojrzeć tam, gdzie ojciec i ja staliśmy dawno temu. Nagle znów byłam jedenastolatką, która przykuca za zwałonym drzewem i wraz z ojcem obserwuje pomost, zajęty teraz przeze mnie, Stephena i dziewczynki. Wtedy zrozumiałam.

To my byliśmy tamtą rodziną.

Zalała mnie fala żalu nad jedenastoletnią mną. Zwykle, kiedy myślę o tym, jak zostałam wychowana, potrafię zdobyć się na obiektywizm. Owszem, byłam córką uprowadzonej dziewczyny i porywacza. Przez dwanaście lat nie widziałam nikogo i nie rozmawiałam z nikim poza rodzicami. To rzeczywiście

brzmi dość ponuro, ale właśnie takie rozdanie dostałam od losu i takimi kartami musiałam grać, żeby ruszyć przed siebie, jak mówiła terapeutka wyznaczona przez sąd. Tak jakby ta analogia cokolwiek wyjaśniała dwunastolatce, która nigdy nie widziała talii kart.

Kiedy jednak stałam przy barierce, spoglądając na duchy przeszłości, serce mi pękało na myśl o tym biednym, dzikim dziecku, którym byłam, niemającym pojęcia o świecie mimo ukochanych „Geographiców”. Dziecku, które nie wiedziało, że piłka się odbija, że ludzie podają sobie ręce na powitanie i nazywają to uściskiem dłoni, bo naprawdę je ściskają. Dziecku, które nie wiedziało też, że ludzkie głosy brzmią inaczej, bo nigdy nie słyszało nikogo poza ojcem i matką. Nie miało pojęcia o współczesnej kulturze, popularnej muzyce ani technice. Które posłuchało ojca, kiedy kazał mu się ukryć przed pierwszą okazją kontaktu ze światem zewnętrznym.

Było mi również żal ojca. Wiedział, że jestem niespokojna. Na pewno miał nadzieję, że jeśli pokaże mi to, co uważa za największy skarb na mokradłach, przekona mnie do pozostania. Kiedy jednak ujrzałam tamtą rodzinę, pragnęłam już tylko odejść.

Odwróciłam się od barierki, nie tłumacząc przyczyny swoich łez. Powiedziałam tylko, że czuję się słabo, więc musimy natychmiast wracać do domu. Dziewczynki oczywiście były rozczarowane. Stephen wziął Mari na barana i o nic nie pytając, ruszył po schodach. Kiedy powoli szłam za nim z Iris, czułam, że mi nie uwierzyła.

Nagi, martwy mężczyzna na podłodze w kuchni nie jest moim mężem. Ta myśl pojawiła się w mojej głowie jedynie na krótki moment. Była to jedna z tych nielogicznych, emocjonalnych reakcji, które ogarniają człowieka w pierwszych sekundach po tym, jak przeżyje niespodziankę albo szok, i które równie szybko się zapomina.

Niepokoi mnie to, że nieznajomy jest nagi. Nietrudno się domyślić, że nie przygotowywał śniadania na golasa. Równie łatwo można dojść do wniosku, że ten człowiek nie ma nic na sobie, bo mój ojciec kazał mu zdjąć ubranie i dopiero potem go zastrzelił. To oznacza, że mężczyzna wiedział, co go czeka, a do tego został upokorzony w ostatnich chwilach życia. Naturalnie, ojciec zawsze wykazywał sadystyczne skłonności. Wątpię, by złagodniał po trzynastu latach więzienia o zaostrowym rygorze.

Bardziej jednak niż sposób, w jaki ojciec zamordował tego człowieka, martwi mnie to, że przecież wcale nie musiał go zabijać. Mógł przywiązać go do krzesła, zakneblować, jeśli nie chciał słuchać jego protestów, zrobić sobie coś do jedzenia, przebrać się, przespać, zagrać w karty, posłuchać muzyki i po prostu siedzieć w chacie, w czasie gdy tropiciele będą zaglądali pod każdy krzak na mokradłach. Potem, po zmroku, ruszyłby w dalszą drogę. Ktoś w końcu znalazłby tego mężczyznę, zapewne w ciągu dwóch dni, gdy poszukiwacze uświadomiliby sobie wreszcie, że ojciec ich nabrał, i poszliby na północ. Z pęt można się uwolnić na wiele sposobów, więc jeśli mężczyzna był choćby umiarkowanie zręczny, z pewnością by się oswobodził. Tymczasem ojciec kazał mu zdjąć ubranie, uklęknąć i błagać o darowanie życia, a potem

strzelił mu w tył głowy.

Wyciągam komórkę. Nie ma zasięgu, ale i tak wybieram 911. Czasem udaje się połączyć albo przesłać wiadomość, ale nie tym razem. Za to na ekranie pojawia się powiadomienie o kolejnych czterech wiadomościach od Stephen:

Gdzie jesteś?

U ciebie ok? Zadzwoń.

Wracaj do domu. Proszę. Pogadamy.

Ponownie czytam pierwszą wiadomość, a potem spoglądam na trupa. Gdzie jestem? Stephen na pewno nie chciałby wiedzieć.

Idę na drugą stronę kuchni, żeby sprawdzić telefon stacjonarny. Nie ma sygnału. Nieważne, czy właściciel nie zapłacił rachunku, czy też ojciec przeciął kable. Wychodzę z domu i z telefonem w ręce obchodzę podjazd, żeby sprawdzić, czy zdołam złapać zasięg. Nie szukam już żadnych śladów ani innych znaków świadczących o obecności ojca. Nie chcę grać w jego grę. Będę jechała przed siebie, aż pojawi się sygnał, a w razie konieczności udam się na komisariat policji stanowej i przekażę informację o morderstwie. Potem wrócę do domu. Ani Stephen, ani policjanci nie będą zachwyceni, że wybrałam się na poszukiwania ojca, ale to najmniejszy z moich problemów. Stephen może sobie uważać, że wystarczy powiedzieć: „Przepraszam, kocham cię” i wszystko się ułoży, ale ja wiem lepiej. Zawsze będzie pamiętał, że ojciec kobiety, z którą się ożenił, jest bardzo złym człowiekiem. Może udawać, że nic się nie zmieniło, może nawet zdoła przekonać samego siebie. W rzeczywistości jednak nigdy nie uda mu się zapomnieć, że połowa zestawu moich genów pochodzi od ojca. W tej chwili zapewne siedzi przy komputerze i czyta wszystko, co da się znaleźć na temat Króla Moczarów i jego córki.

Tym razem, kiedy dziennikarskie sępy rzucą się, żeby rozerwać mnie na kawałki, będzie gorzej ze względu na dziewczynki. Stephen i ja możemy

próbować ukrywać je przed okiem ciekawskich, ale to równie wykonalne jak powstrzymanie wodospadu. Mari pewnie się z tym upora, Iris niekoniecznie. Pewnego dnia obie poznają prawdę o mnie, o swoich dziadkach i o podłości, której dopuścił się dziadek w stosunku do babci. Wszystko można znaleźć w komputerze, także artykuł i idiotyczną okładkę czasopisma „People”. Wystarczy wygoogłować.

Mam nadzieję, że kiedy przyjdzie pora, moje córki uświadomią sobie, że bardzo się starałam być lepszą matką dla nich, niż moja matka była dla mnie. Rozumiem, że cierpiała po opuszczeniu mokradeł. Wróciła do życia, które długo toczyło się bez niej. Dzieci, z którymi chodziła do szkoły, dorosły, wzięły śluby, same miały dzieci, wyprowadziły się w inne miejsca. Gdyby nie rozgłos, który przyniosło jej porwanie, trudno powiedzieć, jak potoczyłoby się życie matki. Moim zdaniem wyszłaby za mąż zaraz po maturze, szybko urodziłaby dwójkę dzieci, jedno po drugim, mieszkałaby w przyczepie gdzieś na ziemi swoich rodziców albo w czyjejs pustej chacie, zmywałaby naczynia, sprzątała, gotowała, prała, a jej mąż pracowałby jako dostawca pizzy albo ciął drewno na papierówkę. Jeśli się nad tym zastanowić, nie bardzo różniłoby się to od życia na mokradłach. Może to brzmi okrutnie, ale musicie pamiętać, że matka miała tylko dwadzieścia osiem lat, gdy je opuściła. Mogła dokończyć edukację, zrobić coś ze sobą. Rozumiem, że mój ojciec porwał ją, gdy była nieletnia, i że dorastanie w niewoli odciska na dzieciach straszne piętno. Uwięzienie hamuje ich rozwój akurat wtedy, gdy powinny dojrzewać emocjonalnie i intelektualnie. Często się zastanawiałam, czy lalka, którą matka zrobiła na moje piąte urodziny, nie była w rzeczywistości przeznaczona dla niej.

Ale ja też walczyłam. Nie miałam przyjaciół, wyleciałam ze szkoły. Dziadkowie mnie nienawidzili, a przynajmniej zachowywali się, jakby tak było. Ja z całą pewnością nienawidziłam ich za to, jak mnie traktowali.

Nienawidziłam tego, że matka całymi dniami siedziała w sypialni, i nienawidziłam ojca, bo zrobił jej coś, przez co teraz bała się wyjść. Każdego dnia o nim myślałam, tęskniłam za nim, kochałam go. Bardziej niż czegokolwiek innego pragnęłam, żeby wszystko było takie jak przed opuszczeniem mokradeł. Nie w tych chaotycznych dniach przed naszą ucieczką, ale takie jak w moim wczesnym dzieciństwie, ponieważ tylko wtedy czułam się naprawdę szczęśliwa.

Zrozumiałam, że matka nigdy nie będzie taką matką, jakiej rozpaczliwie potrzebowałam, kiedy natknęłam się na mężczyznę w jej łóżku. Nie wiem, jak długo się z nim widywała. Być może wtedy spędziła z nim pierwszą noc, być może setną. Może ją kochał, może ona kochała jego. Może gotowa była w końcu zerwać z przeszłością. Jeśli tak, to chyba jej to uniemożliwiłam.

Ubrałam się i poszłam na górę, żeby skorzystać z łazienki. W pokoju matki stały dwa podwójne łóżka, jednak po tygodniach dzielenia z nią jej sypialni z dzieciństwa miałam już dosyć tej bliskości i przeniosłam się na kanapę w suterenie.

Drzwi łazienki były zamknięte. Uznałam, że matka z niej korzysta, i poszłam do sypialni, żeby coś poczytać w trakcie czekania. Kiedy dorastałam, matka spędzała mnóstwo czasu w wychodku, więc przypuszczałam, że trochę to potrwa. Wcześniej wydawało mi się, że często wymiotowała, jednak z perspektywy czasu dochodzę do wniosku, że wychodek był jedynym miejscem na naszym wzniesieniu, gdzie mogła mieć chwilę tylko dla siebie.

Stałam w drzwiach, bo zobaczyłam, że jakiś mężczyzna leży na boku w łóżku matki. Kołdra była odrzucona, a on podpierał się łokciem, demonstrując swoją nagość. Wiedziałam, co robili, większość czternastolatków by wiedziała. Kiedy żyje się z ojcem i matką w maleńkiej chacie i regularnie przesiaduje z nimi w łaźni, bez ubrania, a do tego ma się stertę „Geographiców” ze zdjęciami nagich dzikusów, trzeba być skończonym

idiotą, żeby się nie domyślić, o czym świadczy skrzypienie łóżka w sypialni.

Mężczyzna natychmiast przestał się uśmiechać, gdy zobaczył, że to ja, a nie matka. Usiadł i szybko zakrył się kołdrą. Położyłam palec na ustach, wyciągnęłam nóż i usiadłam na łóżku naprzeciwko niego, z ostrzem wycelowanym w jego genitalia. Zerwał się i wyrzucił ręce nad głowę tak szybko, że omal nie pękłam ze śmiechu. Ruchem noża wskazałam stos ubrań na podłodze. Błyskawicznie je przetrząsnął, włożył T-shirt, majtki, skarpetki i spodnie, podniósł buty i wyszedł na palcach, nie zamieniwszy ze mną ani słowa. To wszystko trwało niespełna minutę. Matka wybuchnęła płaczem, kiedy zobaczyła, że go nie ma. O ile mi wiadomo, nigdy nie wrócił.

Po tym zdarzeniu zaczęłam snuć plany ucieczki. Od opuszczenia mokradeł zostawałam w lasach na noc, kiedy tylko miałam na to ochotę, ale teraz było inaczej. Staranniej wszystko zaplanowałam i chciałam zniknąć na dobre. Wypełniłam jutowy worek tym, czego potrzebowałam do pozostania w chacie przez lato, a może i dłużej, przemknęłam się nad rzekę Tahquamenon i ukradłam kanoe. Uznałam, że trochę powędkuję i popoluję, może poszukam ojca. Ogólnie rzecz biorąc, dla odmiany będę się cieszyć samotnością. Następnego dnia znalazł mnie zastępca szeryfa. Gdy przypłynął łodzią patrolową, uświadomiłam sobie, że powinnam była to przewidzieć, bo zniknięcie kanoe i dziewczynki z dziczy musiało zaprowadzić go wprost do naszej chaty.

To była pierwsza z moich licznych ucieczek. Można powiedzieć, że od tamtego czasu nie przestałam uciekać.

Błysk i grzmot pioruna, mżawka zmienia się w deszcz. Wrzucam telefon do kieszeni i biegnę przez podjazd do pikapa. Nie słyszę Rambo. To nietypowe dla niego, zwykle szczeka, abym wiedziała, że chce się dostać do środka, nawet jeśli każę mu leżeć z tyłu i być cicho. Rambo jest dobrze wyszkolony jak na plotta, ale każda rasa ma swoje ograniczenia.



Schodzę z podjazdu i chowam się za największą sosną Banksa, jaką zdołam znaleźć, co zresztą niewiele daje, bo drzewo ma zaledwie dwadzieścia pięć centymetrów średnicy, nie więcej. Stoję całkiem nieruchomo. Myśliwy w maskującym stroju, oparty plecami o drzewo, żeby się ukryć, jest niemal niewidzialny, o ile zachowuje się cicho. Nie noszę kamuflażu, ale mam ponadprzeciętną wprawę, jeśli chodzi o wtapianie się w leśne tło. Dysponuję też świetnym słuchem — o wiele lepszym niż myśliwi, z którymi polowałam, może z wyjątkiem ojca — co mnie zdumiewało, dopóki nie zdałam sobie sprawy, że i to wynika z dorastania w określonych warunkach. Bez radia i telewizji, bez hałasu ulicy i tysiąca innych dźwięków, na które narażeni są każdego dnia ludzie, nauczyłam się rozróżniać najcichsze odgłosy. Myszy żerującej w sosnowych igłach. Liścia spadającego w lesie. Niemal niesłyszalny trzepot skrzydeł sowy śnieżnej.

Czekam. Z tyłu pikapa nie dobiega skomlenie ani drapanie pazurami o metal. Wydaję z siebie długi gwizd, po nim trzy krótkie. Pierwszy jest niski, następne nieco wyższe. Nauczyłam Rambo reagować na ten sygnał. Sikorki bym nie oszukała, ale mój ojciec nie słyszał tych dźwięków od trzynastu lat, więc nawet jeśli znajduje się w zasięgu słuchu, nie powinien nabrać podejrzeń.

Nadal nic. Wyciągam magnum z tyłu spodni i czołgam się przez zarośla. Pikap wygląda tak, jakby osiadł. Zbliżam się i widzę, że obie opony po stronie kierowcy są przecięte.

Wstaję, biorę się w garść, po czym zaglądam na tył. Samochód jest pusty, Rambo zniknął.

Oddycham głęboko. Smycz psa została przecięta, niewątpliwie tym samym nożem, który ojciec zabrał z chaty, żeby przedziurawić opony. Przeklinam swoją krótkowzroczność. Powinnam była się domyślić, że ojciec nie doprowadził mnie do tej chaty tylko dlatego, że pragnął mnie znów zobaczyć.

To sprawdzian. Znowu chce się pobawić w naszą starą grę w tropienie, aby raz na zawsze udowodnić, że jest lepszy w polowaniach i podchodach niż ja. *Nauczyłem cię wszystkiego, co wiesz. Zobaczmy, jak sobie poradzisz.*

Zabrał Rambo, więc nie mam wyjścia, muszę za nim iść. W sumie robił to już wcześniej. Kiedy miałam dziewięć czy dziesięć lat i byłam już bardzo dobra w tropieniu, podbił stawkę, żeby uatrakcyjnić naszą grę. Musiałam znaleźć ojca i strzelić do niego przed upływem wyznaczonego czasu, czyli zwykle przed zachodem słońca, choć nie zawsze. Jeśli mi się nie udawało, zabierał coś, co było dla mnie cenne: kolekcję kolb pałki wodnej, zapasową koszulę, trzeci łuk ze strzałami, które zrobiłam z młodych wierzb i które okazały się całkiem skuteczne. Ostatnie trzy razy, kiedy się bawiliśmy — nieprzypadkowo zwyciężyłam we wszystkich trzech wypadkach — w grę wchodziły moje rękawice ze skóry jelonka, nóż i pies.

Obchodzę auto, aby obejrzeć je z drugiej strony. Okazuje się, że wszystkie opony są poprzecinane. Zauważam ślady człowieka i psa, kierujące się na drugą stronę drogi, między drzewa. Tropy są doskonale widoczne, równie dobrze mogłyby być namalowane fluorescencyjną farbą i oznakowane strzałkami. Gdyby ktoś spojrział z góry i narysował linię wzdłuż śladów do miejsca, w którym stoję, okazałoby się, że człowiek i pies zmierzają prosto do mojego domu.

To oznacza, że gra toczy się nie o mojego psa, ale o moją rodzinę.

## CHATA

*Kiedy matka stała na ganku albo wychodziła na podwórze, Helga trochę za często, dla nikczemnej zabawy, siadała na brzegu studni, wyrzucała w górę ramiona i nogi i wpadała do tej wąskiej i głębokiej dziury w ziemi; mając naturę żaby, nurkowała, wypływała na powierzchnię i wdrapywała się do góry jak kot. Wchodziła potem ociekająca wodą do paradnej izby, a zielone liście, którymi wyłożona była podłoga, unosiły się w strumieniach wody.*

H.CH. ANDERSEN  
*Córka króla moczarów*

Przez kilka tygodni po wyprawie nad wodospad nie mogłam przestać myśleć o tamtej rodzinie. Wspominałam, jak dzieci biegały w górę i w dół schodów i jak rodzice stali objęci, z uśmiechem patrząc, jak ich syn i córka rzucają śnieżkami, siłują się i śmieją. Nie miałam pewności, czy to naprawdę chłopiec i dziewczynka, bo mieli na sobie szaliki, czapki i płaszcze, ale tak to sobie wyobraziłam. Chłopcu dałam na imię Cousteau, bo nosił czerwoną czapkę jak Jacques-Yves Cousteau na zdjęciach w „National Geographic”, a jego siostrę nazwałam Calypso, na cześć statku badacza mórz. Zanim przeczytałam artykuł o Cousteau, moimi ulubionymi podróżnikami byli Eryk Rudy i jego syn Leif Eriksson. Oni jednak tylko pływali po wodzie, a Cousteau badał to, co jest pod nią. Gdy próbowałam opowiedzieć ojcu o odkryciach Cousteau,

odpowiadał, że bogowie go ukarzą, bo ośmielił się zapuścić do tej części ziemi, której człowiek nigdy nie miał zobaczyć. Nie rozumiałam, dlaczego bogowie mieliby się tym przejmować. Ja chciałabym wiedzieć, co się znajduje na dnie mokradeł.

Cousteau, Calypso i ja wszystko robiliśmy razem. Postanowiłam, że będą trochę starsi niż dzieci na pomoście, żebyśmy tworzyli zgraną kompanię i żeby mogli pomagać mi w obowiązkach. Czasem wymyślałam rozmaite historie: „Cousteau, Calypso i Helena pływają w bobrowym rozlewisku”, „Cousteau i Calypso idą wędkować pod lodem z Heleną” albo „Cousteau i Calypso pomagają Helenie złapać żółwia jaszczurowatego”. Nie mogłam spisać tych opowieści, bo nie mieliśmy ołówków i papieru, więc najlepsze powtarzałam sobie na okrągło w myślach, żeby nie zapomnieć. Wiedziałam, że prawdziwi Cousteau i Calypso mieszkają z matką i ojcem w domu z kuchnią, jak te w „Geographicach”. Wymyślałam także historie, które rozgrywały się u nich: „Cousteau, Calypso i Helena jedzą popcorn Jiffy Pop, oglądając programy w swoim zupełnie nowym kolorowym telewizorze RCA”, ale łatwiej mi było wprowadzić ich do mojego świata, niż wyobrazić sobie siebie w ich świecie.

Matka nazywała Cousteau i Calypso moimi wyimaginowanymi przyjaciółmi. Zastanawiała się, dlaczego nie bawiłam się lalką, którą dla mnie zrobiła, tak jak bawiłam się z nimi. Na to było już jednak za późno, nawet gdybym chciała — a nie chciałam. Lalka wciąż wisiała na kajdankach w drewnutni, lecz niewiele z niej zostało. Myszy rozprawiły się z większością wypełnienia, a na śpioszkach roіło się od dziur po strzałach.

Ojciec nawet jednym słowem nie wspomniał o tamtych ludziach ani w drodze nad wodospadu, ani w następnych tygodniach. Jego milczenie początkowo mnie niepokoiło. Miałam tyle pytań. Skąd pochodziła tamta rodzina? Jak się dostała nad wodospad? Przyjechali autem czy przyszli pieszo? A jeśli szli piechotą, to z pewnością mieszkali blisko, bo dzieci były

za małe, żeby zapuszczać się na większe odległości, a poza tym nikt z nich nie miał rakiet na nogach. Jakie te dzieci nosiły imiona, tak naprawdę? Ile miały lat? Co lubiły jeść? Chodziły do szkoły? Miały telewizor? Widziały mnie i ojca, jak patrzyliśmy na nie zza wodospadu? Czy teraz rozmyślały o mnie, tak jak ja o nich?

Chciałam poznać odpowiedzi choćby na część tych pytań. Zastanawiałam się, czy nie spakować plecaka z zapasami na dwa lub trzy dni i nie ruszyć po zamarzniętych mokradłach w kierunku drzew, żeby sprawdzić, czy zdołam znaleźć dom tych ludzi. Gdyby mi się nie udało, może trafiłabym na inną, równie interesującą rodzinę. Wiedziałam, że świat jest pełen ludzi, ale teraz przekonałam się, że niektórzy znajdują się całkiem blisko.

Jedno było pewne — nie mogłam na zawsze pozostać na mokradłach. Nie chodziło tylko o to, że kończyła się nam część zapasów. Ojciec był o wiele starszy od matki. Gdyby któregoś dnia umarł, matka i ja radziłybyśmy sobie aż do wyczerpania nabożów do strzelby, ale w końcu matka też by umarła i co bym wtedy zrobiła? Nie chciałam samotnie mieszkać na mokradłach. Pragnęłam znaleźć sobie partnera. W artykule o Yanomami było zdjęcie chłopca, który mi się spodobał. Nosił na ramionach martwą małpę jak pelerynę i nie miał na sobie nic innego. Wiedziałam, że mieszkał w innej części świata i że zapewne nigdy się nie spotkamy, ale gdzieś bliżej musieli być inni chłopcy, podobni do niego, z którymi mogłabym się sparować. Uznałam, że jeśli znajdę kogoś takiego, sprowadzę go na mokradła i sama założę rodzinę. Fajnie byłoby mieć dzieci: chłopca i dziewczynkę.

Dopóki nie zobaczyłam tamtej rodziny, nie byłam pewna, jak wszystko się ułoży. Teraz jednak miałam już konkretne pomysły.

W tamtych tygodniach ojciec trzykrotnie zniknął, żeby upolować naszego wiosennego jelenia, i za każdym razem wracał z pustymi rękami. Twierdził, że łowy mu się nie udają, bo ziemia jest przeklęta, i że bogowie nas karzą. Nie

powiedział za co.

Za czwartym razem wziął mnie ze sobą, gdyż uznał, że swoim strzałem zdejmę klątwę. Nie wiedziałam, czy naprawdę tak się stanie, ale jeśli to oznaczało, że znów będę mogła upolować jelenia, nie miałam nic przeciwko temu. Od położenia pierwszej łani co roku pytałam ojca, czy mogę to powtórzyć, i co roku odmawiał. Nie rozumiałam, dlaczego zadał sobie tyle trudu, żeby nauczyć mnie strzelać, skoro nie chciał, abym pomogła mu zdobyć jeleninę na nasz stół.

Cousteau i Calypso zostali w domu. Ojciec nie lubił, kiedy się z nimi bawiłam albo wypowiadałam ich imiona. Czasem robiłam to specjalnie, żeby go zdenerwować, jednak nie dzisiaj. Ostatnio wciąż był tak wściekły z powodu klątwy, że nawet zamierzałam ich gdzieś odesłać. („Cousteau i Calypso wybrali się bez Heleny do lasu deszczowego odwiedzić Yanomami”). Rambo był przywiązany w drewnutni. Ojciec twierdził, że nadaje się do wygonienia niedźwiedzia z jamy albo do zapędzenia szopa na drzewo, ale nie do polowań na jelenie, które zbyt łatwo się płoszyły. Nie rozumiałam, dlaczego to miałyby być problem. Nawet gdyby Rambo wystraszył jelenie, bez trudu zdołałby je dogonić, bo potrafił biegać po śnieżnej skorupie, podczas gdy jelenie zapadały się w niej na swych cienkich nogach. Wystarczyłoby tylko podejść i strzelić. Czasem zastanawiałam się, czy jedynym powodem, dla którego ojciec ustanawiał tyle zasad i ograniczeń, nie było to, że mógł to robić.

Szłam przodem, bo niosłam strzelbę. Podobało mi się to, gdyż oznaczało, że ojciec będzie musiał pójść tam, dokąd ja zechcę. Pomyślałam o przydomku, który mi nadał, *Bangii-Agawaateyaa*, i uśmiechnęłam się do siebie. Już nie byłam jego Małym Cieniem.

Zmierzałam ku wzniesieniu, na którym zastrzeliłam swojego pierwszego jelenia, ponieważ to miejsce przyniosło mi szczęście. Nadal miałam nadzieję, że uda mi się położyć strzałem łanię w bliźniaczej ciąży.

Kiedy dotarliśmy do opuszczonego żeremia, gdzie ojciec kiedyś zastawiał pułapki, dałam mu znać, żeby się schylił, po czym ściągnęłam rękawiczki i kucnęłam obok niego. Polizałam palec, sprawdziłam kierunek wiatru i policzyłam do stu. Jeśli usłyszał nas jakiś jelen, musiał mieć czas na uspokojenie się. Powoli uniosłam głowę.

Po drugiej stronie żeremia, w pół drogi między nami a mokradłem z cedrami, gdzie powinien być jelen, na otwartej przestrzeni stał sobie wilk. To był basior, dwa razy większy od kojota i trzy razy większy od mojego psa, z olbrzymim łbem, szerokim czołem, szeroką pierśią i grubym, ciemnym kołnierzem. Nigdy nie widziałam żywego wilka, tylko skórę w naszej szopie, ale od razu go rozpoznałam. W końcu stało się jasne, dlaczego ojciec nie mógł zastrzelić jelenia. Ziemia nie była przeklęta — po prostu pojawił się na niej nowy myśliwy.

Ojciec pociągnął mnie za rękaw i wskazał na broń. *Strzelaj*, wyszeptał bezgłośnie i poklepał się po piersi, żeby mi pokazać, gdzie powinnam celować, żeby nie zepsuć skóry. Bardzo ostrożnie podniosłam strzelbę i zerknęłam przez lunetę. Wilk spoglądał na nas spokojnie, bystro, jakby wiedział, że tu jesteśmy, i miał to w nosie. Położyłam palec na spuście. Wilk ani drgnął. Przypomniałam sobie opowieści ojca o tym, jak *Gitche Manitou* wysłał wilka, żeby ten dotrzymał towarzystwa pierwszemu człowiekowi podczas jego wędrówki po ziemi, kiedy nadawał nazwy roślinom i zwierzętom. O tym, jak skończyli pracę, a *Gitche Manitou* zdecydował, że *Mai'iigan* i człowiek pójdą teraz każdy swoją drogą, ale spędzili już ze sobą tyle czasu, że byli sobie bliscy jak bracia. I o tym, jak dla *Anishinaabe* zabicie wilka równałoby się zabiciu człowieka.

Ojciec ścisnął mnie za rękę. Czułam jego emocje, złość, niecierpliwość. *Strzelaj*, wysyczałby, gdyby mógł. Ścisnęło mnie w żołądku. Pomyślałam o stertach futer w szopie i o tym, jak przez pułapki ojca bobry całkiem zniknęły

z żeremia, za którym się chowaliśmy. A także o tym, że wilk był tak ufny, że położenie *Mai'iigan* trupem nie różniłoby się od zastrzelenia mojego psa.

Opuściłam strzelbę, wstałam, zaklaskałam w dłonie i krzyknęłam. Wilk spoglądał na mnie przez chwilę, po czym odbiegł w dwóch długich, pięknych susach.

Postanawiając oszczędzić wilka, wiedziałam, że to nie skończy się dobrze. Nie przypuszczałam jednak, że ojciec wyrwie mi strzelbę i rąbnie mnie kolbą w twarz z taką siłą, że wyląduję plecami na śniegu. Nie spodziewałam się też, że każe mi maszerować do domu, celując w moje plecy, jakbym była więźniem. Chciałabym powiedzieć, że nic mnie to nie obeszło. Nie lubiłam sprzeciwiać się ojcu. Mimo to uważałam, że nie mogłam postąpić inaczej. Wiedziałam, że bardzo pragnął tej wilczej skóry, ale wilk też jej pragnął.

Rozmyślałam o tym wszystkim, kucając na piętach w ciemności. Nie mogłam usiąść, bo ojciec zapełnił dno studni porożem jelenia, żebrami, pokruszonym szkłem i stłuczonymi naczyniami — wszystkim, co mogłoby mnie zranić albo pokaleczyć, gdybym usiadła. Kiedy byłam mała, potrafiłam zwinąć się na boku i leżeć na liściach, czasem nawet zasypiałam. Pewnie właśnie dlatego ojciec zaczął napełniać studnię śmieciami. Czas na przemyślenia nie miał być czasem wygody.

Szyb był głęboki i wąski. Żeby rozprostować ręce, musiałam unieść je nad głowę. Robiłam tak, gdy zaczynały mi mrowić dłonie. Musiałabym urosnąć o kolejne metr osiemdziesiąt, żeby sięgnąć do pokrywy.

Nie wiedziałam, która jest godzina ani jak długo siedzę w studni, ponieważ pokrywa nie przepuszczała światła. Ojciec mówił, że ludzie, którzy zbudowali chatę, położyli pokrywę w taki sposób, aby dzieci nie wpadały do studni. Ja wiedziałam jedynie, że ojciec pozostawi mnie tam tak długo, jak zechce, i wypuści, kiedy będzie gotowy. Czasem zastanawiałam się, co by było, gdyby tego nie zrobił. W „Geographicach” napisano, że Nikita Chruszczow chciał,



aby Związek Radziecki zrzucił bombę na Stany Zjednoczone. Gdyby do tego doszło i bomba zabiłaby moich rodziców, co stałoby się ze mną? Staralam się nie myśleć o tym zbyt często, bo wtedy miałam trudności z oddychaniem.

Byłam bardzo zmęczona. Ręce i nogi mi zdrętwiały, szczękałam zębami, ale w końcu na szczęście przestałam się trząść. Tym razem ojciec pozwolił mi zostać w ubraniu, co pomogło. Poluzowały mi się przednie zęby i bolała mnie twarz z boku, ale najbardziej przejmowałam się nogą. Rozciąłam ją o coś ostrego, kiedy ojciec wrzucił mnie do studni. Wytarłam krew połą koszuli i zawiązałam szalik wokół górnej części nogi jak opaskę uciskową, ale nie wiedziałam, czy to pomoże. Próbowałam nie myśleć o tym, że kiedyś dzieliłam studnię ze szczurem.

— Nic ci nie jest?

Otworzyłam oczy. Calypso siedziała z przodu w kanoe ojca, które kołysało się łagodnie na rzece. Dzień był ciepły i słoneczny. Pałki pochylały się i kiwały na wietrze. Nad naszymi głowami pikował jastrząb, w oddali krzyczał epoletnik krasnoskrzydły. Kanoe wbiło się dziobem w trzciny. Cousteau siedział na rufie.

— Popłyn z nami — poprosiła Calypso. — Wyruszamy na wyprawę.

Z uśmiechem wyciągnęła do mnie rękę.

Kiedy wstałam, drżały mi nogi, jakby nie mogły mnie utrzymać. Wzięłam Calypso za rękę i ostrożnie weszłam do kanoe. Było przeznaczone dla dwóch osób, więc usiadłam na podłodze pośrodku, między ławkami. Metalowa łódka miała zimne dno.

Cousteau sięgnął wiosłem do brzegu i odepchnął kanoe. Prąd był bardzo silny, więc Cousteau i Calypso tylko sterowali. Gdy płynęliśmy w dół rzeki, pomyślałam o dniu, w którym się poznaliśmy. Cieszyłam się z przyjaźni z Cousteau i Calypso.

— Macie coś do jedzenia? — Byłam bardzo głodna.

— Jasne.

Calypso odwróciła się i uśmiechnęła. Miała białe i proste zęby, oczy niebieskie jak moja matka, a włosy gęste i ciemne, splecione w warkocz jak moje. Sięgnęła do plecaka u swoich stóp i wręczyła mi jabłko, wielkie jak obie moje pięści. Ta odmiana, nazywana przez ojca „wilczą rzeką”, była jedną z trzech, które rosły w pobliżu naszej chaty. Ugryzłam jabłko i sok spłynął mi po brodzie.

Zjadłam je razem z pestkami i całą resztą. Calypso uśmiechnęła się i dała mi następne. Tym razem zostawiłam ogryzek, który cisnęłam do rzeki dla ryb, po czym zanurzyłam palce w wodzie, żeby spłukać z nich lepkość. Woda była bardzo zimna, podobnie jak krople, które lądowały na mojej głowie, kiedy Cousteau muskał nurt wiosłem. Mijaliśmy kaczeńce i irysy, castilleje, lilie filadelfijskie, dziurawce, kosańce żółte, rdestnice i niecierpki. Nigdy w życiu nie widziałam tylu kolorów. Kwiaty, które zwykle nie kwitną razem, rozkwitły teraz jednocześnie, całkiem jakby mokradła postanowiły urządzić dla mnie specjalny pokaz.

Prąd się nasilił. Kiedy dopłynęliśmy do drewnianego znaku, który wisiał na stalowej linie nad rzeką, przeczytałam cały napis: NIEBEZPIECZEŃSTWO. BYSTRZA. ZAKAZ WPŁYWANIA ŁODZI WIOSŁOWYCH. Pochyliłam głowę, kiedy przepływaliśmy pod liną.

Ryk rozbrzmiewał coraz głośniejsze. Wiedziałam, że płyniemy w kierunku wodospadu. Gdy dotarliśmy do jego skraju, dziób łodzi się pochylił, zanurzył w pianie i mgiełce, by zniknąć w wirze u podnóża skały. Nie wątpiłam, że utonę, ale nie czułam lęku.

— Ojciec cię nie kocha — odezwał się nagle Cousteau zza moich pleców. Słyszałam go wyraźnie, choć kiedy ostatnio byłam tak blisko wodospadu, ojciec i ja musieliśmy krzyczeć. — Kocha tylko siebie.

— To prawda — przytaknęła Calypso. — Nasz ojciec nas kocha. Na pewno

nie wrzuciłby nas do studni.

Pomyślałam o dniu naszego spotkania i o tym, jak ich ojciec się z nimi bawił. Uśmiechał się, kiedy podnosił małą Calypso i brał ją na barana, śmiał się też w drodze na górę schodów. Wiedziałam, że mówiła prawdę.

Przetarłam oczy rękawem kurtki. Nie rozumiałam, dlaczego są mokre. Nigdy nie płakałam.

— Uszy do góry. — Calypso wychyliła się i wzięła mnie za rękę. — Nie bój się. My cię kochamy.

— Jestem taka zmęczona.

— Wiem — powiedział Cousteau. — Wszystko w porządku. Połóż się i zamknij oczy. Zajmiemy się tobą.

Wiedziałam, że to też prawda, więc go posłuchałam.

Matka mówiła mi, że spędziłam w studni trzy dni. Nie sądziłam, że człowiek może tyle wytrzymać bez jedzenia i picia, ale najwyraźniej tak było. Powiedziała też, że kiedy ojciec w końcu odsunął pokrywę i opuścił drabinę, byłam zbyt słaba, żeby się po niej wspiąć, więc musiał mnie przerzucić przez ramię jak martwego jelenia i wynieść. Dodała, że wielokrotnie chciała odsunąć pokrywę i podać mi jedzenie oraz wodę, ale ojciec kazał jej siedzieć na krześle w kuchni i celował do niej ze strzelby, więc nie mogła tego zrobić.

Opowiadała, że ojciec przyniósł mnie do chaty i cisnął na podłogę koło piecyka jak worek z mąką, a potem odszedł. Myślała, że nie żyję. Zrzuciła materac z ich łóżka, zaciągnęła do kuchni, przetoczyła mnie na niego i przykryła kocami. Potem zdjęła z siebie ubranie, położyła się obok i mnie tuliła, aż znów zrobiłam się ciepła. Nawet jeśli rzeczywiście tak było, ja niczego nie pamiętałam. Przypominam sobie tylko, że obudziłam się na materacu, trzęsąc się z zimna, choć twarz, dłonie i stopy miałam rozpalone. Zsunęłam się na podłogę, ubrałam i chwiejnym krokiem ruszyłam do wygodki. Gdy usiłowałam się wysuszyć, prawie nic nie poleciało.

Następnego dnia ojciec spytał, czy wyciągnęłam wnioski z tej lekcji, a ja przytaknęłam. Nie sądzę jednak, żebyśmy mieli na myśli to samo.

Ślady na drodze to wiadomość, której nie sposób nie zauważyć. *Idę do twojego domu. Złap mnie, powstrzymaj, ocal ich, jeśli potrafisz.*

Otwieram auto, wypełniam kieszenie amunicją i zdejmuję rugera znad okna. Sprawdzam magnum, poprawiam nóż przy pasku. Ojciec ma dwa pistolety oraz nóż, który zabrał z chaty martwego mężczyzny. Ja mam rewolwer, strzelbę i finkę Bowie, którą noszę od dzieciństwa. Szanse są wyrównane.

Nie jestem pewna, czy ojciec wie, że mam rodzinę, trudno też zgadywać, czy wie, że mieszkam w miejscu, w którym dorastał. Zakładam jednak, że tak, mógł się dowiedzieć na wiele sposobów. Więźniowie nie dysponują dostępem do internetu, ale ojciec ma adwokata, a prawnicy korzystają z informacji o rejestrze podatkowym, właścicielach nieruchomości, aktach ślubów i zgonów. Ojciec mógł być ciekaw, kto mieszka w domu jego rodziców, a adwokat zapewne nawet się nie zorientował, że padł ofiarą manipulacji. Kto wie, czy na prośbę ojca nie obserwował mojego domu pod jakimś niewinnym pretekstem. Jeśli mnie zobaczył i potem wspomniał o tatuażach, ojciec natychmiast zrozumiał, że chodzi o mnie. Nie po raz pierwszy się zastanawiam, czy powinnam była całkiem usunąć tatuaże, bez względu na długość tego procesu i cenę. Teraz dociera do mnie, że trzeba było zmienić nie tylko nazwisko, ale i imię. Skąd jednak mogłam wiedzieć, że po dziewięciu latach narażę swoją rodzinę na niebezpieczeństwo? Nie uciekałam przed wymiarem sprawiedliwości ani przed zorganizowaną przestępczością. Nie zostałam objęta oficjalnym programem ochrony świadków. Byłam tylko osiemnastolatką, która pragnęła zacząć wszystko od nowa.

Jest jeszcze jedno wytłumaczenie tego, skąd ojciec zna mój adres, znacznie bardziej ponure i pokrętne. Kto wie, czy nie mieszkam na ziemi jego rodziców, bo to on tego chciał. Może zostawili posiadłość w testamencie jemu, ale pozwolił, że spadek przypadł mnie, gdyż od początku zamierzał mnie wytropić. Możliwe, że przecenił ojca, lecz jeśli zaplanował ucieczkę w taki sposób, że teraz szukam go na jego warunkach, jestem skłonna przyznać, że go nie doceniłam. To się już nie powtórzy.

Sprawdzam telefon, nadal brak sygnału. Wysłałam Stephenowi esemes z ostrzeżeniem. Musi opuścić dom. Modłę się, żeby wiadomość dotarła, i skręcam na zachód. Oddalam się od tropu ojca, którym jego zdaniem powinnam podążać. Bez wątpienia mogłabym go wytropić, gdybym tylko chciała. Człowiek krążący po lesie zawsze pozostawia za sobą ślady, bez względu na to, jak umiejętnie je zaciera. Gałązki się łamią, ziemia się porusza, buty pozostawiają odciski na trawie. Mech gniece się pod stopami, żwir wciska się w grunt. Do obuwia przylepiają się drobiny ziemi i spadają na inne podłoże: ziarna piasku przywierają do zwalonego drzewa, kawałki mchu pozostają na gołych skałach. Co więcej, ojciec wędruje z moim psem. Jeśli nie niesie Rambo na rękach albo ramionach, zwierzak o trzech nogach pozostawi ślady, których nie sposób nie zauważyć.

Nawet jeśli deszcz nie zmyje tak szybko śladów ojca, nie będę go tropiła. Ograniczając się do podążania za nim, przegram. Muszę go wyprzedzić. Ojciec nie wie, że moich córek nie ma w domu, za to ja wiem, że jest tam mój mąż. Znajdujemy się niespełna osiem kilometrów od niego. Często polowałam w tej okolicy i dobrze ją znam. Pomiedzy tą drogą a moim domem są dwa niewielkie strumyki, bobrowe rozlewisko i stromy wąwóz z potokiem na dnie, który ojciec będzie musiał pokonać. Drzewa, które pojawiły się na miejscu wyciętego lasu, czyli osiki i sosny wirginijskie, porastają wyższe tereny. W sumie nie bardzo jest się za czym schować, więc ojciec będzie musiał się

trzymać obniżeń terenu. Deszcz leje tak mocno, że strumyki wkrótce zamienią się w rwące potoki. Jeśli ojciec zamierza pokonać płynący dnem wąwozu potok, zanim stanie się on rozszalałą rzeką, musi się pośpieszyć.

Ojciec wie to wszystko równie dobrze jak ja, bo krążył po tych lasach w dzieciństwie i młodości. Nie wie jednak — nie ma takiej możliwości, chyba że widział ostatnie zdjęcia satelitarne okolicy, w co wątpię — że trzy lub cztery lata temu całkowicie wyjął fragment lasu między tym miejscem a moim domem. Nie ma też pojęcia o istnieniu pozostawionej przez drwali gruntowej drogi, która prowadzi niemal do mokradeł za moim domem.

To będzie jego pierwszy błąd.

Ruszam spokojnym truchtem. Ojciec ma najwyżej piętnaście minut przewagi. Jeśli uda mi się biec ze średnią prędkością ośmiu kilometrów na godzinę, to przy jego pięciu dotrę na miejsce pierwsza i go powstrzymam. Wyobrażam sobie, jak utrudzony przedziera się przez zarośla, wspina na wzgórze, zbiega po zboczach i brodzi przez strumienie, a ja w tym czasie ledwie się spocę. Z pewnością zadaje sobie mnóstwo wysiłku, żeby zacierać ślady, a ja nawet nie idę jego tropem. Nie ma pojęcia, że znów go pokonam. Nie umie sobie wyobrazić innego rezultatu niż ten, który zaplanował, bo w jego wszechświecie, gdzie Słońce i cała reszta nas krąży wokół niego, wszystko dzieje się dokładnie tak, jak on zdecyduje.

Tyle że nie jestem już pełnym podziwu dzieckiem, które tak łatwo potrafił zmanipulować i kontrolować. To, że tego nie rozumie, to jego drugi błąd.

Znajdę go i powstrzymam. Raz już wsadziłam go do więzienia, mogę to powtórzyć.

Bez zatrzymywania się wyciągam telefon z kieszeni kurtki i widzę, że biegnę już pół godziny. Czuję się tak, jakby minęło znacznie więcej czasu. Szacuję, że jestem w połowie drogi do domu, choć równie dobrze mogę być trochę bliżej lub nieco dalej. Trudno powiedzieć, gdzie dokładnie się znajduję, bo zniknęły

drzewa, które zwykle były dla mnie punktami odniesienia. Sosny Banksa na wzniesieniu z prawej strony niczym się nie wyróżniają, z całą pewnością nie mogę na ich podstawie ocenić, jak długą drogę pokonałam. To tylko zarośla, których nie chciało się ściąć drwalom.

Okolica z lewej strony jest tak słabo zarośnięta, że drzewa po prawej wydają się bujne. Nie ma nic brzydszego niż wycięty las. Patrząc na hektary porzucanych stert chrustu, na pnie i głębokie koleiny pozostałe po ciągnikach zrywkowych. Turyści wyobrażają sobie, że Górny Półwysep to w całości piękna i dziewicza natura. Nie wiedzą, że w wielu miejscach, zaledwie kilkadziesiąt lub kilkaset metrów od głównych dróg, olbrzymie połacie lasu poznikały, przerobione na ścier drzewny.

Cały stan porastały kiedyś przepiękne sosny czerwone i sosny wejmutki. Tak było niemal do końca XIX wieku, kiedy to potentaci przemysłu drzewnego uznali lasy klimaksowe za swoją własność i przystąpili do spławiania jeziorem Michigan drewna na budowę Chicago. Drzewa ścinane obecnie przez drwali — brzozy, osiki, dęby i sosny Banksa — pochodzą ze wzrostu wtórnego. Gdy i one znikają, gleba jest tak wyniszczona, że rosną na niej wyłącznie mech i borówki.

Gdy ojciec i ja szliśmy po drewno na opał, ścinaliśmy tylko największe drzewa i wyłącznie tyle, ile nam było trzeba. To pomagało lasowi, ponieważ mniejsze drzewa miały gdzie rosnąć. „Dopiero gdy umrze ostatnie drzewo, ostatnia rzeka zostanie zatruta, a ostatnia ryba złapana, biały człowiek uświadomi sobie, że nie da się zjeść pieniędzy”, brzmiało jedno z ulubionych powiedzeń ojca. „Nie dziedziczymy Ziemi po naszych przodkach, tylko pożyczamy ją od naszych dzieci”, mawiał również. Kiedyś myślałam, że sam to wymyślił, ale teraz wiem, że to znane indiańskie przekadła. Indianie od dawien dawna rozumieli pojęcie nieszkodliwej ekologicznie gospodarki leśnej.



Nadal biegnę. Nie da się stwierdzić, czy dłuższa, ale potencjalnie szybsza droga pozwoli mi wyprzedzić ojca. Wiem, że jeśli nawet, to niewiele. Nie biegnie mi się tak łatwo, jak na to liczyłam. Droga wyrębowa jest nią tylko z nazwy: wyboista, nierówna, momentami tak pochyła, że czuję się, jakbym biegła po urwisku. Głęboki piasek, kamienie i wystające korzenie drzew, a do tego wertepy wielkie jak sadzawki dla kaczek. Oddycham nierówno, palą mnie płuca. Włosy i kurtkę mam przemoczone po deszczu, buty i spodnie mokre aż do kolan od biegania po kałużach. Strzelba przewieszona przez ramię przy każdym kroku uderza mnie w plecy, mięśnie łydek błagają o chwilę przerwy. Rozpaczliwie pragnę uspokoić oddech, odpocząć, zrobić siusiu. Biegnę jednak, bo wiem, co się stanie Stephenowi, jeśli się zatrzymam.

I właśnie wtedy, po mojej prawej stronie, rozlega się szczeknięcie — ostre i charakterystyczne, rozpoznawalne przez każdego właściciela plott hounda. Pochyliłam się, opieram ręce na kolanach i z szerokim uśmiechem na ustach czekam, aż mój oddech się uspokoi.

## CHATA

*Żona wikinga spojrzała na dziką, złą dziewczynę zmartwiona, a kiedy nadeszła noc i uroda Helgi przeniosła się z ciała do duszy, przemówiła do niej gorącymi słowami pełnymi żalu, z głębi przepętnionego troską serca. Brzydka żaba stała przed nią niby troll i wpatrywała się brązowymi, pełnymi smutku oczami w jej oczy; słuchała i zdawało się, że rozumie ludzką mowę.*

*— Kiedyś nadejdzie dla ciebie ciężki czas — mówiła żona wikinga. — I dla mnie będzie straszny. Stałoby się lepiej, gdybyś jako dziecko była zostawiona na drodze i chłód nocy uśpiłby cię na śmierć! — Żona wikinga zapłakała gorzkimi łzami, a potem wyszła zagniewana i zgnębiona.*

H.CH. ANDERSEN  
*Córka króla moczarów*

Dni i noce spędzone w studni nauczyły mnie trzech rzeczy. Ojciec mnie nie kochał. Robił, co chciał, i nie dbał o moje bezpieczeństwo ani uczucia. Matka nie była wobec mnie tak obojętna, jak wcześniej sądziłam. Uznałam te fakty za tak istotne, że każdemu z nich musiałam poświęcić sporo przemyśleń. Po trzech dniach Cousteau, Calypso i ja nadal próbowaliśmy wszystko sobie poukładać.

Tymczasem dowiedziałam się, że otarcie się o śmierć z hipotermii — tak to nazwano w artykule w „Geographicu” o nieudanej ekspedycji Scotta na biegun

południowy w 1912 roku — nie jest aż tak tragiczne, o ile nie straci się palców z powodu odmrożeń. Po rozgrzaniu się człowiek wraca do formy. Samo ogrzewanie to nic przyjemnego, boli bardziej niż walnięcie młotkiem w kciuk albo uderzenie kolbą strzelby podczas wystrzału czy też zrobienie sobie wielkiego tatuażu. Miałam szczerą nadzieję, że już nigdy nie będę musiała przez to przechodzić. Z drugiej strony okazało się, że jestem o wiele twardsza, niż sądziłam, a to było coś.

Nie wiedziałam, czy ojciec wyciągnął mnie ze studni, bo uznał, że doszłam do kresu wytrzymałości, czy też chciał mnie zabić i źle to sobie rozplanował. Tak twierdzili Cousteau i Calypso. Mogli mieć rację.

Odkąd otworzyłam oczy, przekonałam się, że wszyscy się gniewali. Cousteau i Calypso złościли się na mojego ojca za to, co mi zrobił. Matka była na niego zła z tego samego powodu. Była też zła na mnie, bo rozgniewałam go do tego stopnia, że chciał mnie zabić. Ojciec wściekał się na mnie za to, że nie zastrzeliłam wilka, i na matkę, bo mi pomogła po tym, jak mnie wyciągnął ze studni. Nie pamiętałam, jak matka wpełzła pod koce, aby mnie rozgrzać, ale świeży siniak na jej twarzy dowodził, że naprawdę to zrobiła.

I tak to trwało. Gniew wypełniał chatę, miałam wrażenie, że brak w niej powietrza do oddychania. Większość czasu ojciec spędzał samotnie na mokradłach, i dobrze. Nie wiedziałam, czy nadal próbuje zastrzelić naszego wiosennego jelenia, czy też tropi wilka, i mało mnie to obchodziło. Każdego wieczoru wracał bardziej rozzłoszczony, niż kiedy wychodził. Mówił, że niedobrze mu od samego patrzenia na matkę i na mnie i dlatego trzyma się od nas z daleka. Nie wspomniałam mu, że Cousteau i Calypso reagują identycznie na jego widok.

Na domiar złego zabrakło nam soli. Gdy matka odkryła, że zużyliśmy całą sól, rąbnęła pustym pudełkiem o ścianę i wrzeszczała, że to gwóźdź do trumny i dlaczego ojciec nie zrobił z tym czegoś wcześniej, i niby jak ma gotować bez

soli? Spodziewałam się, że ojciec ją spoliczkuje za te krzyki i ostre słowa, ale odparł tylko, że przed pojawieniem się białych ludzi Ojibwa nigdy nie używali soli i że matka będzie musiała przywyknąć. Wiedziałam, że zatęsknię za solą. Nie wszystkie dzikie rośliny, które zjadaliśmy, były smaczne, nawet po ugotowaniu w kilkukrotnie zmienianej wodzie. Do korzenia łopianu zdecydowanie trzeba było się przyzwyczaić, no i nigdy nie smakowały mi liście polnej gorczycy. Sól pomagała.

Następnego ranka jednak panował spokój. Nie wspominając ani słowem o soli, matka przygotowała gorącą owsiankę, którą jadaliśmy na śniadanie. Nieszczerólnie mi smakowała, a ojciec grzebał łyżką w misce i zostawił połowę porcji, kiedy wstawał od stołu, więc widziałam, że i on nie był zachwycony. Matka zjadła swoją jakby nigdy nic. Doszłam do wniosku, że pewnie ukryła gdzieś zapas soli i trzyma go tylko dla siebie. Gdy ojciec zapiął śnieżne rakiety, przerzucił strzelbę przez ramię i jak zwykle wyszedł na mokradła, resztę poranka i większość popołudnia spędziłam w chacie na poszukiwaniach soli. Przetraszałam spiżarnię, salon i kuchnię. Wątpiłam, by matka ukryła sól w sypialni, którą dzieliła z ojcem, i wiedziałam, że na pewno nie schowała jej w moim pokoju. Inna sprawa, że byłby to niezły numer i coś, co ja zrobiłabym na jej miejscu, jednak matce brakowało mojego sprytu.

W końcu pozostał tylko schowek pod schodami. Żałowałam, że nie przyszło mi do głowy, aby przeszukać go wcześniej, zanim rozpadał się śnieg i w chacie pociemniało. Kiedy byłam mała, zamykałam się w schowku i bawiłam się, że to łódź podwodna, nora niedźwiedzia albo grobowiec wikingów. Teraz jednak przestałam lubić małe, ciemne pomieszczenia.

Mimo wszystko bardzo zależało mi na tej soli. Kiedy matka znowu poszła do wychodka, rozsunęłam najmocniej jak się dało kuchenne zasłony i postawiłam krzesło pod drzwiami schowka, żeby się nie zamknęły. Chętnie zapaliłabym kaganek, ale nie wolno nam było z niego korzystać pod

nieobecność ojca.

Schówek był maleńki. Nie wiem, co trzymali w nim budowniczowie naszej chaty, ale odkąd pamiętałam, zawsze stał pusty. W dzieciństwie mogłam się tam zmieścić i zostawało jeszcze trochę miejsca, ale teraz byłam tak duża, że musiałam siedzieć z plecami przyciśniętymi do ściany i kolanami pod brodą. Zamknęłam oczy, żeby ciemność wydawała mi się bardziej naturalna, i zaczęłam oklepywać ściany oraz dolną część schodów. Do moich palców przyczepiły się pajęczyny, a przez kurz zaczęłam kichać. Szukałam poluzowanej deski albo dziury po sęku lub wystającego gwoźdźca, który mógł posłużyć za wieszak. Chciałam znaleźć jakiegokolwiek miejsce odpowiednie do ukrycia pudełka lub torebki soli.

W przestrzeni między stopniem a zewnętrzną ścianą wymacałam papier. Budowniczowie domu przybijali gazety do tej ściany, żeby taka izolacja chroniła budynek przed utratą ciepła, ale papier nie przypominał w dotyku gazety, a poza tym już dawno temu zużyliśmy wszystkie na podpałkę. Wydłubałam go, podeszłam z nim do stołu, po czym usiadłam przy oknie. Papier był zwinięty w rulon i przewiązany sznurkiem. Rozwiązałam supeł, a wtedy papier rozpostarł się w moich dłoniach.

Trzymałam w rękach czasopismo, ale nie był to „National Geographic”. Nie miało żółtej okładki, a papier wydawał się za cienki. W ciemnościach nie widziałam szczegółów, więc otworzyłam drzwiczki od piecyka i wepchnęłam do żaru cedrową szczapę. Gdy zajęła się ogniem, zapaliłam kaganek, przycięłam knot i włożyłam go do zlewu, żeby przypadkiem nie spalić domu. Potem przysunęłam kaganek.

U góry okładki wielkimi, żółtymi literami na różowym tle napisano NASTOLATKA. Uznałam, że to tytuł czasopisma. Pod spodem widniało zdjęcie dziewczyny, mniej więcej w moim wieku. Tak jak ja miała długie brązowe włosy. Ubrana była w pomarańczowo-fioletowo-niebiesko-żółty

sweter w zygzaki przypominające tatuaże na moich nogach. ODLOTOWY WYGLĄD NA TOPIE, głosił napis z jednej strony zdjęcia. MAGNETYZUJĄCA PRZEMIANA: JAK BYĆ ATRAKCYJNĄ. Wewnątrz czasopisma znajdowało się więcej zdjęć tej samej dziewczyny. Z podpisu pod jedną z fotografii wynikało, że dziewczyna nazywa się Shannen Doherty i jest gwiazdą telewizyjnego serialu „Beverly Hills, 90210”.

Otworzyłam na spisie treści: *SOS. Ziemia — jak możesz pomóc; Najmodniejsze diety — bezpieczne czy przerażające?; Wytnij i zachowaj: kalendarz mody; Najwięksi przystojniacy w TV; Ten jedyny — może do Ciebie nie pasuje?; Nastolatki z AIDS — smutne opowieści.* Nie miałam pojęcia, co oznaczają te tytuły i czego dotyczy treść artykułów. Przewróciłam strony. *Modne stylizacje do szkoły,* głosił podpis pod zdjęciem grupy dzieciaków stojących obok żółtego autobusu. Wydawały się szczęśliwe. Nie zauważyłam żadnych reklam sprzętu kuchennego, wyłącznie reklamy czegoś, co nosiło nazwy „szminka”, „eyeliner” i „róż”. O ile się nie myliłam, dziewczyny malowały tym na czerwono usta, na różowo policzki i na niebiesko powieki. Nie bardzo wiedziałam, po co to robią.

Wyprostowałam się, stukając palcami o blat i przygryzając kciuk. Próbowałam się skupić. Nie miałam pojęcia, skąd się wzięło to czasopismo, jak się tu znalazło i od jak dawna leżało ukryte w schowku. Po co w ogóle ktoś wydawał pisma tylko o dziewczynach i chłopcach?

Przysunęłam lampę i po raz drugi przejrzałam magazyn. Wszystko w nim opisywano jako „super”, „odlot” i „ekstra”. Dzieciaki tańczyły, puszczały muzykę, imprezowały. Zdjęcia były bardzo kolorowe. Samochody nie przypominały tych, które oglądałam w „Geographicach”. Były lśniące i niskie jak łasice, a nie zaokrąglone i grube jak bobry. Miały też własne nazwy. Najbardziej podobał mi się żółty, bo nazywał się Mustang, tak samo jak koń. Uznałam, że pewnie równie szybko się porusza.

Na werandzie matka tupiała, strząsając śnieg z butów. Już miałam zabrać czasopismo ze stołu, ale się rozmyśliłam. No i co, że matka mnie z nim zobaczy? Nie robiłam nic złego.

— Co ty wyprawiasz?! — krzyknęła, zamykając drzwi, i strzepnęła śnieg z włosów. — Zgaś tę lampkę, zanim Jacob wróci do domu. — Powiesiła palto na wieszaku obok drzwi i podbiegła do mnie, żeby zgasić kaganek, ale zamarła na widok czasopisma. — Skąd to masz? Co z tym robisz? To moje, oddaj.

Sięgnęła po czasopismo, ale odtrąciłam jej rękę. Zerwałam się na równe nogi i położyłam dłoń na nożu. To, że magazyn mógł należeć do matki, było absurdalne. Nie miała nic swojego.

Cofnęła się o krok i uniosła rękę.

— Heleno, proszę cię, oddaj mi to. Jeśli to zrobisz, pozwolę ci je przeglądać, kiedy tylko zechcesz.

Tak jakby mogła mi zabronić. Wskazałam nożem krzesło.

— Siadaj.

Matka usiadła, a ja zajęłam miejsce naprzeciwko niej. Położyłam nóż na stole, obok czasopisma.

— Co to jest? — spytałam. — Skąd się to wzięło?

— Mogę dotknąć?

Skinęłam głową. Przyciągnęła do siebie magazyn i powoli przewróciła kilka stron. Zatrzymała się na zdjęciu jasnowłosego, niebieskookiego chłopca.

— Neil Patrick Harris. — Westchnęła. — Ależ wpadł mi w oko, kiedy byłam w twoim wieku. Nawet nie masz pojęcia. Nadal uważam, że jest przystojny. „Doogie Howser” to był mój ulubiony serial telewizyjny. Uwielbiałam też „Pełną chatę” i „Byle do dzwonka”.

Nie spodobało mi się, że matka wie coś, czego ja nie wiem. Nie miałam pojęcia, o czym mówi, kim są ci ludzie i dlaczego zachowywała się tak, jakby ich znała. Dlaczego interesowała się młodzieżą w tym czasopiśmie tak, jak ja

interesowałam się Cousteau i Calypso.

— Proszę, nie mów Jacobowi — powiedziała. — Wiesz, co zrobi, jeśli to znajdzie.

Doskonale wiedziałam, co ojciec zrobiłby z magazynem, gdyby o nim wiedział, a zwłaszcza gdyby uznał, że jest dla niej ważny. Nie bez powodu trzymałam ulubione „Geographiki” pod łóżkiem. Obiecałam matce, że nic nie powiem — nie dlatego, że chciałam chronić ją przed ojcem, ale dlatego, że jeszcze nie skończyłam przeglądać czasopisma.

Matka ponownie przewertowała kartki, po czym odwróciła magazyn i pchnęła go w moją stronę.

— Popatrz. Widzisz ten różowy sweterek? Miałam identyczny. Nosiłam go na okrągło. Zdaniem mamy spałabym w nim, gdyby tylko mi pozwoliła. A popatrz na to. — Pokazała mi okładkę. — Mama zamierzała kupić mi taki sweter, kiedy pójdziemy do sklepu po ubrania do szkoły.

Trudno mi było wyobrazić sobie matkę jako dziewczynę podobną do tych z czasopisma, w takich ubraniach, na zakupach czy w szkole.

— Skąd to masz? — zapytałam znowu, bo nadal nie odpowiedziała na moje pytanie.

— To... to długa historia.

Zacisnęła usta jak wtedy, gdy ojciec zadawał jej pytanie, na które nie chciała odpowiedzieć, na przykład dlaczego dopuściła do wygaśnięcia ognia albo czemu jego ulubiona koszula jest nadal brudna, choć podobno ją uprała, albo z jakiego powodu nie zacerowała mu skarpet, nie przyniosła więcej wody lub drewna i kiedy się wreszcie nauczy piec przyzwoite herbatniki.

— No to lepiej zacznij.

Wbiłam w nią wzrok, tak jak ojciec, chcąc dać jej do zrozumienia, że milczenie to nie jest odpowiedź. Mogło być ciekawie. Matka nigdy niczego nie opowiadała.



Odwróciła wzrok i przygryzła wargę. W końcu westchnęła.

— Miałam szesnaście lat, kiedy twój ojciec powiedział, że urodzę dziecko — zaczęła. — Chciał, żebym robiła pieluchy i uszyła ubrania z zasłon i pledów, które mieliśmy w chacie, ale ja nie umiałam szyć. — Uśmiechnęła się do siebie, jakby nieumiejętność szycia była zabawna albo jakby wymyśliła całą tę opowiastkę. — Udało mi się pociąć pled na pieluchy jednym z jego noży, ale nie mogłam uszyć dla ciebie ubranek bez nożyczek, igieł i nici. Poza tym potrzebowaliśmy agrafek, żeby pieluchy się nie zsuwały. Ojciec wybiegł z domu, kiedy mu o tym powiedziałam — sama wiesz, jaki on jest. Długo go nie było, a po powrocie oznajmił, że idziemy na zakupy. Wtedy opuściłam mokradła po raz pierwszy, odkąd... odkąd mnie tu sprowadził, więc bardzo się cieszyłam. Poszliśmy do wielkiego sklepu o nazwie Kmart i kupiliśmy wszystko, czego potrzebowałam. Stojąc w kolejce, zauważyłam to czasopismo. Wiedziałam, że ojciec nigdy nie pozwoli mi go kupić, więc kiedy nie patrzył, zwinęłam je w rulon i schowałam pod koszulą. Po powrocie do chaty ukryłam je w schowku, kiedy wnosił zakupy. Odtąd zawsze tam leżało.

Matka pokręciła głową, jakby nie mogła uwierzyć we własną odwagę. Gdyby nie czasopismo na stole między nami, też bym nie uwierzyła. Wyobraziłam sobie, jak matka zagląda do schowka pod nieobecność ojca, wyjmując magazyn z kryjówki, niesie go do kuchni albo na werandę z tyłu domu, jeśli dopisywała pogoda, a następnie czyta artykuł i ogląda zdjęcia, zamiast gotować i sprzątać. Trudno było uwierzyć, że zaczęła to robić przed moim pojawieniem się na świecie, a ojciec nigdy jej nie przyłapał, i że czasopismo ma tyle lat co ja.

Nagle coś sobie uświadomiłam. Spojrzałam na datę na okładce. Jeśli matka ukradła czasopismo przed moimi narodzinami, a miałam już prawie dwanaście lat, to magazyn też miał prawie dwanaście lat. A to oznaczało, że dziewczyna na okładce już nie była dziewczyną, tylko dorosłą kobietą, jak moja matka.

Reszta dzieci też.

Przyznam, że to mnie rozczarowało, bo wolałam myśleć, że te dzieciaki są w moim wieku. Rozumiałam koncepcję dat i lat, rzecz jasna, a także dlaczego o ważnych wydarzeniach mówi się i pisze z podaniem roku — ludzie musieli wiedzieć, co się zdarzyło wcześniej, a co później. Jednak nigdy przedtem nie zastanawiałam się nad datą swoich narodzin ani też nad tym, który rok mamy teraz. Matka odnotowywała upływ tygodni i miesięcy w kalendarzu narysowanym węglem na naszej kuchennej ścianie, mnie jednak zawsze bardziej interesowały pory roku i jaka danego dnia będzie pogoda.

Uświadomiłam sobie, że liczby związane z moimi latami też są ważne. Odjęłam daty „Geographiców” od obecnej daty i poczułam się tak, jakby ojciec rąbnął mnie pięścią w brzuch. „*Geographiki*” miały pięćdziesiąt lat. Były o wiele starsze niż magazyn „Nastolatka”, starsze od mojej matki, a nawet od ojca. Moi bracia i siostry Yanomami już nie byli dziećmi, tylko staruszkami. Chłopiec z podwójnym rzędem kropek wytatuowanych na policzkach, którego zdjęcie pokazałam ojcu, żeby zrobił mi takie same tatuaże, zmienił się w starego mężczyznę, takiego jak mój ojciec. Cousteau — prawdziwy Jacques-Yves Cousteau — był dorosły na zdjęciach w „Geographicach”, a to oznaczało, że teraz musiał być naprawdę bardzo stary. Może nawet nie żył.

Popatrzyłam na matkę przy stole, uśmiechniętą tak, jakby się cieszyła, że znalazłam czasopismo, bo teraz będziemy mogły czytać je razem. Przyszło mi do głowy tylko jedno słowo: *Kłamczucha*. Wierzyłam „Geographicom”. Ufałam matce. Wiedziała, że „Geographiki” mają pół wieku, a mimo to pozwoliła mi myśleć, że wszystko, co w nich napisano, działo się teraz i jest prawdą. Kolorowa telewizja, zapięcia na rzepy i szczepionki na polio nie były najnowszymi wynalazkami. Pies Łajka nie poleciał niedawno na pokładzie radzieckiej rakiety Sputnik 2 w kosmos jako pierwsze żywe stworzenie na

ziemskiej orbicie. Niesamowite odkrycia Cousteau miały pięćdziesiąt lat. Dlaczego mi to zrobiła? Dlaczego mnie okłamała? Czego jeszcze mi nie mówiła?

Zabrałam czasopismo ze stołu, zwinęłam je i włożyłam do tylnej kieszeni spodni. Postanowiłam, że po czymś takim matka już go nie odzyska.

Na zewnątrz rozległ się hałas. Brzmiało to tak jak piła łańcuchowa ojca, tyle że prawie zapadł zmrok, a ojciec nie ciął drewna nocą. Podbiegłam do okna. Małe, żółte światło zbliżało się do nas od strony drzew. Wyglądało jak żółta gwiazda, tyle że poruszało się blisko ziemi.

Matka podeszła do okna i stanęła obok mnie. Hałas się nasilał. Przyłożyła rękę do szyby, żeby coś zobaczyć.

— To skuter śnieżny — powiedziała pełnym zdumienia głosem, odwracając się do mnie. — Ktoś przyjechał.

Rambo już nie szczeka, ale ten jeden raz mi wystarczy. Ryzyko się opłaciło. Dogoniłam ojca, do tego szczeknięcie Rambo dowodzi, że są niedaleko. Wyobraźcie sobie półkilometrowy odcinek drogi między miejscem, w którym znajduje się początek śladów ojca, a drogą wyrębową, którą biegnę, jako podstawę trójkąta równoramiennego. Mój dom to wierzchołek, a trasy pokonywane przez ojca i mnie to boki. Im bardziej zbliżamy się do domu, tym szybciej nasze ścieżki się zbiegną.

Mogłabym dokładniej określić lokalizację ojca, gdyby Rambo szczeknął po raz drugi, ale szczerze mówiąc, jestem zdumiona, że w ogóle dał o sobie znać. Najwyraźniej przy spodniach, które ojciec ukradł zamordowanemu mężczyźnie, nie było paska. Na mokradłach podczas polowania ojciec zwykle zaciskał pasek na pysku mojego psa jak kaganiec, bo nie chciał, żeby Rambo szczekał. To samo robił, kiedy pies tkwił na uwięzi w drewni i ojciec miał już dość jego jazgotu. Czasem zakładał mu kaganiec bez żadnej wyraźnej przyczyny i nie zdejmował go znacznie dłużej, niż moim zdaniem należało. Jak czytałam, jednym z sygnałów, że dziecko może wyrosnąć na terrorystę albo seryjnego mordercę, jest okrucieństwo wobec zwierząt. Nie jestem pewna, o czym świadczy takie okrucieństwo u dorosłego.

Zasłaniam oczy przed deszczem i przyglądam się szczytowi wzniesienia, spodziewając się podświadomie, że lada moment pojawi się tam głowa ojca. Schodzę z drogi pomiędzy drzewa. Mokre sosnowe igły tłumią odgłos moich kroków. Strząsam krople deszczu z włosów i zsuwam rugera z ramienia. Trzymam strzelbę lufą w dół, gotowa wycelować przy pierwszej oznace

kłopotów. Wzniesienie jest strome. Wspinam się na nie najszybciej i najciszej jak potrafię. W innej sytuacji przytrzymałabym się niewyrośniętych drzew, ale sosny Banksa są łamliwe i nie mogę ryzykować, że któraś z gałęzi trzaśnie.

Blisko szczytu opadam na brzuch i czołgam się przez resztę drogi na stopach i łokciach, tak jak nauczył mnie ojciec. Rozkładam podpórkę rugera i patrzę przez lunetę.

Nic.

Powoli wodzę wzrokiem na północ i na południe, a potem sprawdzam drugą stronę wąwozu, wypatrując ruchu. To on zdradza człowieka. Jeśli ucieka się przed kimś w lesie, najlepiej jest jak najszybciej się położyć i znieruchomieć. Po raz drugi przypatruję się wszystkim możliwym kryjówkom, na wypadek gdyby ojciec zmusił Rambo do szczeknięcia, żeby mnie wywabić. Potem zabieram rugera, schodzę ze wzniesienia i wdrapuję się na następne.

Dwukrotnie powtarzam ten sam manewr, zanim docieram do szczytu czwartego wzniesienia. Mam ochotę wiwatować. U podnóża zbocza, mniej więcej piętnaście metrów pode mną i niecałe pięćdziesiąt metrów na południe, widzę go, jak pewnym krokiem wędruje środkiem strumienia, który normalnie sięgałby do kostek, lecz teraz jest głęboki niemal do kolan.

*Mój ojciec.*

Znalazłam go. Prześcignęłam. Przechytrzyłam pod każdym względem. Po raz ostatni ustawiam rugera i przyglądam się ojcu przez lunetę. Rzecz jasna wygląda starzej, niż zapamiętałam, ale i chudziej, ubranie zabitego mężczyzny na nim zwisa. Włosy i broda ojca są siwe, skóra pomarszczona, o niezdrowym odcieniu. Na policyjnym zdjęciu miał dziki wzrok i rozczochrane włosy, przez co kojarzył się z Charlesem Mansonem. Zapewne wybrali najokropniejsze zdjęcie ze wszystkich dostępnych, aby nikt nie wątpił, że ojciec jest niebezpieczny. Tymczasem na żywo prezentuje się jeszcze gorzej: policzki ma zapadnięte jak u trupa, oczy osadzone tak głęboko, że przypomina *wendigo* ze

swoich dawnych opowieści z łązni. Teraz, gdy widzę go po raz pierwszy jako dorosła kobieta, uświadamiam sobie, że wygląda na szaleńca. Matka pewnie zawsze tak go postrzegała.

Ojciec mocno trzyma mojego psa, odcięty koniec smyczy kilka razy owinał wokół lewej dłoni, w prawej niesie glocka. Przypuszczam, że broń drugiego strażnika wsunął za pasek dzinsów z tyłu, pod kurtkę. Rambo bez trudu truchta brzegiem strumienia. Nie po raz pierwszy zadziwia mnie to, jak swobodnie się porusza mimo brakującej łapy. Weterynarz, która go składała po wypadku z niedźwiedziem, powiedziała mi, że wielu myśliwych uspiłoby tak poważnie rannego psa. Zapewne pragnęła mi w ten sposób przekazać, że zrozumie, jeśli ze względu na koszty nie zdecyduję się na operację. Większość mieszkańców Górnego Półwyspu ledwie daje radę zatroszczyć się o rodzinę, więc nie stać ich na kosztowne operacje zwierząt, nawet ukochanych. Widziałam, że jest szczęśliwa, kiedy powiedziałam, że wolałabym zrezygnować z polowania na niedźwiedzie niż z psa.

Śledzę ojca przez lunetę, kiedy niczego nieświadomy idzie przed siebie. W dzieciństwie fantazjowałam o zabiciu go — nie dlatego, że tego pragnęłam, ale dlatego, że zasiał w mojej głowie tę myśl, gdy zmienił zasady naszej zabawy w tropienie. Obserwowałam go jeszcze długo po tym, jak go odnalazłam, zastanawiając się, co by było, gdybym strzeliła do niego zamiast w drzewo. Jak poczułabym się po zabiciu ojca. Co powiedziałyby matka na wieść, że teraz ja jestem głową naszej rodziny.

Gdy podchodzi bliżej, znów myślę o zabiciu go, tym razem naprawdę. Z tej odległości i pod tym kątem bez trudu mogłabym go zdjąć. Posłałabym kulę w serce lub w głowę, gra by się skończyła, a on nawet nie zdążyłby sobie uświadomić, że wygrałam. Mogłabym mu strzelić w brzuch, sprawić, żeby wykrwawiał się powoli i boleśnie za to, co zrobił mojej matce. Mogłabym postrzelić go w ramię lub w kolano, zranić tak, żeby musiał czekać na nosze.

Następnie wyruszyłam w drogę powrotną do domu i zadzwoniła na policję po odzyskaniu zasięgu w telefonie. Dopiero wtedy powiedziałabym, gdzie znajdują ojca.

Tyle możliwości.

Kiedyś, w chacie, ojciec bawił się ze mną w zgadywanki. Polegało to na tym, że ukrywał w dłoni jakiś drobiazg, który mi się podobał — okruch gładkiego białego kwarcu albo jajko drozda — a ja musiałam się domyślić, w której ręce jest mój skarb. Jeśli zgadłam, mogłam go zatrzymać, jeśli nie, wyrzucał cenną rzecz do śmieci. Pamiętam, jak próbowałam to rozgryźć. Skoro ostatnim razem ojciec trzymał skarb w prawej dłoni, czy oznaczało to, że teraz włoży go do lewej? Czy też znowu ukryje go w prawej, aby mnie wykiwać? Może kilka razy z rzędu? Nie uświadamiałam sobie wtedy, że rozum i logika nie mają nic wspólnego z wynikiem gry. Bez względu na to, którą rękę wybierałam, prawdopodobieństwo trafienia zawsze pozostawało takie samo.

Teraz jest inaczej. Teraz nie ma mowy o błędnym trafieniu. Odbezpieczam strzelbę, kładę palec na spuście, wstrzymuję oddech i liczę do dziesięciu.

I strzelam.

Byłam przerażona, kiedy po raz pierwszy strzeliłam do ojca. Nadal zdumiewa mnie, że mi na to pozwolił. Próbuję wyobrazić sobie, jak wkładam broń w dłoń Iris i mówię jej, żeby wycelowała we mnie i nacisnęła spust — naturalnie podkreślam, że musi chybić — ale taka wizja po prostu jest dla mnie nie do przyjęcia. Wątpię, bym kiedykolwiek rozważała tego rodzaju zabawę także z Mari, bez względu na to, jak dobrym okaże się strzelcem. Takie zachowanie jest lekkomyślne, jeśli nie samobójcze, ale tak właśnie postąpił mój ojciec.

Zdarzyło się to latem, gdy miałam dziesięć lat. Zimą nie bawiliśmy się w tropienie, bo na ziemi przykrytej śniegiem podążanie za śladami ojca byłoby

zbyt łatwe. Z tego samego powodu nie bawiliśmy się również późną jesienią ani wczesną wiosną, po tym jak spadły liście albo zanim pojawiły się na drzewach. Ojciec powtarzał, że tylko wtedy, gdy zieleń jest obfita i gęsta, tropienie człowieka w lesie staje się prawdziwym wyzwaniem. O tej porze roku również owady dają się we znaki. Nie sposób nie podziwiać samokontroli, którą musiał się wykazać, godzinami siedząc na mokradłach w oczekiwaniu na mnie. Owady krążyły nad nim całymi rojami i go kęsały, lecz on opierał się chęci odpędzenia ich i nawet nie drgnął.

Ojciec wyjaśnił nowe zasady gry przy śniadaniu. Po odnalezieniu go miałam dwie możliwości — mogłam strzelić w drzewo, za którym się chował, obok lub nad jego głową, albo też mogłam posłać kulę w ziemię u jego stóp.

Gdybym nie znalazła ojca albo, co gorsza, byłabym zbyt przerażona, żeby strzelić po jego wytopieniu, musiałabym zrezygnować z czegoś, co było dla mnie ważne. Mieliśmy zacząć od „National Geographic” z ilustracjami wikingów, który chowałam pod łóżkiem. Nie mam pojęcia, skąd ojciec w ogóle wiedział o tej kryjówce.

Popłynął ze mną swoim kanoe do wzniesienia, którego nigdy nie odwiedziłam. Miałam na oczach opaskę, aby trudniej mi było ocenić, jaki dystans pokonaliśmy i ile czasu minęło, a także po to, żebym nie wiedziała, w którym kierunku się udał po dotarciu na miejsce. Byłam bardzo zdenerwowana. Nie chciałam strzelać do ojca i zależało mi na zachowaniu „Geographica”. Poświęciłam sporo czasu na rozmyślanie o swoich dwóch opcjach. Strzelenie w ziemię byłoby bezpieczniejsze niż w drzewo, bo kula wbiłaby się w piasek, co minimalizowałoby prawdopodobieństwo rykoszetu, który mógłby zranić albo mnie, albo ojca. Poza tym gdyby coś poszło nie tak i niechcący trafiłabym ojca, zranienie go w nogę albo w stopę byłoby o wiele mniej groźne niż strzał w klatkę piersiową.

Celowanie w ziemię było jednak tchórzliwym posunięciem, a ja nie



należałam do tchórzy.

— Zostań tu — polecił mi ojciec, gdy kanoe zaszurało o brzeg. — Policz do tysiąca, a potem ściągnij opaskę.

Wyszedł z kanoe, które się zakołysało. Usłyszałam plusk wody, gdy ojciec brnął w kierunku lądu, a także szelest, gdy się przedzierał przez szuwały — najprawdopodobniej wapato i pałki wodne — po czym zapadła cisza. Teraz docierał do mnie tylko szum wiatru, który już wyczułam na tym wzniesieniu, oraz przyciszony szmer ocierających się o siebie liści osiki. Woda była spokojna, słońce mocno rozgrzewało mi głowę — nieco bardziej z prawej strony, co oznaczało, że kanoe jest skierowane dziobem ku północy. Nie miałam pojęcia, czy ta świadomość okaże się w czymkolwiek pomocna, ale dobrze było wiedzieć. Remington ciążył mi na kolanach, zaczęłam się pocić pod opaską.

Nagle uświadomiłam sobie, że pochłonięta gromadzeniem wskazówek dotyczących otoczenia zupełnie zapomniałam o liczeniu do tysiąca. Postanowiłam więc zacząć od pięciuset, aby nadrobić stracony czas. Pytanie brzmiało, czy ojciec naprawdę oczekiwał, że policzę do pełnego tysiąca, czy też uznał, że zdejmę opaskę, zanim skończę liczyć, i wcześniej zacznę go szukać. Trudno mi było się zdecydować. Przez większość czasu wypełniałam jego polecenia co do joty, bo gdy tego nie robiłam, czekała mnie taka czy inna kara. Tym razem sytuacja się zmieniła. Cały sens tropienia ojca zasadzał się na tym, żeby go przechytrzyć. Przebiegłość i podstęp stanowiły elementy gry.

Zdjęłam opaskę i zawiązałam ją na czole, żeby pot nie spływał mi do oczu, po czym wysiadłam z kanoe. Bez trudu odnalazłam ślady ojca. Doskonale widziałam, którędy przebrnął przez kępę turzycy — nie wapato i nie pałkę wodną — i gdzie wspiął się na brzeg. Poruszone igły sosen na polance, którą przebył przed zniknięciem w paprociach orlicach po drugiej stronie, też były doskonale widoczne. Założyłam, że skoro bez trudu to dostrzegłam, to

najwyraźniej stałam się świetnym tropicielem. Z perspektywy czasu jestem pewna, że tamtego dnia zostawił tak oczywiste ślady, bo chciał doprowadzić zabawę do końca. Z tego względu musiał mieć pewność, że go znajdę.

Niemal zgubiłam trop na szczycie wzniesienia, gdzie ślady się urywały przy gładkiej, nagiej skale. Dostrzegłam jednak małą kupkę piasku w miejscu, w której nie powinno jej być. Odnalazłam trop po drugiej stronie i poszłam za nim aż do skraju niewielkiego urwiska. Przygięte orlice i poruszone kamienie świadczyły o tym, że ojciec zszedł do jego podnóża. Przez lunetę remingtona powiodłam wzrokiem za tropem i dostrzegłam ojca, który przykucnął za bukiem oddalonym o jakieś trzydzieści metrów. Pień był szeroki, ale niewystarczająco, widziałam zza niego oba ramiona ojca.

Uśmiechnęłam się do siebie. Tego dnia bogowie naprawdę spoglądali na mnie łaskawym okiem. Nie dość, że wytropiłam ojca, to jeszcze warunki strzeleckie były niemal idealne. Patrzyłam na cel z góry, nie wiał wiatr i miałam słońce za sobą, co oznaczało co prawda, że gdyby ojciec wyszedł zza drzewa, odwrócił się i spojrzał w górę, mógłby dostrzec moją sylwetkę na jego tle, ale i ja dobrze go widziałam, więc istniało większe prawdopodobieństwo trafienia.

Ukryłam się za sporą sosną czerwoną, ściskając remingtona i rozważając następne posunięcie. Broń była niemal tak duża jak ja. Położyłam się na brzuchu i wysunęłam strzelbę przed siebie, żeby być w lepszej pozycji do strzału spod zarośli. Przycisnęłam remingtona do ramienia i spojrzałam przez lunetę. Ojciec nawet nie drgnął.

Ścisnęło mnie w żołądku, gdy położyłam palec na spuście. Wyobraziłam sobie, jak rozlega się huk, a zaskoczony ojciec gwałtownie podnosi wzrok, wychodzi zza drzewa i wdrapuje się na wzgórze, żeby pogłaskać mnie po głowie i pogratulować strzału. Równie dobrze mógł jednak spojrzeć na swoje zalane czerwienią ramie i niczym ranny nosorożec pognać na wzniesienie.

Ręce mi się trzęsły. Nie rozumiałam, dlaczego muszę do niego strzelać i dlaczego zmienił reguły naszej gry. Dlaczego z dobrej zabawy zrobił coś niebezpiecznego i przerażającego. Żałowałam, że nie jest już tak jak dawniej.

Nagle to do mnie dotarło. Wszystko się zmieniało, bo ja się zmieniałam. Dorastałam. To była moja inicjacja, moja szansa, by dowieść, że jestem cennym członkiem naszego plemienia. Yanomami nade wszystko cenili sobie odwagę. Dlatego właśnie walczyli z innymi plemionami, kradli sobie nawzajem kobiety i bili się do upadłego, nawet jeśli byli naszpikowani strzałami. Woleli umrzeć, niż uciec z łatką tchórza. W „Geographicu” napisano, że prawie połowa mężczyzn Yanomami ma na koncie zabicie człowieka.

Poprawiłam kolbę przy ramieniu. Dłonie już mi nie drżały. Nie sposób opisać jednoczesnego przestachu i radości, które czułam, naciskając spust. Chyba można to porównać do tego, co przeżywa śmiałek, skacząc z samolotu ze spadochronem albo rzucając się z klifu w otchłań wody, lub też kardiochirurg, kiedy wykonuje pierwsze cięcie. Nie byłam już małą dziewczynką, która kochała i podziwiała ojca, licząc na to, że pewnego dnia stanie się taka jak on. Byłam mu równa.

Potem nie mogłam się doczekać, kiedy znów do niego strzelę.

Huk wystrzału i trzask pękającej gałęzi nad głową ojca rozlegają się niemal jednocześnie. Gałąź wpada do strumienia i ląduje u stóp ojca, dokładnie tam, gdzie miała spaść. Tak samo zakończyła się nasza ostatnia zabawa w polowanie i tropienie.

Ojciec zamiera. Z otwartymi ustami podnosi wzrok i patrzy w kierunku miejsca, z którego padł strzał. Wygląda tak, jakby nie mógł uwierzyć, że znów go pokonałam, i to w taki sam sposób. Kręci głową i rozkłada ręce na znak kapitulacji. Wokół lewej dłoni ma owiniętą smycz Rambo, w prawej kołysze się glock.

Trzymam palec na spuście. To, że ktoś wygląda na pokonanego, nie oznacza, że jest gotów dać za wygraną, zwłaszcza jeśli chodzi o tak podstępnego manipulatora jak mój ojciec.

— Jacob. — Dziwnie się czuję, wypowiadając jego imię.

— *Bangii-Agawaateyaa*.

Wzdrygam się, ale nie z powodu deszczu. *Bangii-Agawaateyaa*. Mały Cień. Tak mnie nazwał, gdy byłam dzieckiem. Od lat nie słyszałam tego imienia. Nie umiem opisać, co czuję, kiedy ojciec po tak długim czasie wypowiada te słowa. Cała złość, nienawiść i niechęć, które w sobie pielęgnowałam przez ponad dekadę, wyparowują niczym lód na piecyku. Mam wrażenie, że części mnie ponownie stają się całością, choć nawet nie wiedziałam o pęknięciu. Nadciąga fala wspomnień: ojciec uczy mnie tropić, polować, chodzić w raketach, pływać. Pokazuje mi, jak się ostrzy nóż, obdziera królika ze skóry, zapina koszulę, wiąże buty. Wymienia nazwy ptaków, owadów, roślin, zwierząt. Dzieli się ze mną nieskończonymi sekretami mokradeł: nad stawem wskazuje zlepek żabiego skrzeku w nieruchomej wodzie pod zwisającą gałęzią, prowadzi mnie do lisiej nory wykopanej głęboko w piasku na zboczu wzgórza.

Ten człowiek nauczył mnie wszystkiego, co warto wiedzieć o mokradłach.

Mocniej zaciskam dłonie na rugerze.

— Rzuć broń.

Ojciec przypatruje mi się przez długą chwilę, po czym rzuca glocka w krzaki. Wyciąga finkę Bowie z prawego buta i ciska ją w to samo miejsce.

— Powoli — mówię, gdy sięga za plecy po drugi pistolet.

Gdybyśmy zamienili się miejscami, w tym momencie przypuściłabym atak. Wyciągnęłabym broń, przyłożyła ją do łba Rambo i wykorzystała słabość przeciwniczki do psa, żeby ją rozbroić.

Ojciec dobywa drugiego glocka powoli, tak jak kazałam. Cofa rękę tak,

jakby zamierzał rzucić pistolet, ale zamiast go puścić, z uniesioną dłonią opada na kolano i strzela.

Nie do Rambo.

Do mnie.

Kula przeszywa mi ramię. Przez ułamek sekundy trwam w szoku. *Strzelił do mnie.* Zrobił to celowo, nie myśląc o konsekwencjach, tylko o tym, żeby mnie zastrzelić.

Nie pokonałam go. Nie ocalałam rodziny. Nie wygrałam, bo ojciec znowu zmienił zasady naszej gry.

Nagle moje ramię eksploduje. Ktoś wepchnął w nie laskę dynamitu i podpalił. Oberwałam kijem baseballowym i przebito mnie gorącym pogrzebaczem. Wpadłam pod autobus. Przykładam dłoń do rany, padam na ziemię i wiję się z bólu, który nadciąga falami. Krew tryska mi spomiędzy palców. *Łap rugera*, rozkazuje mój mózg dłoniom. *Strzel do niego tak jak on do ciebie.* Dłonie jednak nie reagują.

Ojciec wspina się na wzniesienie i staje nade mną, patrząc w dół, z glockiem wycelowanym w moją pierś.

Jestem nieprawdopodobnie głupia. Sądziłam, że obrałam dobrą strategię, strzelając do gałęzi, a nie do ojca. Konsekwencje mojej decyzji okażą się tragiczne. Prawda jest jednak taka, że nie chciałam zabić ojca. Kocham go, chociaż on mnie nie kocha. Wykorzystał moją miłość przeciwko mnie.

Wstrzymuję oddech w oczekiwaniu, aż ojciec mnie wykończy. Przypatruje mi się długo, po czym chowa glocka za plecy i wsuwa go za pasek dzinsów, skupując rugera na drugą stronę wzniesienia. Następnie przetacza mnie na plecy i wyciąga mi z kieszeni magnum. Nie wiem, skąd o nim wiedział, ale wiedział. Z tylnej kieszeni spodni wyjmuje kajdanki — bez wątplenia te same, które mu założono, zanim uciekł z więzienia — i nie zważając na mój ranny bark, szarpie mnie za ręce i skuwa je z przodu ciała. Cała się trzęsę, próbując

powstrzymać krzyk.

Cofa się o krok. Ciężko oddycha, patrząc na mnie z triumfalnym uśmiechem.

— I tak właśnie się zwycięża w polowaniu i tropieniu — oznajmia.

## CHATA

*Tej jesieni wiking wcześniej wrócił do domu ze zdobyczą i niewolnikami; był wśród nich młody chrześcijański kapłan, jeden z tych, którzy w północnych krajach prześladowali pogańskich bogów. Młodego księdza umieszczono w głębokiej, zbudowanej z kamienia piwnicy domu, ręce i nogi związano mu łykiem.*

*Był piękny „jak Baldur”, mówiła żona wikinga. Wzruszało ją jego nędzne położenie, ale Helga żartowała, że powinno się przeciągnąć mu przez kolana linę i przywiązać go do ogonów dzikich wołów.*

*— I poszczułabym psami, hej, brać go! Gonić przez bagna i przez moczary aż na wrzosowisko! Oj, jakie by to było widowisko! A jeszcze ciekawiej byłoby pędzić w galopie razem z nim!*

*Helga prosiła o pozwolenie na spryskanie jego krwią ludzi i wizerunków bogów; trzymała swój lśniący nóż, i gdy jeden z wielkich, ostrych psów, których dość było na podwórzu, przebiegł jej przed nogami, wsadziła mu nóż w bok.*

*— To, żeby go wypróbować — powiedziała.*

H.CH. ANDERSEN  
Córka króla moczarów

*— Ktoś przyjechał — powtórzyła matka, kiedy tak stałyśmy przy kuchennym*

oknie, jakby nie mogła uwierzyć we własne słowa, dopóki znowu ich nie wypowie.

Ja też byłam zdumiona. Ojciec dokładał wszelkich starań, żeby nikt nie zwrócił uwagi na naszą chatę. Piłował drewno opałowe na niższym krańcu naszego wzniesienia, żeby hałas piły nie niósł się po okolicy. Strzelał tylko wtedy, gdy było to konieczne do zdobycia potrzebnej nam jeleniny. Nigdy nie opuszczał mokradeł, by uzupełnić zapasy, chociaż kończyły się nam przydatne rzeczy. Ukrył się przed napotkaną przy wodospadzie rodziną, żeby przypadkowo nie doprowadzić jej do naszego domu. Przeprowadzał próbne alarmy na wypadek pojawienia się intruzów na naszym wzniesieniu. Trudno było uwierzyć, że po tym wszystkim ktoś naprawdę się pojawił.

Przycisnęłam nos do szyby i patrzyłam, jak reflektor skutera śnieżnego podskakuje i skręca raz w lewo, raz w prawo, zbliżając się ku nam. Było zbyt ciemno, żebym zobaczyła szczegóły, ale wiedziałam, jak wygląda taki skuter, czy też raczej jak wyglądał pięćdziesiąt lat wcześniej. Oszustwo matki nadal mnie szokowało.

Matka powoli pokręciła głową, jakby budząc się z długiego snu.

— Szybko. — Zaciągnęła zasłony i chwyciła mnie za rękę. — Musimy się schować.

*Gdzie?*, chciałam zapytać. Wiedziałam, że tego wymagałby od nas ojciec, wiedziałam też, co nam robi, jeśli nie wypełnimy jego poleceń. Było jednak zbyt późno, żeby wybiec na mokradła i wytarzać się w błocie, nawet gdyby nie zamarzło. Ten, kto jechał skuterem śnieżnym, zobaczył już naszą chatę i zmierzał prosto do nas. Z komina ulatywał dym, w drewnutni leżało drewno na opał, w śniegu widniały ślady stóp. W chacie przy drzwiach wisały palta, stół był zastawiony do posiłku, a na piecyku gotowała się potrawka z królika. A co z Rambo?

*Rambo.*



Chwyciłam palto i pobiegłam do drewnutni. Rambo skowyczał i szarpał się na łańcuchu tak, jakby zaraz miał się udusić. Rozpięłam mu obrozę i go wypuściłam, po czym przykucnęłam między poukładanym drewnem a ścianą budynku, zerkając przez szpary między deskami. Silnik wydawał teraz inny odgłos, gdyż skuter wjeżdżał na nasze wzniesienie. Chwilę później zniknął mi z pola widzenia w chmurze śniegu i spalin. Pobiegłam na drugą stronę drewnutni i wspięłam się na stertę drewna, po czym przykucnęłam z nożem gotowym do ciosu, tak jak uczył mnie ojciec. Skuter zatrzymał się dokładnie pode mną. Hałas był tak donośny, że dzwoniło mi w uszach jeszcze długo po tym, jak kierowca zgasił silnik.

— Hej, mały.

Kierowca gwizdnął i poklepał się po nodze, gdy Rambo, szczekając, okrążył skuter. Nie widziałam twarzy przybysza, bo miał na sobie kask, taki jaki noszą nurkowie głębinowi — czy też raczej taki, jaki dawniej nosili — ale po głosie poznałam, że to mężczyzna.

— Chodź tu, mały. No już, w porządku. Nie zrobię ci krzywdy.

Rambo przestał szczekać i podbiegł, merdając ogonem, po czym położył pysk na kolanie mężczyzny, który ściągnął rękawicę i podrapał mojego psa za uchem. Nie miałam pojęcia, skąd wiedział, że Rambo to lubi.

— Grzeczny piesek. Jaki grzeczny piesek. Tak, tak, tak, bardzo grzeczny.

Jeszcze nie słyszałam, żeby ktoś tyle gadał do psa.

Mężczyzna delikatnie odsunął Rambo i zsiadł ze skutera. Miał na sobie grube czarne spodnie i czarną kurtkę. Na jej rękawach widniały paski w odcieniu zieleni, jakiego nigdy wcześniej nie widziałam. Skuter też był ozdobiony takim paskiem oraz białym napisem ARCTIC CAT. Mężczyzna zdjął kask i zostawił go na siedzeniu. Miał żółte włosy jak moja matka i obfitą, rozczochraną brodę jak wiking. Był wyższy od ojca i młodszy. Kiedy chodził, jego ubranie szeleściło jak suche liście. Wątpiłam, żeby nadawało się na

polowanie, ale pewnie było ciepłe.

Wszedł na stopnie werandy i zapukał do drzwi.

— Halo! Jest tam kto? — Odczekał chwilę, po czym znów zastukał. Nie byłam pewna, na co czeka. — Halo!

Drzwi chaty się otworzyły i matka wyszła na próg. Nie widziałam wyrazu jej twarzy, bo światło było za nią, ale zauważyłam, że trzęsą jej się ręce.

— Przepraszam, że przeszkadzam, ale czy mogę skorzystać z telefonu? — zapytał mężczyzna. — Odłączyłem się od grupy i straciłem orientację.

— Telefon — powiedziała cicho matka.

— Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu. Komórka mi padła.

— Ma pan telefon komórkowy. — Zachichotała. Nie miałam pojęcia dlaczego.

— No cóż, tak. Gdybym mógł skorzystać z pani aparatu, powiedziałbym kumplom, że nic mi nie jest. Byłoby świetnie. Jestem John. John Laukkanen. — Uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

Matka wydała z siebie taki dźwięk, jakby się krztusiła, po czym chwyciła go za rękę tak, jak tonący chwyta się liny ratunkowej. Nie puszczała jego dłoni jeszcze długo po tym, jak przestała nią potrząsać.

— Wiem, kim pan jest. — Rozejrzała się wokół, po czym szybko wciągnęła mężczyznę do środka.

Patrzyłam na chatę jeszcze długo po tym, jak drzwi się zamknęły. Jeszcze więcej kłamstw. Więcej podstępów. Więcej oszustw. Matka znała tego człowieka. Przyjechał do niej pod nieobecność ojca. Nie wiedziałam, co robią w chacie, ale wiedziałam, że coś złego. Schowałam nóż do pochwy i zesłam ze sterty drewna. Skuter czaił się na naszym podwórzu jak wielki baribal. Miałam ochotę trzasnąć go w zad i przepędzić, albo zawołać ojca, żeby przyszedł ze strzelbą i położył go trupem. Przeszłam na palcach przez werandę z tyłu domu i zerknęłam między niedociągniętymi zasłonami. Matka

i mężczyzna stali pośrodku kuchni. Matka coś mówiła i wymachiwała rękami. Nie słyszałam ani jednego słowa, ale wydawała się jednocześnie wystraszona i rozentuzjasmowana. Wciąż zerkąła na drzwi, jakby się bała, że lada moment pojawi się w nich ojciec. Nie miałabym nic przeciwko temu.

Mężczyzna wydawał się przerażony. Matka wciąż mówiła i gestykulowała, aż w końcu skinął głową, powoli, jakby nie chciał zrobić tego, o co prosiła go moja matka, ale musiał, tak jak ja, kiedy ojciec kazał mi pomóc jej przy robieniu dżemu. Matka się roześmiała i wspięła na palce, po czym zarzuciła mężczyźnie ręce na szyję i pocałowała go w policzek. Mężczyzna poczerwieniał, a matka położyła głowę na jego ramieniu. Jej ramiona drżały. Nie wiedziałam, czy się śmieje, czy płacze. Po chwili mężczyzna objął ją, poklepał po plecach i przytulił.

Przysiadłam na piętach w śniegu. Palily mnie policzki. Wiedziałam, czym jest pocałunek. Oznacza on, że się kocha osobę, którą się całuje. Dlatego moja matka nigdy nie całowała ojca. Nie mogłam uwierzyć, że pocałowała tego mężczyznę, tego nieznanego po tym, jak sprowadziła go do domu pod nieobecność ojca. Wiedziałam, co ojciec by zrobił, gdyby tu był. Wyjęłam nóż, przekradłam się cicho przez werandę, po czym szeroko otworzyłam drzwi.

— Helena! — krzyknęła zarumieniona matka. Ona i mężczyzna oderwali się od siebie, gdy zimne powietrze napłynęło do chaty. — Myślałam, że jesteś... Nieważne. Pośpiesz się. Zamknij drzwi.

Zostawiłam drzwi otwarte.

— Musisz stąd odejść — powiedziałam do mężczyzny najbardziej szorstko jak potrafiłam. — Już.

Postanowiłam zademonstrować, że mówię poważnie, więc machnęłam nożem. Użyłabym go, gdybym musiała.

Mężczyzna się cofnął i uniósł ręce.

— Zaraz, zaraz, spokojnie. Odłóż ten nóż. Wszystko jest w porządku. Nie

zrobię ci krzywdy. — Mówił do mnie jak do mojego psa.

Z groźną miną ojca zrobiłam krok w kierunku mężczyzny.

— Musisz odejść, i to natychmiast. Zanim wróci ojciec.

Matka pobladła na wzmiankę o ojcu, i dobrze. Nie wiedziałam, co sobie myślała, sprowadzając tego człowieka do naszej chaty, i na jakie zakończenie liczyła.

— Heleno, proszę. — Opadła na krzesło. — Nie rozumiesz. Ten człowiek to nasz przyjaciel.

— Nasz przyjaciel? *Nasz* przyjaciel? Widziałam, jak go całujesz. Widziałam cię!

— Widziałas... Och, Heleno. Nie, nie... Ja tylko dziękowałam Johnowi, bo nas stąd zabierze. Odłóż nóż. Musimy się pośpieszyć.

Patrzyłam na matkę — rozentuzjasmowaną, pełną nadziei, szczęśliwą, jakby to był najlepszy dzień w jej życiu, bo na naszym wzniesieniu pojawił się ten mężczyzna. Myślałam tylko o tym, że zwariowała. Wiedziałam, że nie lubi życia na mokradłach, ale czy naprawdę sądziła, że może teraz odejść, w taki ziąb, po ciemku? Że usiądzie na śnieżnym skuterze, za plecami tego nieznanego, i da się wywieźć bez pozwolenia ojca? Ani w ząb nie rozumiałam, dlaczego w ogóle przyszło jej to do głowy.

— Proszę cię, Heleno. Wiem, że się boisz...

Z pewnością się nie bałam.

— ...a przez to wszystko możesz się czuć bardzo skołowana.

Nie byłam ani trochę skołowana.

— Ale musisz mi zaufać.

Miałabym jej ufać? Czasopismo w kieszeni moich spodni parzyło niczym rozżarzony węgiel. Po czymś takim już nigdy nie mogłabym zaufać matce.

— Heleno, proszę cię. Później ci wszystko wyjaśnię. Teraz musimy się pośpie...

Umilkła, gdy na werandzie rozległ się stukot butów.

— Co tu się dzieje? — ryknął ojciec i wpadł do środka.

W ułamku sekundy ocenił sytuację i uniósł strzelbę, celując raz w mężczyznę, raz w moją matkę, jakby nie mógł się zdecydować, które zastrzelić najpierw.

Mężczyzna podniósł ręce.

— Bardzo proszę, nie chcę żadnych kłopotów...

— Zamknij się! Siadaj.

Mężczyzna opadł na jedno z naszych kuchennych krzeseł, jakby go ktoś popchnął.

— Proszę posłuchać — powiedział. — Nie ma powodu używać broni. Chciałem tylko skorzystać z telefonu. Zgubiłem się. Pańska... hm... żona mnie wpuściła i...

— Powiedziałem, zamknij się! — krzyknął ojciec.

Odwrócił się na pięcie i rąbnął go w brzuch kolbą strzelby. Mężczyzna wydał z siebie stłumiony okrzyk, spadł z krzesła i przetoczył się po podłodze, jęcząc i trzymając się za brzuch.

— Nie! — krzyknęła matka i zasłoniła twarz rękami.

Ojciec wręczył mi strzelbę.

— Jeśli się poruszy, zastrzel go — rozkazał.

Następnie stanął nad matką i uniósł pięść. Mężczyzna z trudem ukląkł, podpełzł do mojego ojca i chwycił go za kostkę. Byłam świadoma, że powinnam strzelić, ale nie chciałam pociągnąć za spust.

— Zostaw ją! — krzyknął. — Wiem, kim jesteś. Wiem, co zrobiłeś!

Ojciec zamarł i odwrócił się gwałtownie. W jednym z artykułów w „Geographicu” opisano czyjaś twarz jako „pociemniałą z wściekłości”. Ojciec właśnie tak teraz wyglądał. Był tak wściekły, że mógł pozabijać nas wszystkich.

Ryknął niczym raniony baribal, natarł na mężczyznę i kopnął go w nerkę. Mężczyzna krzyknął i upadł twarzą na podłogę. Ojciec chwycił go za lewy nadgarstek, oparł stopę na jego łokciu, a następnie wykręcał mu rękę, unosząc ją coraz wyżej i wyżej, aż trzasnęła kość. Wrzask mężczyzny wypełnił chatę, zlewając się z krzykiem matki i moim własnym.

Ojciec złapał przybysza za złamaną rękę i szarpnął, podnosząc go z podłogi. Mężczyzna znów wrzasnął.

— Proszę, nie! Nie, Boże, nie! Proszę, przestań! — krzyczał, gdy ojciec prowadził go przez podwórze do drewnutni.

Matka szlochała, mnie trzęsły się ręce. Opuściłam wzrok i dotarło do mnie, że nadal trzymam strzelbę, celując w matkę. Patrzyła na mnie tak, jakby myślała, że ją zastrzele. Nie powiedziałam jej, że broń nie jest odbezpieczona.

Gdy ojciec wrócił do chaty, miał zakrwawioną kurtkę i zaczerwienione kostki palców. Wyjął strzelbę z moich rozdygotanych rąk i zamknął ją w spiżarni. Czekałam w kuchni, razem z matką. Nie byłam pewna, co powinnam zrobić. Kiedy wrócił, był spokojny, jakby nic się nie wydarzyło, jakby to był zwyczajny dzień, a on wcale nie złamał ręki pierwszej osobie, która pokazała się na naszym wzniesieniu. To mogło oznaczać jedną z dwóch rzeczy: jego złość się ulotniła albo dopiero się rozgrzewał.

— Idź do siebie, Heleno — polecił mi.

Wbiegając po schodach, usłyszałam za sobą odgłos towarzyszący uderzeniu pięści o ciało. Matka krzyknęła. Zamknęłam drzwi.

\* \* \*

Jeszcze długo po tym, jak w chacie zapadła cisza, z rękami pod głową rozmyślałam, leżąc na łóżku wpatrzona w sufit. Wspomnienia spędziły mi sen z powiek.

Przypomniałam sobie, jak ojciec pływał ze mną w bobrowym rozlewisku

i uczył mnie, jak się leży na wodzie. Słońce było ciepłe, woda zimna. Unosiłam się na powierzchni, z rękami rozłożonymi na boki. Ojciec stał obok mnie, woda sięgała mu do pasa. Trzymał ręce pod moimi plecami, chociaż wcale nie czułam jego dotyku.

— Nogi do góry — rozkazał, kiedy stopy zaczęły mi ciążyć. — Wypnij brzuch. Wygnij grzbiet.

Wypięłam brzuch i odchyliłam ramiona najbardziej jak się dało, a wtedy moja twarz zanurzyła się pod wodę. Zakrztusiłam się, zaczęłam tonąć. Ojciec mnie złapał i podtrzymał, a potem spróbowałam ponownie. Później, gdy nauczyłam się unosić na wodzie, było to tak proste, że z trudem przypominałam sobie czasy, kiedy tego nie potrafiłam.

Ojciec pomagał mi nadziać przynętę. Za pierwszym razem, gdy wyjmowałam bardzo ostry haczyk z pudełka, jego koniec utkwił mi w kciuku. Bolało, ale nie tak okropnie jak wtedy, gdy ojciec go wyciągał. Potem już bardzo uważałam, żeby zawsze trzymać haczyk za oczko na górze. Nasza puszka z przynętą była pełna robaków, które wykopywaliśmy z wilgotnej ziemi u stóp naszego wzniesienia. Poszperałam w wypełnionej ziemią puszcze i wygrzebałam robaka. Był śliski i mokry. Ojciec pokazał mi, jak go przebić haczykiem przez środek, a następnie zwinąć w pętelkę i ponownie nadziać przez głowę i ogon.

— To nie boli — powiedział, kiedy zapytałam, co na to robak. — Robaki nic nie czują.

Jeśli to prawda, spytałam, to dlaczego robak wije się i skręca? Ojciec się uśmiechnął. Powiedział, że zaczynam samodzielnie myśleć, a to dobrze, i pogłaskał mnie po głowie.

Ojciec i ja siedzieliśmy w łaźni. Znowu opowiadał mi historię o tym, jak wpadł do niedźwiedziej jamy. Wiedziałam już, że przy każdej opowieści zmieniał detale, żeby była bardziej interesująca. Jama się pogłębiała, ojciec

spadał dłużej, trudniej mu było wydostać się na powierzchnię, niedźwiedź zaczął się budzić, gdy ojciec wylądował mu na grzbiecie. Zauważyłam, że chociaż mówienie prawdy jest ważne, podczas opowiadania historii można zmieniać fakty, aby stała się bardziej interesująca. Liczyłam na to, że gdy dorosnę, będę równie dobrym gawędziarzem jak on.

Wstałam, podeszłam do okna, po czym popatrzyłam z góry na rozjaśnione księżycowym blaskiem podwórze. Rambo krążył po szopie. Skuter śnieżny stał bezpośrednio pod oknem. W drewnutni, gdzie siedział mężczyzna, panowała cisza.

W dzieciństwie bardzo kochałam ojca. Teraz też. Cousteau i Calypso mówili, że był złym człowiekiem. Wiedziałam, że im na mnie zależy, ale nie mogłam uwierzyć, że mają rację.

Rankiem matka została w łóżku, więc ojciec zrobił śniadanie. Ugotowana przez niego owsianka była mdła i nijaka. W głowie mi się nie mieściło, że jeszcze poprzedniego dnia najbardziej przejmowałam się brakiem soli. Teraz myślałam tylko o nieuczciwości matki. Nie dość, że okłamała mnie w sprawie „Geographiców”, to w dodatku zdradziła ojca. Wiem, że zbił ją za to, że sprowadziła mężczyznę do naszej chaty, i dlatego nadal leżała w łóżku. Nie lubiłam, kiedy ojciec ją bił, ale czasami na to zasługiwała, tak jak teraz. Ojciec powiedział, że matka była sam na sam w chacie z innym mężczyzną, a zatem dopuściła się czegoś, co się nazywa cudzołóstwo. Kiedy kobieta Ojibwa dopuszcza się cudzołóstwa, jej mąż ma prawo ją okaleczyć albo nawet zabić, jeśli zechce. Matka nie była Indianką, ale jako żona ojca musiała się stosować do jego reguł. Zasłużyła na karę, wiedziałam o tym, a mimo to cieszyłam się, że nie wspomniałam ojcu o tym, że pocałowała tego mężczyznę.

Wyszorowałam nasze miski i garnek zimną wodą oraz garścią piachu, po czym zaniósłam kubek gorącej cykorii mężczyźnie w drewnutni, tak jak kazał mi ojciec. Poranek był słoneczny i pogodny. Skuter za dnia wydawał się większy,



był lśniący, czarny i rozmigotany jak świeży śnieg, z przednią szybą koloru dymu z palącego się drewna i z tym paskiem w niespotykanym odcieniu zieleni. W ogóle nie przypominał pojazdów, które oglądałam na zdjęciach w „Geographicach”.

Postawiłam kubek na schodku werandy i wzięłam do ręki kask. Okazał się cięższy, niż się spodziewałam, miał ciemną, wygiętą szybę z przodu, która kształtem przypominała tarczę. W środku był wyłożony grubym i miękkim materiałem. Włożyłam kask na głowę i usiadłam na skuterze z nogami po obu stronach, jak mężczyzna, a potem udawałam, że prowadzę. Kiedyś marzyłam o skuterze śnieżnym. Gdybyśmy go mieli, moglibyśmy dwa razy szybciej sprawdzać przeręble, w których łowiliśmy ryby, niż pieszo, używając rakiet. Kiedyś zapytałam ojca, czy sprzedamy jego futra, żeby kupić skuter. W rezultacie musiałam wysłuchać długiego wykładu o wyższości indiańskiego stylu życia nad wynalazkami białego człowieka i o tym, że szybciej nie zawsze znaczy lepiej. Uznałam jednak, że gdyby nasi przodkowie dysponowali skuterami, z pewnością by z nich korzystali.

Zeskoczyłam ze skutera, podniosłam kubek i przeszłam przez podwórze do drewnutni. Cykoria już nie parowała. Mężczyzna był przykuty kajdankami do słupa w kącie. Miał krew we włosach i spuchniętą twarz. Jego spodnie i kurtka zniknęły, ubrany był wyłącznie w białą termalną bieliznę, taką jaką ojciec i ja nosiliśmy zimą. Stopy wepchnął w wióry i trociny, dla ochrony przed zimnem, ale i tak wystawały mu palce. Ręce miał skute nad głową, oczy zamknięte, broda zwisała mu na piersi. Teraz nie bardzo przypominał wikinga.

Zatrzymałam się na progu, właściwie nie wiedząc dlaczego. To była moja drewnutnia, moja chata i moje wzniesienie. Miałam prawo tu być, to on tu nie pasował. Ojciec kazał mi przynieść temu człowiekowi cykorię. Chyba bałam się wejść, bo nie chciałam zostać z nim sama i dopuścić się cudzołóstwa. Dopiero co poznałam to pojęcie i nie bardzo wiedziałam, na czym polega

cudzołóstwo.

— Chcesz pić? — Odpowiedź była oczywista, ale nie wiedziałam, co powiedzieć.

Mężczyzna uchylił jedną powiekę, druga była całkiem spuchnięta. Ojciec często powtarzał mi, że jeśli kiedyś będę musiała trzymać kogoś w niewoli, to niezależnie od tego, jak mocno go zbiję, zawsze muszę oszczędzić jedno oko. Dzięki temu więzień będzie widział, jak przychodzę, i przewidywał, co zrobię, a wtedy utrzymam psychologiczną przewagę. Kiedy mężczyzna zobaczył mnie w progu, odsunął się na tyle, na ile pozwalały mu kajdanki. Wtedy zrozumiałam, że ojciec mówił prawdę.

— Przyniosłam ci coś do picia — oznajmiłam.

Uklękłam w trocinach i przytrzymałam kubek przy jego ustach, po czym wyciągnęłam herbatnik schowany w kieszeni palta, połamałam go i nakarmiłam nieznajomego. Dotyk jego wąsów i oddech na skórze przyprawiły mnie o dreszcz. Nie licząc ojca, nigdy nie byłam tak blisko innego mężczyzny. Znów pomyślałam o cudzołóstwie i strzepnęłam okruszki, które spadły mu na pierś.

Wyglądał nieco lepiej, kiedy skończył jeść i pić, chociaż nadal źle. Rozcięcie nad jego okiem krwawiło, a twarz po lewej stronie była spuchnięta i fioletowa od ciosu ojca. Stercząca nad głową mężczyzny złamana ręka stanowiła spory problem. Widywałam już zwierzęta umierające od lżejszych ran.

— Z twoją mamą wszystko w porządku? — zapytał.

— Tak.

Nie powiedziałam mu, że matka też ma złamaną lewą rękę. „Dobrana para”, oświadczył ojciec tego ranka, gdy opowiedział mi, że wczoraj wieczorem wykręcił matce rękę za plecami tak samo jak przybyszowi.

— Twój ojciec to wariat. — Mężczyzna wskazał brodą drewnitnię, kajdanki

i siebie w bieliźnie.

Nie podobały mi się jego słowa. Nie znał ojca. Nie miał prawa mówić takich rzeczy.

— Trzeba było nie przychodzić — odparłam oziębło. — I zostawić nas w spokoju. — Nagle poczułam, że muszę wiedzieć. — Jak nas znalazłeś?

Źle to zabrzmiało, jakbym uważała, że się zgubiłyśmy.

— Jechałem szlakiem z kumplami i źle skręciłem. Piliśmy — odparł, jakby to miało być wyjaśnienie. — Whisky, piwo. Nieważne. Długo jechałem, szukając szlaku, a potem zobaczyłem dym z waszej chaty. Nie wiedziałem, że ta chata... że twoja matka...

— Co z moją matką?

Nie interesowało mnie, jak poważnie jest ranny. Zamierzałam rąbnąć go w złamaną rękę, jeśli powie, że przyjechał tu z miłości do mojej matki.

— Nie wiedziałem, że była tu przez cały czas, że po tylu latach się wreszcie znajdzie i że twój ojciec... — Nagle urwał i popatrzył na mnie dziwnie. — Mój Boże. Ty nie wiesz.

— Czego nie wiem?

— Że twoja mama... twój ojciec...

— Co ze mną? — rozległ się głos ojca.

Mężczyzna skulił się na widok cienia ojca na progu. Zamknął zdrowe oko i zaczął pojękiwać.

— Wracaj do domu, Heleno — rozkazał mi ojciec. — Matka cię potrzebuje.

Chwyciłam pusty kubek, zerwałam się na równe nogi i minęłam ojca w drodze do chaty. Umyłam kubek, postawiłam go na suszarce, a potem długo stałam przy kuchennym oknie, przyglądając się przez szczeliny w ścianie drewnutni, jak ojciec okłada pięściami i kopie mężczyznę, który wrzeszczy i wyje. Zastanawiałam się, co ten człowiek chciał mi powiedzieć.

Ramię mi pulsuje. Nie mam pojęcia, jak ciężko ranił mnie ojciec. Możliwe, że kula ledwie drasnęła skórę i wystarczy kilka szwów. Niewykluczone jednak, że rana jest o wiele poważniejsza. Jeśli oberwałam w tętnicę, to się wykrwawię. Jeśli doszło do przerwania któregoś z ważniejszych połączeń nerwowych, grozi mi paraliż ręki. Teraz jednak wiem tylko, że boli, i to jak.

Gdyby to było typowe przypadkowe postrzelenie, jechałabym już karetką do szpitala, a ratownicy próbowaliby mnie doprowadzić do stabilnego stanu. Na pewno nie siedziałabym na ziemi oparta plecami o drzewo. Po naszym przybyciu do szpitala otworzyłyby się drzwi, wybiegliby z nich pielęgniarze i wtoczyliby wózek ze mną do środka. Lekarze zajęliby się raną, daliby mi coś na ból.

To postrzelenie nie było jednak przypadkowe.

Ojciec mnie ranił, zakuł w kajdanki i zawlókł za ramiona do dużej sosny. Tam mnie podciągnął i oparł o jej pień. Nawet nie zamierzam próbować opisać, jak się przy tym czułam.

Rambo zniknął. Wydaje mi się, że wrzasnęłam: „Do domu!”, kiedy ojciec wbiegał po zboczach, żeby mnie rozbroić, ale trudno powiedzieć, czy rzeczywiście krzyczałam, czy tylko o tym pomyślałam. Pierwsze sekundy po postrzeleniu zamazały mi się w pamięci.

Mrugam, zmuszając się do oderwania myśli od bólu, i próbuję się skupić. Byłam głupia, łudząc się, że ojciec się podda. Trzeba było skorzystać z okazji i go zabić. Następnym razem tak zrobię.

Ojciec siedzi na ziemi, oparty plecami o zwałone drzewo, z moim magnum

w dłoni. Zauważam, że założył mój pas z nożem. Nie będę mogła użyć komórki, i to nie dlatego, że się rozładowała. Gdy ojciec znalazł iPhone, który dostałam od Stephena na ostatnią rocznicę ślubu, podrzucił go i zniszczył jednym strzałem.

Ojciec jest odprężony, zupełnie spokojny. Dlaczego nie? Ma nade mną przewagę pod każdym względem.

— Nie chciałem cię skrzywdzić — mówi. — Zmusiłaś mnie.

Typowy narcyz. Bez względu na to, co się stanie, zawinił zawsze ktoś inny.

— Trzeba było nie uciekać — ciągnie, kiedy milczę. — Wszystko popsukaś.

Chciałabym mu wytknąć, że to nie ja odpowiadam za rozpad naszej rodziny. Gdyby był choć trochę zdolny do logicznego myślenia, powiedziałabym mu, że życie, które sobie wyobraził, z założenia było nieosiągalne. Złudzenie, że zdoła stworzyć rodzinę na mokradłach według własnych pragnień i upodobań, rozwiało się wraz z moim poczęciem. To ja byłam jego piętą achillesową, najslabszym ogniwem. Ojciec wychował mnie i ukształtował na miniwersję siebie, tym samym jednak zasiał ziarno własnej zguby. Mógł kontrolować moją matkę, ale nie miał szansy przejąć kontroli nade mną.

— Ona nie żyje — mówię. — Matka.

Nie wiem, dlaczego to powiedziałam. Nawet nie jestem pewna, jak umarła. Wiem tylko to, co przeczytałam w gazetach: że odeszła niespodziewanie we własnym domu. Wydawał się odpowiednim dla niej miejscem do umierania. Kiedy mieszkałam u dziadków, cztery różowe ściany sypialni oblepione motylkami, tęczami i jednorożcami mnie przytłaczały. Gdy miałam dość hałasu i zamętu świata poza mokradłami, musiałam wyjść. Jeśli mogłam spojrzeć w górę, na rozkołysane drzewa, czułam się dobrze. Matka była moim przeciwieństwem. Patrząc na to z perspektywy lat, rozumiem, że po opuszczeniu mokradeł spędzała tak wiele czasu w pokoju, gdyż był jedynym miejscem, w którym czuła się bezpiecznie.

— Twoja matka mnie rozczarowała — prycha ojciec. — Często żałowałem, że nie wziąłem tej drugiej.

— Tej drugiej?

Drugiej dziewczyny, z którą matka bawiła się tamtego dnia? Przeraza mnie, że mówi tak beznamiętnie o porwaniu matki. Myślę o dniu, w którym ją wprowadził, o tym, jak dała się nabrać na jego historię o psie, jak przerażona musiała być, gdy sobie uświadomiła, że ojciec chce ją skrzywdzić. W pewnym momencie, gdy pomagała mu szukać nieistniejącego psa, z pewnością do niej dotarło, że kłamał. *Powinnam iść do domu*, powiedziała zapewne, i to więcej niż raz. *Rodzice będą mnie szukać*. Mówiła raczej z wahaniem, jakby prosząc o pozwolenie, ponieważ wtedy, inaczej niż obecnie, dziewczynki nie uczono asertywności. Ojciec mógł obiecać jej lody, jeśli poszukają trochę dłużej, a może kusił ją przejażdżką w kanoe. Potrafi być przekonujący, kiedy chce coś na tym zyskać.

Cokolwiek matka myślała lub czuła, przypieczętowała swój los, wsiadając do jego łodzi. Przez pierwszych kilka kilometrów na wschód od Newberry rzeka Tahquamenon przecina lasy porośnięte drzewami o twardym drewnie i jest stosunkowo wąska. Uświadomiwszy sobie, że znalazła się w tarapatach, matka być może się zastanawiała, czy zdoła wyskoczyć za burtę i dopłynąć do brzegu. Niewykluczone, że wstrzymywała oddech przed każdym zakrętem, w nadziei że napotkają wędkarza albo jakąś rodzinę, a wtedy zawoła o pomoc. Gdy jednak kanoe dotarło do mokradeł, musiała zrozumieć, że już po wszystkim. Uważam, że mokradła są piękne, ale dla mojej matki bezkresne, falujące trawy wyglądały raczej na wymarłe i puste niczym księżyc. Czy wtedy zrozumiała, że żaden pies nie istnieje? Że ojciec ją nabrał? Że już nigdy nie zobaczy swojej koleżanki, domu, pokoju, ubrań, zabawek, książek, filmów ani rodziców? Płakała? Wrzeszczała? Walczyła? Czy też popadła w stan zbliżony do amnezji, który był jej ucieczką przez następnych czternaście lat? Matka

nigdy nie podzieliła się ze mną wspomnieniami o szczegółach tamtego dnia, więc mogę się tylko domyślać.

— Wszystko sobie zaplanowałeś — mówię w przebłysku olśnienia. — Zaatakowałeś konwojentów na odcinku Seney, bo było jasne, że zacznę cię szukać, jeśli uciekniesz w okolicy mojego domu. Wzięłeś mnie jako zakładniczkę, bo chcesz, żebym zawiozła cię do Kanady i tam zostawiła.

Oczywiście pozostaje problem czterech przebitych opon w moim pikapie, ale ojciec na pewno już wie, jak sobie z nim poradzić.

Uśmiecha się do mnie tak samo jak podczas nauki tropienia, ale nie wtedy, gdy dobrze mi szło, tylko wówczas, gdy się pomyliłam.

— Prawie. Nie zostawisz mnie na granicy. Pojedziesz ze mną, *Bangii-Agawaateyaa*. Będziemy rodziną. Ty. Ja. Twoje córki.

Czas wydaje się zwalniać, gdy trawię tę odpowiedź. Ojciec musi wiedzieć, że nigdy z własnej woli nie zabiorę dziewczynek, aby z nim odjechać. Nie ma znaczenia, że nie potrafię znaleźć właściwych słów i ułożyć ich w zdania, by mu o tym powiedzieć. Nie mogę uwierzyć, że chciałam go znowu zobaczyć, że kiedykolwiek kochałam tego człowieka, który morduje z taką łatwością, z jaką oddycha. Który uważa, że jeśli czegoś chce, to mu się to należy. Moja matka. Nasza chata. *Moje córki*.

— Tak, twoje córki — mówi, jakby czytał mi w myślach. — Chyba nie sądziłaś, że wyjedziemy bez nich?

My wyjedziemy? Nie ma żadnych nas. Chodzi wyłącznie o niego, jak zawsze. Myślę o tym, jak matka i ja robiłyśmy wszystko zgodnie z jego życzeniem, nawet sobie tego nie uświadamiając. Jadłyśmy wtedy, gdy on tego chciał, i tylko to, co nam pozwalał. Nosiliśmy to, co nam kazał. Wstawaliśmy i kładliśmy się o wyznaczonych przez niego porach. Nigdy nie naraziłabym Mari i Iris na taką kontrolę. A Stephen? Gdzie, zdaniem ojca, ma być w tym wszystkim Stephen? Poszedłby na koniec świata, żeby odnaleźć córki, jak

każdy normalny rodzic.

To się musi źle skończyć.

Pozostaje pytanie, skąd ojciec wie o moich dwóch córkach. Spędził w więzieniu trzynaście lat i w tym czasie nie utrzymywaliśmy żadnych kontaktów. Nie należę do matek, które opisują w internecie życie swoich dzieci, a nawet gdyby tak było, więźniowie nie mają dostępu do sieci. Staram się nie wychylać, nie robię niczego, co uczyniłoby mnie obiektem publicznego zainteresowania. Powody powinny być oczywiste dla każdego, kto zna moją historię. Zarabiam, sprzedając dzemy domowej roboty, na litość boską, a jednak ojciec wie o mojej rodzinie.

Ale czy na pewno?

— Dlaczego uważasz, że mam dzieci? — pytam.

Ojciec sięga do kieszeni kurtki po zabitym mężczyźnie i wyciąga stamtąd wymięty egzemplarz czasopisma „*Traverse*”. Na widok okładki czuję, jak serce mi się ściska. Rzucił czasopismo pod moje stopy, a ono upadając, otwiera się na zdjęciu przedstawiającym mnie, Stephena i dziewczynki pod okaleczonym przez piorun klonem przy naszym podjeździe. Drzewo jest bardzo charakterystyczne, zwłaszcza dla kogoś, kto się wychował w domu, do którego prowadzi ten podjazd. W artykule nie pada ani słowo o dziewczynkach, i wcale nie musi. Zdjęcie powiedziało ojcu wszystko, co chciał wiedzieć.

Stephen był taki dumny z tego artykułu. Umówił nas na wywiad, gdy nastał kryzys finansowy, ceny benzyny wzrosły, turystyka się załamała i dzemy gorzej się sprzedawały. Moje nazwisko i zdjęcie w czasopiśmie były ostatnimi rzeczami, jakie pragnęłam zobaczyć, ale odmawiając, musiałabym wyjawiać Stephenowi prawdę. Oznajmił, że dzięki tej reklamie sprzedaż w sieci wzrośnie, i miał rację. Po opublikowaniu artykułu zaczęłam otrzymywać zamówienia nawet od tych mieszkańców Michigan, którzy przeprowadzili się na Florydę czy do Kalifornii.



Naprawdę sądziłam, że starannie zatarłam ślady i nic się nie stanie. Może to brzmi naiwnie, ale na Górnym Półwyspie wymyślenie sobie nowego życia jest łatwiejsze, niż się wydaje. Każde z rozszanych co kilkadziesiąt kilometrów miast stanowi odrębny świat. Ludzie pilnują swojego nosa — nie tylko z tego powodu, że mieszkańcy Górnego Półwyspu są z natury niezależni i samowystarczalni, ale dlatego, że nie mają wyjścia. Kiedy człowiek musi przejechać siedemdziesiąt kilometrów do Kmartu albo do kina, uczy się zadowalać tym, co go otacza.

Każdy słyszał o Królu Moczarów i jego córce. Kiedy jednak przeniosłam się z Newberry do Grand Marais, nie przypominałam dwunastolatki ze zdjęć w gazetach. Dorosłam, obciąłam włosy, ufarbowałam je na blond, zmieniłam nazwisko. W miejscach publicznych nosiłam makijaż, żeby ukryć tatuaże. Dla wszystkich byłam kobietą, która kupiła stary dom Holbrooków, i dobrze.

Gdyby przyszło mi do głowy, że egzemplarz tego czasopisma pewnego dnia trafi do więziennej biblioteki i do celi ojca, nigdy bym się nie zgodziła na artykuł. Na zdjęciu twarze dziewczynek są niewyraźne. Ile razy ojciec przejeżdżał po nim palcami, gdy snuł plany i marzył? Sama świadomość, że mógłby odgrywać rolę kochającego dziadka moich córek... bawić się z nimi, łaskotać je i opowiadać im historie... To mi się nie mieści w głowie.

— Powiedz mi, czy twoje dziewczynki pomagają ci robić dzemy?  
— Pochyliła się i przyciska magnum do mojej piersi. W oddechu ojca czuję zapach bekonu, który człowiek z chaty smażył sobie na śniadanie. — Myślałaś, że ukryjesz się przede mną? Zmienisz nazwisko? Wyprzesz się mnie? Mieszkasz na mojej ziemi, Heleno. Naprawdę sądziłaś, że cię nie odnajdę?

— Nie krzywdź ich — proszę. — Zrobię wszystko, co tylko zechcesz, jeśli to nie będzie miało nic wspólnego z moją rodziną.

— W swojej sytuacji nie możesz stawiać warunków, Mały Cieniu.

Gdy wymawia moje dziecięce przezwisko, nie słyszę ciepła w jego głosie,

nie widzę błysku w oku. Może lata spędzone w więzieniu zniszczyły urok, który zapamiętałam, a może ojciec nigdy go nie miał. Wspomnienia, zwłaszcza te z dzieciństwa, bywają ułudą. Iris czasem opowiadała z niezachwianym przekonaniem o czymś, co jej zdaniem się wydarzyło, chociaż wiem, że to nieprawda. Może człowiek, którego pamiętam, nigdy nie istniał. Może pewne rzeczy nigdy się nie wydarzyły, wbrew temu, co mi się wydaje.

— Nie ujdzie ci to na sucho — mówię mimowolnie.

Jego śmiech brzmi nieprzyjemnie.

— Wszystko może ujść na sucho — odpowiada. — Kto jak kto, ale ty powinnaś to wiedzieć.

Przypominam sobie ostatni dzień na mokradłach. Obawiam się, że to prawda.

Wskazuje rewolwerem mój dom i wstaje.

— Pora na nas — oznajmia.

Dźwigam się na nogi, czepiając się drzewa, żeby nie stracić równowagi. Ruszam przed siebie. Ojciec i córka, znowu razem.

## CHATA

*Było jednak coś, co trzymało Helgę w ryzach — przedwieczorny zmrok. Stawała się wtedy cicha i zamyślona, pozwalając się przywoływać i prowadzić, jakby ją wtedy ciągnął do matki wewnętrzny nakaz. Wtedy żona wikinga brała ją na kolana i zapominając o jej okropnej postaci, patrzyła tylko w te smutne oczy i nieraz powtarzała:*

*— Już bym chyba wolała, żebyś zawsze była moją niemą żabką; straszniej na ciebie patrzeć, gdy twoje piękno objawia się na zewnątrz. Nigdy, nawet przed mężem, nie uzaliłam się ani jednym słowem na to, jak podwójnie cierpię. W moim sercu jest nad tobą więcej litości, niż myślałam.*

*Wtedy żałosna postać zaczęła dziwnie drżeć, jakby te słowa poruszyły niewidzialne więzy między ciałem i duszą, a w oczach pojawiły się wielkie łzy.*

H.CH. ANDERSEN  
*Córka króla moczarów*

Przez resztę tamtego dnia myślałam o mężczyźnie w drewnutni. Zastanawiałam się, co zamierzał powiedzieć mi o ojcu i matce, a czego ja nie wiedziałam. To musiało być ważne, bo ojciec zbił go za to, że niemal mi to wyjawiał. Wiele razy chciałam wykraść się do drewnutni, żeby zapytać, o co chodziło, ale ojciec trzymał się blisko chaty, przynosił wodę, rąbał drewno na opał i ostrzył piłę,

więc nie mogłam.

Spędziłam cały dzień w domu. Bez wątplenia był to najdłuższy, najbardziej monotony, najmniej emocjonujący i najnudniejszy dzień mojego życia, gorszy niż tamten, w którym ojciec zmusił mnie do pomagania matce przy dzemie. Nie chciałam zajmować się matką, chociaż było mi przykro z powodu jej złamanej ręki. Najchętniej pobiegłabym sprawdzić wnyki i przeręble, zabrałabym się z ojcem na polowanie, choć się wściekałam, że skrzywdził matkę. Zrobiłabym wszystko, byle nie siedzieć w domu. Czułam się tak, jakbym została ukarana, a przecież nie zrobiłam nic złego.

Mimo to wypełniałam każde polecenie rodziców, i to z entuzjazmem, bez narzekania, w nadziei, że wszystkich uszczęśliwię i życie wróci do normalności. Zmywałam naczynia, zamiatałam podłogę, siekierą podzieliłam na kawałki zamrożony kawał jeleniny i zgodnie z poleceniem matki postawiłam go w garnku z wodą na piecyku, żeby się ugotował. Za każdym razem, gdy prosiła, przynosiłam jej kubek herbatki z krwawnika, a na lunch podałam jej także resztki zupy z królika. Pomogłam jej usiąść, żeby wypić i zjadła, a potem poszłam do kuchni po garnek, żeby mogła się wysuszyć, i wylałam jego zawartość w wychodku, gdy skończyła. Ojciec twierdził, że napar z krwawnika zatrzyma wpływ krwi, ale herbatka chyba nie działała. Temblak, który przygotował na jej złamaną rękę z jednej z naszych kuchennych ścierek, był poplamiony i sztywny od zaschniętej krwi, podobnie jak prześcieradło. Uprałabym je, gdybym mogła.

Naprawdę nie zdawałam sobie sprawy, ile miała pracy, dopóki nie musiałam zrobić wszystkiego sama. Stałam na taborecie i pochylona nad piecykiem zastanawiałam się, czy jelenina na kolację jest już gotowa („Wbij widelec w mięso i wyobraź sobie, że to przedłużenie twoich zębów”, odparła matka, gdy spytałam, jak mam sprawdzić, czy zmiękło), kiedy ojciec uchylił tylne drzwi i wetknął głowę do środka.

— Chodź — powiedział.

Przesunęłam garnek dalej od paleniska i z radością włożyłam palto. Zmierzchało. Dzień był słoneczny i pogodny, ale teraz nadciągały chmury, temperatura spadała, a wiatr wiał tak, jakby zanosilo się na śnieżycę. Głęboko oddychałam zmrożonym powietrzem. Czułam się jak oswobodzony więzień, jak zwierzę z zoo, które znalazło się na wolności po całym życiu spędzonym w niewoli. Idąc za ojcem przez podwórze, ledwie powstrzymywałam się, by nie skakać.

Ojciec trzymał w dłoni ulubiony nóż, osiemnastocentymetrowy KA-BAR o ostrzu ze stali węglowej, z rękojeścią pokrytą skórą. Takiej broni używała amerykańska piechota morska podczas drugiej wojny światowej, ale on dostał swój podczas służby wojskowej. KA-BAR to doskonały nóż bojowy, który nadaje się też do otwierania puszek, kopania okopów, piłowania drewna, przecinania drutów i kabli oraz do walki wręcz, chociaż ja wolałam swój Bowie.

W pewnej chwili uświadomiłam sobie, że idziemy do drewnutni. Poczułam mrowienie blizn na przedramieniu. Nie wiedziałam, co ojciec zamierzał zrobić temu człowiekowi, ale mogłam się domyślić.

Kiedy weszliśmy do środka, mężczyzna odsunął się na tyle daleko, na ile pozwalały mu kajdanki. Ojciec przykucnął na piętach, przerzucając nóż z ręki do ręki, żeby więzień dobrze mu się przyjrzał. Jednocześnie się uśmiechał, jakby wiedział, co robi, ale nie mógł się zdecydować, od czego zacząć. Długo wpatrywał się w twarz mężczyzny, po czym jego spojrzenie powoli powędrowało ku piersi i kroczu. Mężczyzna wyglądał tak, jakby miał zwymiotować. Nawet mnie zrobiło się niedobrze.

Ojciec nagle złapał mężczyznę za T-shirt i wbił nóż w materiał. Rozciął go od szyi do pasa, po czym przytknął czubek ostrza do piersi mężczyzny, który pisnął ze strachu. Ojciec nacisnął mocniej, nóż zatopił się w skórze,

a mężczyzna krzyknął. Strasznie wrzeszczał, kiedy ojciec zabrał się do wykrawania mu liter na piersi.

Ojciec długo pracował nad tatużami mężczyzny. Tak je nazywał, chociaż słowa, które wyciął mu na torsie, nie wyglądały jak tatuże.

Kiedy mężczyzna stracił przytomność, ojciec wstał, wyszedł i wyczyścił w śniegu nóż oraz dłonie. W drodze do chaty kręciło mi się w głowie i ugiwały się przede mną kolana.

Opowiedziałam matce o tatużach mężczyzny, na co uniosła ubranie i pokazała mi słowa, które ojciec wyciął na jej skórze: *Zdzira. Dzwka*. Nie wiedziałam, co one znaczą, ale matka mi wyjaśniła, że są bardzo brzydkie.

\* \* \*

Następnego ranka ojciec powędrował na mokradła, żeby zastrzelić naszego wiosennego jelenia. Zrezygnował z wcześniejszego torturowania mężczyzny w drewnitni, bo jak powiedział, odkąd mamy jeszcze jedną gębę do wyżywienia, potrzebujemy mięsa bardziej niż kiedykolwiek. Tyle tylko, że ojciec nie dawał mężczyźnie nic do jedzenia. Poza tym mieliśmy dość warzyw w naszej piwnicy, żeby przetrwać do powrotu kaczek i gęsi. Nie brakowało nam też puszek i innych zapasów w spizarni.

Doszłam do wniosku, że ojciec tylko udął, że wychodzi na polowanie, a w rzeczywistości ukrył się gdzieś w pobliżu, aby mieć na mnie oko i sprawdzić, czy będę posłusznie wykonywała polecenia. Pod jego nieobecność miałam zajmować się mężczyzną — dać mu jeden kubek gorącej cykorii rano i drugi wieczorem, i nic poza tym. Nie rozumiałam, jak ktoś może przeżyć na samej cykorii. Ojciec powiedział, że właśnie o to chodzi.

Ojciec mówił o więźniu Łowca, chociaż wiedziałam, że mężczyzna ma na imię John. Matka wyjaśniła mi, że nazwisko Łowcy pisze się tak, jak się je wymawia, *Lauk-ka-nen*, ze wszystkimi sylabami akcentowanymi jednakowo.

Musiałam powtórzyć to słowo, żeby się nauczyć. Matka dodała, że fińskie nazwiska mogą się wydawać trudne do wymówienia z powodu podwójnych spółgłosek i samogłosek, ale tak naprawdę są całkiem proste. W przeciwieństwie do angielskiego, w którym część liter jest niema, po fińsku pisze się niemal dokładnie tak samo, jak się mówi.

Matka powiedziała, że ona i Łowca dorastali w tym samym mieście, zwanym Newberry, i że chodziła do szkoły z jego najmłodszym bratem, zanim ojciec sprowadził ją na mokradła. Najmłodszy brat Łowcy podobno wpadł jej w oko, ale nigdy mu o tym nie powiedziała. Pomyślałam o chłopaku z czasopisma „Nastolatka”, o tym z podwójnym imieniem, Neilu Patricku Harrisie, który też wpadł matce w oko. Wydało mi się to dziwne i na pewno szkodliwe dla oczu.

Potem matka wyjawiała, że też nosi fińskie nazwisko, Harju, czego nie wiedziałam. Mówiła, że wkrótce po ślubie jej dziadkowie przeprowadzili się z Finlandii do Michigan, żeby pracować w kopalniach miedzi. Wiedziałam z map w „Geographicach”, że Finlandia bywa traktowana jako część Skandynawii razem z Danią, Szwecją i Norwegią, i że Skandynawowie są potomkami wikingów. To oznaczało, że matka była wikingiem, i ja też, co bardzo mnie ucieszyło.

Nie przypominałam sobie, kiedy ostatnio matka aż tyle mówiła. Teraz znałam jej nazwisko, ale nagle uświadomiłam sobie, że nie znam swojego. Może dlatego, że go nie miałam, więc na wszelki wypadek postanowiłam, że chcę, by mnie nazywano Heleną Nieulekłą. Znałam nazwę miasta, w którym dorastała matka. Wiedziałam, że była wikingiem, i ja też, ale chętnie dowiedziałabym się czegoś jeszcze. Matka oświadczyła jednak, że jest zmęczona rozmową i zamknęła oczy.

Włożyłam kurtkę i poszłam do drewnitni. Miałam nadzieję, że Łowca powie mi więcej o mieście, w którym dorastał z moją matką. Zastanawiałam się, czy

mieszkają tam inni wikingowie, byłam też ciekawa tego, czego nie wiedziałam o rodzicach.

W drewnitni bardzo brzydko pachniało. Nacięcia na ciele Łowcy były spuchnięte i czerwone, a do tego pierś miał wysmarowaną czymś brązowym, zupełnie jakby ojciec wypełnił jego tatuaże odchodami, a nie sadzą.

— Pomóż mi — wyszeptał Łowca.

Najpierw myślałam, że mówi tak cicho z obawy, że ojciec go usłyszy, potem jednak dostrzegłam ciemny siniak na jego gardle. Zrozumiałam, dlaczego wczoraj niespodziewanie przestał krzyczeć.

— Proszę — jęknął. — Muszę się stąd wydostać. Przynies mi kluczyk do kajdanek. Pomóż mi.

Pokręciłam głową. Nie podobało mi się to, co ojciec robił Łowcy, ale wiedziałam, że za pomoc w ucieczce spotkałoby mnie to samo.

— Nie mogę — odparłam. — Ojciec ma klucz. Nosi go przy sobie.

— No to weź siekiere i wyrąb obręcz ze słupa. Albo przetnij go piłą łańcuchową ojca. Na pewno możesz coś zrobić. Proszę cię, musisz mi pomóc. Mam rodzinę.

Znow pokręciłam głową. Łowca nie miał pojęcia, o co prosi. Nie mogłabym wyrąbać obręczy ze słupa, nawet gdybym chciała. Zarówno żelazny pierścień, jak i słup były bardzo solidne. Ojciec mówił, że ludzie, którzy budowali chatę, zamierzali trzymać w drewnitni byka na łańcuchu, i że wtedy drewnitnia była pełna słomy, a nie drewna. Kiedy zapytałam, czy to znaczy, że nasza drewnitnia była bykutnią albo słomutnią, tylko się roześmiał. I choć wiele razy widziałam, jak ojciec posługuje się piłą, sama nigdy jej nie użyłam.

— Heleno, twój ojciec to zły człowiek. Powinien siedzieć w więzieniu za to, co zrobił.

— A co zrobił?

Łowca zerknął na wejście i wzdrygnął się, jakby z obawy, że ojciec usłyszy.



To nie miało sensu, bo między deskami były ogromne szczeliny, więc gdyby ojciec chował się na zewnątrz, z pewnością byśmy go zobaczyli.

Łowca długo na mnie patrzył.

— Kiedy twoja matka była dziewczynką i miała mniej więcej tyle lat co ty, twój ojciec ją zabrał — powiedział w końcu. — Ukradł ją rodzinie i przywiózł tutaj, chociaż nie chciała przyjechać. Porwał ją. Rozumiesz, co znaczy porwanie?

Skinęłam głową. Indianie Yanomami często porywali dziewczynki i kobiety z innych plemion, żeby się z nimi ożenić.

— Ludzie wszędzie jej szukali i nadal szukają. Twoja matka chce wrócić do rodziny, a twój ojciec powinien trafić do więzienia za to, co zrobił. Proszę cię, musisz mi pomóc w ucieczce. Jeśli to zrobisz, obiecuję, że zabiorę stąd na skuterze ciebie i twoją matkę.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie podobało mi się to, co Łowca mówił o ojcu, że jego miejsce jest w więzieniu, takim jak Alcatraz, Bastylia, Diabelska Wyspa czy Tower w Londynie. Poza tym nie rozumiałam, dlaczego uważa porwanie za coś złego. Niby jak inaczej mężczyzna miałby zdobyć żonę?

— Spytaj matkę, jeśli mi nie wierzysz — wyszeptał, gdy wstałam i ruszyłam do chaty. — Poświadczy, że mówię prawdę.

Zaparzyłam matce herbatkę z krwawnika i zaniiosłam do jej pokoju. Gdy popijała, przekazałam jej wszystko, co mówił mi Łowca. Skończyłam, a ona długo milczała, zupełnie jakby zasnęła. W końcu jednak pokiwała głową.

— To prawda — przytaknęła. — Twój ojciec porwał mnie, gdy byłam dziewczynką. Bawiłam się z koleżanką w pustym domu zawiadowcy przy torach, kiedy nas znalazł. Powiedział, że uciekł mu pies, i spytał, czy nie widziałyśmy w pobliżu małego, brązowego cockapoo. Gdy zaprzeczyłyśmy, poprosił nas o pomoc w poszukiwaniach. To jednak był tylko podstęp. Twój

ojciec zaprowadził mnie nad rzekę, kazał mi wsiąść do swojego kanoe i popłynął ze mną do tej chaty. Tutaj przykuł mnie do słupa w drewnutni. Kiedy płakałam, bił mnie. Gdy błagałam, żeby mnie wypuścił, przestał dawać mi jedzenie. Im bardziej walczyłam, tym było gorzej, więc po pewnym czasie robiłam już wszystko, co mi kazał. Nie wiedziałam, jak inaczej się zachować.

Otarła oczy narożnikiem koca.

— Twój ojciec to zły człowiek, Heleno — dodała. — Próbował mnie utopić. Wsadził cię do studni. Złamał Johnowi rękę, i mnie też. Porwał mnie.

— Ale przecież Yanomami biorą sobie kobiety z innych plemion i żenią się z nimi. Nie rozumiem, dlaczego porwanie jest złe.

— Chciałabyś, żeby ktoś przyszedł do naszej chaty i cię zabrał, nie pytając, czy chcesz z nim iść? A gdyby to oznaczało, że już nigdy nie zapolujesz, nie będziesz łowiła ryb ani wędrowała po mokradłach? Jakbyś się zachowała, gdyby ktoś ci to zrobił?

— Zabiłabym go — odparłam bez wahania.

Wtedy zrozumiałam.

Gdy tego popołudnia ojciec wrócił z mokradeł, znalazłam sobie zajęcie w kuchni, żeby nie patrzeć, jak bije i torturuje Łowcę. Nadal jednak słyszałam zdławione krzyki i jęki.

— On mnie zabije — powiedział Łowca dużo później, kiedy przyniosłam mu wieczorną cykorię. Miał posiniaczoną, spuchniętą twarz, ledwie mówił. — Weź skuter. Jutro, kiedy twój ojciec zniknie. Zabierz matkę. Przyślij kogoś po mnie.

— Nie mogę. Ojciec ma kluczyk do skutera.

— Jest zapasowy kluczyk, w schowku z tyłu. W metalowym pudełku, przymocowanym do pokrywy. Nietrudno jest kierować skuterem. Nauczę cię. Proszę, sprowadź pomoc, zanim będzie za późno.

— Dobrze — odparłam, ale nie dlatego, że Łowca tego chciał.

Nie wierzyłam ani jemu, ani matce, że ojciec to zły człowiek, którego miejsce jest w więzieniu, ale się zgodziłam, bo Łowca by umarł, gdybym odmówiła.

Usiadłam ze skrzyżowanymi nogami na trocinach i słuchałam uważnie, gdy mówił mi wszystko, co powinnam wiedzieć. Długo to trwało. Łowca bardzo cierpiał. Ojciec chyba złamał mu szczękę.

Następne dwa dni przebiegały według tego samego schematu. Przyrządzałam śniadanie dla siebie i ojca. Przez resztę dnia przynosiłam wodę i pilnowałam ognia, gotowałam i sprzątałam, podczas gdy ojciec chodził po mokradłach. Udawałam, że wszystko jest w porządku, że matka i Łowca nie umierają, a ojciec nie jest zły. Próbowałam skupić się na wszystkich dobrych rzeczach zapamiętanych z dzieciństwa. Myślałam na przykład o tym, jak ojciec dał mi deski i gwoździe, żebym zbudowała sobie zagrodę dla kaczek, chociaż musiał wiedzieć, że w przeciwieństwie do kur, dzikich kaczek nie da się trzymać w niewoli. Jak nazwał mnie Helgą Nieustraszoną, gdy poprosiłam go o to po przeczytaniu artykułu o wikingach. Jak nosił mnie na barana po mokradłach, kiedy byłam bardzo mała.

Trzeciego ranka Cousteau i Calypso zwołali naradę plemienną. Matka leżała w swoim pokoju, Łowca był w dREWUTNI, Rambo w szopie, a ojciec na mokradłach. Wszyscy troje usiedliśmy po indiańsku w salonie na moim niedźwiedzim futrze.

— Musisz odejść — oznajmił Cousteau.

— I to teraz — dodała Calypso. — Zanim wróci twój ojciec.

Nie byłam tego pewna. Gdybym odeszła bez pozwolenia ojca, nie miałabym już po co wracać.

— A matka? — Pomyślałam o jej złamanej ręce i o tym, jak musiałam pomagać jej usiąść, żeby mogła coś zjeść i wypić. — Nie da rady jechać skuterem. Nie utrzyma się.

— Twoja matka może siedzieć przed tobą — odparła Calypso. — Będiesz ją podtrzymywała, prowadząc.

— A Łowca?

Cousteau i Calypso pokręcili głowami.

— Jest za słaby, żeby usiąść za tobą — powiedział Cousteau.

— Ma złamaną rękę — dodała Calypso.

— Nie chcę go zostawić. Wście, co ojciec mu zrobi, kiedy wróci i zobaczy, że Łowca został, a matka i ja odjechałyśmy.

— Łowca tego chce — oświadczyła Calypso. — Sam to powiedział. Gdyby nie chciał, nie nauczyłby cię jeździć.

— A Rambo?

— Rambo może biec za wami. Musisz odejść, i to teraz, dzisiaj. Zanim wróci twój ojciec.

Przygryzłam wargę. Nie rozumiałam, dlaczego tak trudno mi się zdecydować. Było jasne, że matka i Łowca długo nie pożyją. Widziałam wiele umierających zwierząt i potrafiłam rozpoznać objawy. Wiedziałam, że jeśli nie opuścimy dzisiaj mokradeł, matka zapewne pozostanie tu już na zawsze.

Cousteau i Calypso powiedzieli, że znają opowieść, która pomoże mi się zdecydować. Podobno kiedy byłam bardzo mała, matka opowiedziała mi historię, którą ludzie nazywają baśnią. To oznacza, że chociaż nie jest prawdziwa, można się z niej czegoś nauczyć, tak jak z indiańskich legend ojca. Cousteau i Calypso zapewnili mnie, że matka kochała baśnie, kiedy była mała. Miała książkę, napisaną przez kogoś, kto się nazywał Hans Christian Andersen, i jeszcze inną, autorstwa braci Grimm. Cousteau i Calypso powiedzieli, że matka opowiadała mi te historie, gdy byłam bardzo mała. Jej ulubiona kojarzyła się matce z nią samą i nosiła tytuł *Córka króla moczarów*.

To była baśń o pięknej egipskiej księżniczce, o straszliwym potworze, nazywanym królem moczarów, i o ich córce, czyli o mnie. Bocian znalazł

małeńką Helgę śpiącą na liściu lilii wodnej i zaniósł do zamku wikinga, bo żona wikinga nie mogła mieć dzieci, chociaż zawsze tego chciała. Kobieta bardzo pokochała małą Helgę, która jednak za dnia była nieokrzesanym, trudnym dzieckiem. Helga uwielbiała przybranego ojca i życie wikingów. Potrafiła strzelać z łuku, jeździć konno i obchodzić się z nożem tak dobrze jak mężczyzna.

— Jak ja — zauważyłam.

— Jak ty.

Za dnia Helga była piękna jak jej matka, ale miała niecną, nieokiełznaną naturę, jak jej prawdziwy ojciec. W nocy stawała się słodka i łagodna jak matka, jednak wyglądała jak paskudna żaba.

— Uważam, że żaby nie są paskudne — oznajmiłam.

— Nie o to chodzi — powiedział Cousteau. — Po prostu słuchaj.

Mówili mi, jak córka króla moczarów walczyła ze swoją podwójną naturą, jak czasem chciała robić to, co dobre, a czasem nie.

— Ale skąd ona wie, co jest jej prawdziwą naturą? — zapytałam. — Skąd wie, czy jej serce jest dobre czy złe?

— Ma dobre serce — oznajmiła Calypso. — Udowadnia to, kiedy ratuje księdza, którego pojmał jej ojciec.

— Jak to robi?

— Po prostu słuchaj. — Calypso zamknęła oczy.

To oznaczało, że opowie długą historię. Ojciec robił tak samo. Twierdził, że zamykając oczy, lepiej sobie przypomina słowa, bo wtedy widzi opowieść w swojej głowie.

— Pewnego dnia wiking wrócił z długiej podróży, przywożąc pojmanego w niewolę chrześcijańskiego kapłana — zaczęła Calypso. — Wtrącił spętanego łykiem więźnia do lochu, żeby następnego dnia, w lesie, złożyć go w ofierze wikińskim bogom. Tamtej nocy skurczona żaba siedziała sama

w kącie. Panowała cisza, ale co jakiś czas wzbierało w niej na wpeł tłumione westchnienie, jakby na dnie serca w bólu rodziło się życie: dusza Helgi. Zrobiła krok do przodu, nasłuchiwała, zrobiła jeszcze jeden krok, a potem niezdarnymi rękami uchwyciła żelazną sztabę, która blokowała drzwi. Odsunęła ją i po cichu zeszła na dół do więźnia. Spał. Dotknęła go zimną, wilgotną ręką, a gdy się obudził i spostrzegł jej obrzydliwą postać, zaczął się trząść, jakby zobaczył coś przerażającego. Helga wyciągnęła nóż, przecięła łyka, które krępowały mu ręce oraz nogi, i dała mu znak, żeby szedł za nią.

Opowieść brzmiała znajomo. Calypso i Cousteau twierdzili, że na pewno już kiedyś ją słyszałam. Jeśli rzeczywiście tak było, to wyleciała mi z pamięci.

— Naprawdę nie pamiętasz? — zdziwiła się Calypso.

Pokręciłam głową. Nie rozumiałam, dlaczego oni pamiętają opowieść matki, a ja nie.

— Skurczona żaba poprowadziła go za dające ukrycie zasłony, a potem pustym korytarzem do stajni. Wskazała mu konia, a on na niego wskoczył. Siadła razem z nim, z przodu, i chwyciła się grzywy zwierzęcia. Szybkim kłusem pojechali drogą prowadzącą na otwarte wrzosowisko, której sam nigdy by nie znalazł, i ponownie zagłębili się w gęstym lesie. Ksiądz zapomniał o jej obrzydliwej postaci, czuł, że poprzez potwora działają łaska i miłosierdzie Pana, odmawiał modlitwy i śpiewał nabożne pieśni. Wtedy ona zaczęła drzeć. Uniosła się wysoko w powietrze, chciała zatrzymać konia i zeskoczyć, ale kapłan obejmował ją z całych sił i głośno śpiewał, jakby ten psalm mógł zdjąć z niej czar, który ją więził w postaci obrzydliwej żaby.

Calypso miała rację, naprawdę kiedyś słyszałam tę historię. Wspomnienia, z których nie zdawałam sobie sprawy, falowały na obrzeżach mojej świadomości niczym zmarszczki na powierzchni stawu, stopniowo coraz wyraźniejsze. Matka śpiewała mi, gdy byłam mała, szeptała do mnie, kołysała mnie w ramionach. Całowała mnie, tuliła, opowiadała bajki.

— Opowiem następną część, moją ulubioną — zapowiedział Cousteau.  
Calypso skinęła głową.

Podobało mi się to, że Cousteau i Calypso zawsze są zgodni.

— Koń pogalopował dalej, w jeszcze dzikszym tempie niż dotąd — zaczął Cousteau, wymachując rękami z entuzjazmem, żeby zademonstrować, jak gnał koń.

Jego wzrok tańczył, oczy błyszczały. Były brązowe jak moje, chociaż włosy miał żółte jak matka. Calypso miała brązowe włosy i niebieskie oczy.

— Niebo poczerwieniało, przez chmury przedarł się pierwszy promień słońca, i gdy świat zalało światło, nadeszła przemiana dająca jej piękne ciało i demoniczną duszę. Kapłan obejmował ramionami śliczną, młodą kobietę i przeraziło go to. Zeskoczył z konia, zatrzymał go, myślał, że spotkał go następny, niszczący czar. Helga jednym skokiem także znalazła się na ziemi. Krótka dziecięca sukienka sięgała jej tylko do kolan. Wyszarpnęła zza paska swój ostry nóż i rzuciła się na zdumionego kapłana.

„Niech ja cię dosięgnę!” — wołała. „Niech cię tylko dosięgnę, przebiję cię tym nożem! Jesteś blady jak trup! Niewolnik! Bezbrody!”

Dopadła go i zaczęli się szarpać w walce, ale chrześcijaninowi jakby jakaś niewidzialna moc dała siłę, trzymał dziewczynę, aż przyszedł mu z pomocą stary dąb rosnący obok, który uwięził jej stopy, gdy się dostały między jego sterczące nad ziemią korzenie. Wtedy ksiądz łagodnymi słowami zaczął jej mówić o czynie miłości, którego dokonała tej nocy, gdy przyszła do niego w postaci wstrętnej żaby, gdy rozcięła mu pęta i wyprowadziła go na światło, do życia. Ona też jest związana, mówił, związana mocniejszymi pętami niż on, ale i ona, dzięki niemu, wyjdzie na światło, do życia. Opuściła ręce i wpatrywała się w niego ze zdumieniem, a jej policzki jaśniały bledością.

Ja też byłam zdumiona. Ta historia w niczym nie przypominała opowieści zasłyszanych od ojca.

— Helga i ksiądz wyjechali z lasu i przemierzali wrzosowisko, a potem znów leśne bezdroża — ciągnął Cousteau. — A kiedy się miało ku wieczorowi, spotkali rozbójników. „Gdzie ukradłeś to śliczne dziewczę?!” — zawołali. Zatrzymali konia, zepchnęli z niego oboje jeźdźców, bo byli to silni mężczyźni. Duchowny nie miał innej broni, tylko nóż, który zabrał Heldze. Wymachiwał nim naokoło. Jeden z rozbójników zamachnął się, ale młody chrześcijański kapłan szczęśliwie uskoczył w bok. Gdyby nie to, zostałby trafiony. Wtedy ostrze siekiery ugodziło konia w szyję, aż trysnęła krew i zwierzę runęło na ziemię. Nagle Helga jak obudzona z długiego zamyślenia rzuciła się na dyszącego konia. Ksiądz stanął przed nią, żeby ją chronić, ale jeden z rozbójników z rozmachem uderzył go ciężkim żelaznym młotem w czoło i roztrzaskał je. Krew i mózg rozprysły się dookoła, kapłan padł martwy.

Zbójnicy chwycili piękną Helgę za białe ramiona i smukłą kibić, ale w tej samej chwili zaszło słońce, zgasł ostatni promień i Helga zamieniła się w obrzydliwą żabę. Biało-zielone usta zakrywały połowę twarzy, ramiona zrobiły się cienkie i oślizgłe, szeroka ręka z błoną między palcami rozłożyła się jak wachlarz. Wtedy rozbójnicy puścili ją przerażeni. Stała wśród nich jak koszmarny potwór.

— Żaby nie są...

Calypso przyłożyła palec do ust.

— Księżyc w pełni stał wysoko na niebie — ciągnął Cousteau. — Jego blask zaczął dawać światło, gdy Helga w żalosej skórze żaby wypęzła z zarośli. Zatrzymała się przy ciele duchownego i przy swoim zabitym wierzchowcu, patrzyła na nich oczami, które zdawały się płakać: głowa żaby wydała z siebie dźwięk przypominający płacz dziecka.

— Jak widzisz, jej zła natura jest silna, ale dobra silniejsza — powiedziała do mnie Calypso. — Oto morał tej historii. Pozwolisz zwyciężyć dobrej



stronie swojej natury? Zabierzesz stąd matkę?

Skinęłam głowę. Nogi mi zdrętwiały od siedzenia. Wstałam, rozciągnęłam je i poszliśmy do kuchni po palto matki, które wisiało przy drzwiach, i po jej buty, czapkę oraz rękawice.

— Wyjeżdżamy? — spytała matka, gdy położyłam jej zimowe ubranie na łóżku.

— Tak — odparłam.

Calypso otoczyła matkę ramieniem i pomogła jej usiąść. Cousteau chwycił jej nogi i oparł je na podłodze, a ja uklęknęłam, włożyłam matce buty, po czym wsunęłam jej zdrową rękę do rękawa palta i zapięłam je na temblaku.

— Dasz radę wstać? — zapytałam.

— Spróbuję.

Położyła prawą dłoń na łóżku i się odepchnęła, jednak nic to nie dało. Zarzuciłam jej rękę na swój kark, objęłam matkę w talii i pomogłam jej wstać. Zachwiała się, ale nie przewróciła.

— Musimy się pośpieszyć — powiedziałam.

Ojciec miał wrócić dopiero za parę godzin, chyba że zdołałby upolować jelenia. Wówczas należałoby się go spodziewać o wiele wcześniej.

W drodze do kuchni podpierałam osłabioną matkę. Nie miałam pojęcia, jak zdołam posadzić ją na skuterze, ale wolałam jej tego nie mówić.

— Przepraszam, Heleno — odezwała się, oddychając ciężko. Była biała jak ściana. — Muszę na chwileczkę usiąść.

Chciałam jej powiedzieć, że odpocznie sobie, gdy usiądzie na skuterze, że ojciec być może już jest w drodze powrotnej do domu, że każda minuta zwłoki może przesądzić o naszym losie, ale nie chciałam jej straszyć. Przysunęłam krzesło.

— Usiądź — powiedziałam. — Zaraz wracam.

Tak jakby mogła cokolwiek zrobić bez nas.

Cousteau, Calypso i ja staliśmy na werandzie, wpatrując się w podwórze. Nic nie wskazywało na wcześniejszy powrót ojca.

— Rozumiesz teraz? — zapytał Cousteau, gdy zeszliśmy po schodkach i ruszyliśmy do drewni. — Wiesz, co musisz zrobić? Książ się poświęcił, żeby ocalić Helgę.

— Musisz uratować siebie i matkę — dodała Calypso. — Łowca powiedziałby ci to, gdyby mógł.

Znieruchomieliśmy na progu. Smród w drewni był tak straszny, że kojarzył się z oddechem *wendigo*. Cuchnęło tu moczem i odchodami, śmiercią i rozkładem. Złamana ręka Łowcy była spuchnięta i czarna. T-shirt miał rozerwany, a na jego piersi zebrało się tyle zakrzepłej krwi i ropy, że nie mogłam już przeczytać słów napisanych przez ojca. Łowca miał zwieszoną głowę i zamknięte oczy, oddychał płytko i chrapliwie.

Weszłam do środka. Chciałam podziękować mu za to, co zrobił dla matki i dla mnie, za sprowadzenie skutera, abyśmy mogły opuścić mokradła, i za to, że dał mi możliwość zwrócenia matki jej rodzicom. A także za to, że powiedział mi prawdę o matce i ojcu.

Wypowiedziałam jego imię. Nie to, którym nazywał go ojciec, ale jego prawdziwe imię.

Nie odpowiedział.

Popatrzyłam na drzwi. Cousteau i Calypso pokiwali głowami. Calypso płakała.

Znów pomyślałam o tym wszystkim, co zrobi Łowcy mój ojciec, gdy wróci i odkryje, że matka i ja zniknęłyśmy. Wysunęłam nóż z pochwy.

Pamiętałam, żeby stać z boku.

Deszcz ustał. Zastanawiam się, jak wykorzystać ten fakt. Wiem, że to brzmi rozpaczliwie, ale jestem zrozpaczona. W ciągu ostatniej doby mój ojciec zabił czterech ludzi. Jeśli go nie powstrzymam, mój mąż będzie piątą.

Jesteśmy około kilometra od mojego domu. Tuż przed nami znajduje się rozlewisko przy bobrowej tamie, a dalej rozciąga się podmokła, trawiasta łąka, która graniczy z naszą ziemią, oddzielona od niej drucianą siatką otaczającą podwórze. Ta siatka miała strzec moją rodzinę przed drapieżnikami.

Idę przodem, ojciec celuje mi w plecy z magnum. Broń, którą zabrał zabitym strażnikom, wsunął za pasek dżinsów. Idę najwolniej jak potrafię, ale i tak za szybko. Już kilkanaście razy zastanawiałam się nad tym, co mogę zrobić. Trwało to jednak krótko, mam niewiele możliwości. Nie mogę iść złą drogą i odciągnąć ojca od domu, bo on doskonale wie, jak tam trafić. Nie zdołam go obezwładnić i odebrać mu jednego z pistoletów, bo skuł mnie kajdankami i jestem ranna w ramię.

Pozostaje tylko jedna opcja do wypróbowania. Jeleni szlak, którym idziemy, wiedzie wzdłuż skraju wysokiego urwiska. Na dole płynie potok biorący początek w bobrowym rozlewisku. Gdy znajdziemy się w okolicy, gdzie rośnie niewiele drzew, rzucę się w jego kierunku. Muszę tylko wybrać miejsce o odpowiednio stromym zboczu, żeby się stoczyć na sam dół. Kiedy ojciec zobaczy, że leżę bez ruchu w strumieniu, dojdzie do wniosku, że odniosłam zbyt duże obrażenia, aby się wspiąć z powrotem na górę lub że nie żyję, i pójdzie beze mnie.

Rzucenie się głową w dół i stoczenie po zboczu będzie bolało, i to jak. Jeśli jednak chcę zwieść ojca, upadek musi wyglądać przekonująco, poważnie i dramatycznie, a do tego wiązać się z autentycznym ryzykiem. Mogę naprawdę zginąć. Ojciec nie będzie podejrzewał podstępu, bo nie potrafi sobie wyobrazić, że ktoś poświęciłby się dla swojej rodziny.

To, że chcę, żeby ojciec poszedł sam do mojego domu, gdy będę udawała trupa, może się wydawać sprzeczne z intuicją, ale tylko tak zdołam się uwolnić. Ścieżka wydeptana przez jelenie okrąża szerokim łukiem podmokły teren za moim domem. Gdy tylko ojciec zniknie mi z oczu, przejdę przez potok, wdrapię się na zbocze po drugiej stronie, pokonam mokradła poniżej bobrowego rozlewiska i wyprzedzając ojca, wrócę na ścieżkę jeleni. Następnie zaczaję się i zrobię to, co konieczne. Nie chcę go krzywdzić, ale sam mnie do tego zmusił. Zmienił zasady naszej gry, kiedy mnie postrzelił. Teraz nie obowiązują już żadne reguły.

Jeśli zamiast zdążyć do mojego domu ojciec postanowi zejść z urwiska, aby wyciągnąć mnie z rzeki i zawlec z powrotem na górę, będę gotowa. Nie dam się prowadzić dalej jako jego więzień. Zarzucę mu ręce na szyję i uduszę go kajdankami albo wciągnę ze sobą do potoku i utonę razem z nim, jeśli tylko w taki sposób zdołam go powstrzymać.

Założę się jednak, że do tego nie dojdzie. Wiem, co myśli ojciec. Jego samouwielbienie zadziała na moją korzyść. Człowiek zakochany w sobie jest w stanie dostosowywać plany do zmieniających się okoliczności, ale nie potrafi zrezygnować z ostatecznego celu, który sobie postawił. Ojciec pragnie moich córek bardziej niż mnie. Opuszczając mokradła, wybrałam matkę, a jego odrzuciłam, co go rozczarowało. Jeśli uprowadzi moje córki, zyska jeszcze jedną szansę. Będzie mógł je ukształtować, przymusem uformować w nową, ulepszoną wersję córki, która go zdradziła. To wszystko oznacza, że ojciec chce dopaść moje córki ze mną lub beze mnie.

Taką mam nadzieję.

Potykam się, żeby przygotować swój występ. Padam na kolana i wyciągam przed siebie ręce w kajdankach, chcąc zamortyzować upadek, bo właśnie tak postąpiłaby osoba, która nie myśli trzeźwo. Ból przesywający moje ramię, gdy dłonie uderzają o ziemię, sprawia, że zachłystuję się powietrzem. Krzyczę, zwijam się i nieruchomieję. Mogłabym znieść to w milczeniu, gdybym musiała — ojciec dobrze mnie nauczył radzić sobie z bólem — ale ma myśleć, że osiągnęłam kres swoich możliwości i lada moment się załamie.

Kopie mnie w żebra i przetacza na plecy.

— Wstawaj — żąda.

Nie ruszam się.

— Wstawaj.

Chwyta mnie za kajdanki i dźwiga na nogi. Znowu krzyczę, ale tym razem nie udaję. Przypominam sobie wszystkie jego wcześniejsze okrucieństwa. Prawie zmiądzzył mi kciuk, żeby nauczyć mnie ostrożności. Torturował Łowcę bez żadnego powodu, tylko dlatego, że mógł. Gdy byłam malutka, zamykał mnie w drewnutni skutą kajdankami, bo męczyło go, że za nim chodzę albo zadaję pytania. Na pewno nie pozwolę, żeby ten człowiek zbliżył się do mojego męża lub córek.

— Idź.

Idę, przyglądając się szlakowi, w poszukiwaniu najlepszego miejsca do działania. Każde drzewo i skała przywołują wspomnienia. Błotnisty zakątek, w którym Iris zebrała bukiet drobnych wiosennych kwiatków. Miejsce, w którym Mari odwróciła kamień i znalazła tarichę. Występ skalny, na którym Stephen i ja wypiliśmy butelkę wina z okazji pierwszej rocznicy ślubu i patrzyliśmy, jak słońce zachodzi nad bobrowym rozlewiskiem.

Potykam się o korzeń drzewa. Dwa razy wystarczą do przygotowania gruntu. Jeśli zrobię to ponownie, ojciec nabierze podejrzeń.

Przerwa między drzewami wygląda obiecująco. Zbocze jest bardziej strome, niż tego bym sobie życzyła, od podnóża dzieli mnie ponad trzydzieści metrów, a kąt nachylenia sięga sześćdziesięciu stopni, lecz rosną tu paprocie orlice, a nie sosny wirginijskie. Raczej nie znajdę niczego lepszego.

Udaję, że się o coś potykam, po czym zataczam się w kierunku krawędzi zbocza, jakbym usiłowała uniknąć upadku. Następnie rzucam się w dół, i to głową naprzód. Kto przy zdrowych zmysłach celowo zrobiłby coś takiego?

Uderzam rannym ramieniem o ziemię. Przygryzam wargę. Staczając się, rozluźniam ręce i nogi.

Dotarcie do podnóża zbocza zajmuje mi więcej czasu, niż zakładałam. W końcu gwałtownie zderzam się ze stertą gałęzi naniesionych przez prąd i nieruchomieję z twarzą oddaloną zaledwie kilka centymetrów od wody. Próbuję nie myśleć o tym, jak bardzo mnie boli, i nadstawiam uszu, czy nie zbliża się ojciec. Staram się pamiętać, że robię to dla rodziny.

Wokół panuje cisza. Gdy przecucie podpowiada mi, że czekałam już dostatecznie długo, ostrożnie unoszę głowę i spoglądam na szczyt urwiska.

Mój plan się powiódł. Ojca nie ma.

Próbuję usiąść i jęczę z bólu, który przeszywa mi ramię. Opadam z powrotem, zamykam oczy. Staram się oddychać i ponownie usiąść, ale powoli. Rozpinam kurtkę i zsuwam ją z rannego ramienia. Na szczęście wygląda na to, że kula ojca tylko drasnęła skórę. Na nieszczęście straciłam mnóstwo krwi.

— Wszystko w porządku?

Calypso siedzi nad potokiem, u boku brata. Wyglądają dokładnie tak samo, jak zapamiętałam. Cousteau wciąż ma na głowie czerwoną czapkę, a oczy Calypso są błękitne jak słoneczny dzień. Oboje noszą trapery, ogrodniczki i flanelowe koszule. Uświadamiam sobie, że kiedy ich stworzyłam, nie znałam żadnej innej odzieży. Przypominam sobie, jak wymyślałam historie o naszych przygodach.

Cousteau wstaje i wyciąga rękę.

— Chodź, musisz się pośpieszyć. Twój ojciec się oddala.

— Dasz radę — dodaje Calypso. — Pomożemy ci.

Dźwigam się na nogi i rozglądam. Potok nie jest szeroki, ma najwyżej sześć metrów, ale sądząc po nachyleniu zboczy po obu stronach, pośrodku jest głęboki. Woda może sięgać mi powyżej głowy. Gdyby nie kajdanki, przepłynęłabym go bez trudu, ale teraz nie mogę nawet balansować rękami, żeby utrzymać równowagę. „Helena tonie, bo nie umie pływać w kajdankach”. To nie jest historia, której bohaterką chciałabym być.

— Tędy — mówi Cousteau.

Prowadzi mnie w dół strumienia, do zwalonego cedru, który spina brzegi. To dobry pomysł. Wchodzę do wody przy pniu, od górnej strony strumienia, opierając się o drzewo, żeby nie dać się zmyć silnemu prądowi. Dno usłane jest połamanymi, śliskimi gałęziami i opadłymi liśćmi. Idę bez pośpiechu, ostrożnie stawiam stopy. Kłoda się chwieje, gdy jej dotykam. Staram się nie myśleć o tym, co będzie, jeśli się obluzuje i odpłynie.

Znów nawiedza mnie wspomnienie. Ojciec i ja siedzieliśmy w jego kanoe. Byłam bardzo mała, miałam może dwa lub trzy lata. Gdy minęliśmy jeden z zakrętów na rzece, wychyliłam się za burtę, żeby sięgnąć po liść, gałązkę albo coś innego, co przykuło moją uwagę, i wypadłam. Otworzyłam usta do krzyku i opiłam się wody. Pamiętam, jak patrzyłam w górę i widziałam promienie słoneczne załamujące się w wodzie nad moją głową. Instynktownie wierzgałam z zaciśniętymi ustami, chociaż miałam wrażenie, że zaraz pękną mi płuca.

Wtedy ojciec chwycił mnie za kurtkę, wyciągnął i wsadził do kanoe, a potem szybko powiosłował do piaszczystej łachy. Gdy łódka zaczęła szorować o brzeg, wyskoczył, wyciągnął ją na piach. Szybko mnie rozebrał i zdjął z siebie koszulę, żeby rozetrzeć moje ciało. Gdy przestałam szcząkać

zębami, wyjął moje ubranie, rozłożył je na piasku, po czym trzymał mnie na kolanach i opowiadał historie, aż odzież wyschła.

Teraz jestem zdana na siebie.

Idę dalej, jeden ostrożny krok za drugim, aż w końcu udaje mi się dotrzeć na drugi brzeg. Kiedy wychodzę z wody i się rozglądam, zbocze piętrzące się nad moją głową wygląda równie onieśmielająco jak Mount Everest. Zaczynam się wspinać, poruszając się bokiem i pnąc w górę po luźnych wapieniach tworzących rumowisko. Gdy muszę odpocząć, uczepiam się pieńka albo gałęzi, pokonuję wyczerpanie i ból, zmuszam ciało do funkcjonowania niezależnie od mózgu. Pragnę znaleźć się w transie, takim jaki osiągnają maratończycy, którzy nie przestają biec, choć ich ciała błagają o chwilę wytchnienia.

Cousteau i Calypso przez cały czas skaczą przede mną jak małpki.

— Dasz sobie radę — ponaglają mnie, gdy już chcę zrezygnować.

W końcu docieram na szczyt, robię ostatni krok i padam na plecy, ciężko dysząc. Uspokajam oddech i wstaję. Rozglądam się, oczekując, że Cousteau i Calypso pogratulują mi nadludzkiego wysiłku, ale jestem sama.



## CHATA

*Helga zatrzymała się przy ciele duchownego i przy swoim zabitym wierzchowcu. Myślała o żonie wikinga nad bagnem Vildmose, o łagodnych oczach przybranej matki, o łzach, które wypłakała nad biednym żabim dzieckiem.*

*Patrzyła na świecące gwiazdy i wspominała blask płynący z czoła zmarłego, gdy lecieli nad lasem i nad wrzosowiskiem.*

*Mówi się przecież, że kropla drąży twarde kamień, że morskie fale z czasem wygładzają ostre brzegi oberwanych skał; rosa łaski, która spłynęła na Helgę, drążyła twardość, wygładzała ostrość; nie było to co prawda widoczne, ani też ona sama o tym nie wiedziała, bo czy kielki w ziemi wiedzą, że orzeźwiająca wilgoć i ciepłe promienie słońca sprawią, że będą rosły i kwitły?*

H.Ch. Andersen  
*Córka króla moczarów*

Wyszłam z drewnutni i ruszyłam do chaty. Trzęsły mi się ręce. Nie chciałam zostawiać martwego Łowcy przypiętego kajdankami do słupa. Zwłoki należy umyć, ładnie ubrać, owinąć korą brzożową i pochować w płytkim grobie w lesie. Duchowny albo szaman powinni porozmawiać ze zmarłym, żeby ułatwić mu przejście z tego świata do następnego, i podarować duchom tytoń.

Miałam nadzieję, że ojciec zadba o Łowcę zgodnie z indiańską tradycją i nie wrzuci jego zwłok do dołu na odpadki.

— Benzyna — odezwał się Cousteau. — Musisz dodać benzyny do skutera, żeby jej nie zabrakło.

— Ma rację — przytaknęła Calypso. — Nie wiesz, jak długo jechał Łowca, zanim tu dotarł. Bak może być prawie pusty.

Powinnam sama o tym pomyśleć, ale wszystko rozgrywało się tak szybko, że trudno było się połapać, co robić. Cieszyło mnie, że Cousteau i Calypso mi pomagają. Przeprowadziłam skuter do naszego zasilanego grawitacyjnie zbiornika na paliwo. Ojciec sprawdzał, ile benzyny zużywamy — w tym celu wsuwał długi kij przez otwór na górze zbiornika i rysował kreskę od zewnątrz, żeby było wiadomo, jak dużo jeszcze nam zostało. Wiedziałam, że się nie ucieszy, widząc, ile zabrałam bez pytania.

— Myślisz, że to ten właściwy rodzaj? — Powinnam była spytać o to Łowcę, kiedy jeszcze mogłam.

— Skuter hałasuje tak samo jak piła łańcuchowa — odparł Cousteau. — Użyj mieszanki do piły.

Ojciec przygotowywał paliwo do piły, mieszając olej z benzyną w proporcjach pół litra na każde siedem i pół. Nalałam więc oleju do dużego kanistra z czerwonej blachy, a następnie napełniłam go do końca benzyną z cysterny. Potem wlałam do baku tyle mieszanki, ile się zmieściło.

— Napełnij kanister jeszcze raz — poradziła mi Calypso. — I przywiąż go z tyłu skutera, na wszelki wypadek. Nigdy nie wiadomo.

Pobiegłam do szopy po linkę, wróciłam, przywiązałam kanister i przeprowadziłam skuter prawie pod same schodki za domem. Cousteau i Calypso zaczęli na werandzie, a ja weszłam do środka. Matka nadal siedziała przy stole, opierając głowę na ramieniu, z zamkniętymi oczami. Włosy miała potargane i mokre. Najpierw pomyślałam, że nie żyje, ale uniosła

głowę. Zmarszczyła czoło z bólu, blada jak papier. Próbowała wstać, zachwiała się i usiadła z powrotem. Zaprowadzenie jej do skutera będzie trudniejsze, niż zakładałam.

Przerzuciłam jej zdrową rękę przez swoje ramię, przytrzymałam ją za nadgarstek, a następnie objęłam matkę lewą ręką w talii i podniosłam. Pozycja słońca podpowiadała mi, że dochodzi południe. O tej porze roku zmrok zapadał, nim zdążyliśmy zjeść kolację. Miałam nadzieję, że sześć godzin nam wystarczy.

Rozejrzałam się po raz ostatni po naszej kuchni. Popatrzyłam na stół, piecyk i suszącą się nad nim bieliznę ojca. Zerknęłam na bieliźniarkę, w której trzymaliśmy naczynia, na półki zastawione dżemem. Pomyślałam, że powinnam spakować trochę jedzenia do plecaka, ale Cousteau i Calypso pokręcili głowami.

Ruszyłam po schodkach. Bałam się, że matka upadnie i nie zdołam jej podnieść, więc Cousteau i Calypso stanęli po bokach, aby w razie czego ją podtrzymać. Zanim dotarliśmy do skutera, minęły wieki, a gdy już siedziała, obiegłam pojazd i przełożyłam jej nogę na drugą stronę.

— Myślisz, że powinnam ją przywiązać?

Matka tak się chwiała, jakby miała za chwilę spaść.

— Nie zaszkodzi — oceniła Calypso.

— Ale się pośpiesz — dodał Cousteau.

A przecież i tak robiłam wszystko najszybciej jak mogłam.

Znów pobiegłam do szopy po linkę, wróciłam, opasałam nią matkę w talii i przywiązałam obie końcówki do kierownicy. Włożyłam należący do Łowcy kask, ale był bardzo ciężki i mało co widziałam przez ciemną szybkę. Zdjęłam kask i wsadziłam go na głowę matki, a potem podeszłam do schowka z tyłu skutera i znalazłam zapasowy kluczyk. Łowca powiedział, że skuter ma coś, co się nazywa elektryczny rozruch, więc wystarczy przekręcić kluczyk. Dodał, że

jeśli silnik nie zaskoczy od razu, co jest możliwe, bo skuter stał nieużywany przez kilka dni, a było bardzo zimno, powinnam szybko przekręcić kluczyk w drugą stronę, żeby nie spalić rozrusznika. Kazał mi potem powtarzać tę czynność tak długo, aż silnik się uruchomi. Miałam nadzieję, że to nie jest tak skomplikowane, jak mi się wydawało.

Wsunęłam się między matkę a kanister, po czym wyciągnęłam ręce i zacisnęłam dłonie na kierownicy. Po dwóch próbach silnik obudził się do życia. Przechyliłam się na bok, żeby coś widzieć zza matki, zwolniłam hamulec i dodałam gazu. Skuter wyrwał do przodu. Zredukowałam gaz i maszyna zwolniła, tak jak to opisał Łowca. Znowu dodałam gazu i skuter ponownie skoczył naprzód. Objechałam powoli podwórze, żeby się oswoić z pojazdem, a potem nieśpiesznie ruszyłam po śladach, które Łowca zostawił na zboczu naszego wzniesienia.

— Wszystko w porządku? — krzyknęłam, wjeżdżając na mokradła.

Matka nie odpowiedziała. Nie byłam pewna, czy mnie nie usłyszała spod kasku, czy też zagłuszał mnie silnik. Mogła nie reagować z jeszcze jednego powodu, ale wolałam nie brać go pod uwagę.

Dodałam tyle gazu, ile się dało. Wiatr szczypał mnie w policzki i targał mi włosy. Niezwykły pęd sprawił, że miałam ochotę krzyknąć. Obejrzałam się przez ramię. Rambo bez trudu dotrzymywał nam kroku. Wskaźnik, który według Łowcy miał mnie informować o prędkości, dotarł do dwudziestu kilometrów na godzinę. Nie miałam pojęcia, że Rambo potrafi biec tak szybko.

W drodze rozmyślałam o swoich dziadkach. Zastanawiałam się, jacy będą. Łowca powiedział, że nigdy nie przestali szukać matki i że bardzo się ucieszą na jej widok. Byłam ciekawa, czy ich polubię i co o mnie pomyślą. Myślałam, jak to będzie udać się z nimi na przejażdżkę, jeśli mają samochód, i czy pewnego dnia wybierzemy się gdzieś pociągiem, autobusem albo samolotem. Zawsze chciałam odwiedzić Yanomami w Brazylii.

Nagle coś świsnęło mi nad uchem i w tym samym momencie ostry huk wystrzału poniósł się echem po mokradłach.

— Helena! — krzyknął ojciec. W jego ostrym głosie brzmiała taka wściekłość, że nie zagłuszał go hałas silnika. — Wracaj tu natychmiast!

Zwolniłam. Teraz wiem, że powinnam była dodać gazu i nie oglądać się za siebie, ale miałam zwyczaj wypełniać polecenia ojca.

— Jedź — odezwała się nagle rozbudzona matka. — Prędko! Nie zatrzymuj się!

Zatrzymałam się i odwróciłam. Sylwetka ojca była wyraźnie widoczna na szczycie naszego wzniesienia. Stał z nogami rozstawionymi szeroko jak olbrzym i strzelbą gotową do strzału. Długie czarne włosy fruwały mu wokół głowy jak węże Meduzy. Celował we mnie.

Strzelił raz jeszcze, znowu ostrzegawczo, bo gdyby chciał mnie trafić, na pewno by nie spudłował. Wtedy uświadomiłam sobie, że niepotrzebnie się zatrzymałam, ale nie mogłam wrócić. Gdybym to zrobiła, ojciec niewątpliwie zabiłby matkę, mnie zapewne też. Gdybym jednak nie posłuchała go i postanowiła odjechać, kula trafiłaby mnie w plecy i przeszła również matkę.

Ojciec strzelił po raz trzeci, Rambo zaskowytał. Zeskoczyłam ze skutera i pobiegłam do miejsca, w którym Rambo się przewrócił i wpadł w śnieg. Przesunęłam dłońmi po jego głowie, bokach, klatce piersiowej. Okazało się, że ojciec postrzelił mojego pięknego psa w łapę.

Znowu rozległ się strzał. Matka krzyknęła i z kulą w ramieniu osunęła się na kierownicę.

W remingtonie mieściły się cztery naboje i jeden w komorze. Ojcu pozostał jeszcze jeden strzał przed ponownym załadowaniem broni.

Wstałam, czując, jak łzy spływają mi po twarzy. Ojciec nienawidził mojego płaczu, ale nic mnie to nie obchodziło.

Zamiast jednak ze mnie kpić, na co byłam przygotowana, ojciec się uśmiechnął. Do dziś pamiętam wyraz jego twarzy — triumfalny, lodowaty i nieczuły. Ojciec był przekonany, że zwyciężył. Wycelował we mnie, potem w Rambo, potem znowu we mnie i raz jeszcze w Rambo. Bawił się ze mną tak, jak z moją matką i z Łowcą. Wtedy uświadomiłam sobie, że nie ma znaczenia, które z nas zastrzeli najpierw. Tak czy inaczej, zamierzał pozabijać nas wszystkich.

Opadłam na kolana. Wzięłam Rambo w ramiona, wtuliłam twarz w jego sierść, czekając, aż kula zakończy moje życie.

Rambo zadrżał, warknął i wyrwał się z moich objęć. Z trudem stanął na trzech łapach i kuśtykając, ruszył ku ojcu. Gwizdnęłam, żeby wrócił, ale szedł dalej. Ojciec się roześmiał.

Zerwałam się na równe nogi i szeroko rozłożyłam ręce.

— Ty skurwielu! — wrzasnęłam. Nie miałam pojęcia, co to słowo oznacza, ale ojciec wyciął je na piersi Łowcy, więc wiedziałam, że jest brzydkie. — Ty palancie! Ty sukinsynu! — Wyrzucałam z siebie wszystkie zapamiętane słowa. — Na co czekasz? *Zastrzel mnie!*

Ojciec znów się roześmiał. Wycelował strzelbę w mojego cierpiącego psa, który kuśtykał ku niemu. Rambo obnażył zęby, warknął i przyśpieszył kroku. Niemal biegł ku ojcu, ujadając, jakby przypuszczał atak na wilka albo niedźwiedzia.

Zrozumiałam — pies odwracał uwagę ojca, żebym mogła uciec. Chciał mnie ocalić lub zginąć podczas próby ratunku.

Pobiegłam do skutera, wskoczyłam na niego, otoczyłam matkę ramionami i dodałam gazu. Nie wiedziałam, czy matka żyje, czy uciekniemy, czy ojciec zastrzeli nas obie, ale tak jak Rambo musiałam spróbować.

Gdy pędziłyśmy przez zamarznięte mokradła, wiatr osuszył moje łzy. Gdzieś z tyłu rozległ się następny wystrzał.

Rambo zaskowytał i umilkł.

Wystrzał rozbrzmiewał w mojej głowie jeszcze długo po tym, jak ucichło echo. Jechałam najszybciej jak się odważyłam, oślepiona przez łyzy, z gardłem tak ściśniętym, że z trudem przechodziło przez nie powietrze. Przed oczami miałam wyłącznie Rambo, leżącego w śniegu u stóp mojego ojca. Cousteau i Calypso, Łowca i matka się nie mylili, ojciec był złym człowiekiem. Bez powodu strzelał do mojego psa. Wolałabym, żeby strzelał do mnie. Żałowałam, że nie zaczekałam dłużej po jego wyjściu na mokradła. Powinnam była później uruchomić skuter, jechać szybciej i się nie zatrzymywać. Gdybym postąpiła inaczej, mój pies by żył, a ojciec nie postrzeliłby matki.

Od tamtego czasu nie poruszyła się ani nie odezwała. Wiedziałam, że żyje, bo jej ciało było ciepłe, ale nie miałam pojęcia, czy wkrótce nie umrze. Mogłam tylko jechać przed siebie, jak najdalej od mokradeł i od ojca.

Nie wiedziałam jednak, ku czemu zmierzam.

Jechałam śladem pozostawionym przez Łowcę, bo tak mi kazał. Najbardziej pragnęłam odnaleźć Cousteau i Calypso, ale prawdziwych, nie tych, których wymyśliłam po zobaczeniu tamtej rodziny. Wiedziałam, że mieszkają gdzieś niedaleko, i byłam pewna, że ich rodzice nam pomogą.

Już dawno temu opuściliśmy mokradła i teraz prowadziłam skuter wśród drzew — tych samych, do których pragnęłam dotrzeć, gdy spoglądałam z utęsknieniem ku horyzontowi. Zrobiło się bardzo ciemno. Żałowałam, że Łowca nie wyjaśnił mi, jak się włącza reflektor skutera, choć może to zrobił, ale ja zapomniałam. Było tyle informacji do zapamiętania: *Dodawaj dużo gazu, kiedy pokonujesz głęboki śnieg. Jeśli skuter znosi w prawo, przesun ciężar ciała w lewo. Jeżeli znosi w lewo, odchyl się całym ciałem w prawo. Jadąc pod górę, pochyl się do przodu, przesuwając ciężar ciała tak, żeby skuter nie przekoziółkował do tyłu. Możesz także jechać z kolanem jednej nogi na siedzeniu, a stopą drugiej na bocznym wsporniku. Odchyl się do*

tyłu, zjeżdżając po zboczu. Pochylaj się i przesuwał ciężar ciała na zakrętach. I tak dalej.

Skuter był bardzo ciężki, a jazda nim okazała się trudniejsza, niż to opisywał Łowca. Powiedział, że tam, skąd pochodzi, nawet dzieci prowadzą takie pojazdy — jeśli to była prawda, fińskie dzieci musiały być bardzo silne. Raz zjechałam ze szlaku i maszyna utknęła. Dwa razy niemal się przewróciliśmy.

Czułam ogromny lęk, ale nie przed lasem czy ciemnością, bo do nich przywykłam. Bałam się nieznanego, wszystkich złych rzeczy, które mogą się zdarzyć. Obawiałam się, że skończy się nam paliwo i będziemy zmuszone spędzić noc w lesie, bez jedzenia i dachu nad głową. Bałam się, że wjadę w drzewo i zniszczę silnik albo że się zgubię i znajdziemy się w tak samo beznadziejnej sytuacji jak Łowca.

Bałam się, że matka umrze.

Jechałam bardzo długo i w końcu szlak się skończył. Zjechawszy ze stromego wzgórza, zatrzymałam skuter pośrodku podłużnej, wąskiej polany. Popatrzyłam w lewo i w prawo. Nic. Nie było ani ludzi, ani miasta o nazwie Newberry, ani dziadków szukających mojej matki, jak zaręczał Łowca.

Przez całą długość polanki biegły cztery koleiny, dwie z jednej strony i dwie z drugiej. Nie wiedziałam, które to ślady Łowcy, i martwiłam się, co będzie, jeśli pojedę w niewłaściwą stronę. Pomyślałam wtedy o zgadywankach, w które bawiłam się z ojcem. Zawsze miałam dwie możliwości do wyboru. Może teraz było wszystko jedno, którą drogę wybiorę, a może nie.

Spojrzałam w niebo. *Proszę. Pomocy. Zgubiłam się. Nie wiem, co robić.*

Zamknęłam oczy i modliłam się tak żarliwie, jak nigdy dotąd. Gdy je otworzyłam, ujrzałam w oddali żółte światło, blisko ziemi i bardzo jasne. Reflektor skutera.



— Dziękuję — wyszeptałam.

Czasami zastanawiałam się, czy bogowie w ogóle istnieją, na przykład wtedy, gdy ojciec wrzucił mnie do studni, a oni milczeli, albo kiedy niedawno zabił moją matkę oraz Łowcę, a oni nie interweniowali. Teraz wiedziałam już, że są prawdziwi. Obiecałam, że nigdy więcej nie zwątpię.

Gdy skuter się zbliżył, światełko podzieliło się na dwa. Nagle usłyszałam okropne trąbienie, podobne do gęgania gęsi, tylko głośniejsze — jakby odezwało się całe stado rozwścieczonych ptaków.

Zamknęłam oczy i zasłoniłam uszy rękami. Gdy w końcu trąbienie ustało, rozległo się szcęknięcie i trzask, jakby ktoś otwierał i zamykał drzwi. Potem usłyszałam głosy.

— Nie widziałem ich! — krzyknął jakiś mężczyzna. — Przysięgam! Tkwiły pośrodku drogi, zupełnie bez świateł!

— Mogłeś je zabić! — krzyknęła kobieta.

— Mówię ci, że ich nie widziałem. Co tu robicie? — wrzasnął do mnie. — Dlaczego się zatrzymaliście?

Otworzyłam oczy i uśmiechnęłam się szeroko. Mężczyzna i kobieta. Rodzice Cousteau i Calypso. Odnalazłam ich.

Kiedy policja podążyła śladem skutera, żeby uwolnić Łowcę, ojciec zdążył już zniknąć. Łowca nadal zwisał na kajdankach w drewnitni. Wszyscy uznali, że to ojciec go zabił, bo niby co mieli sobie pomyśleć? Nikomu nie przyszło do głowy, że zrobiła to dwunastolatka. Skoro szukali porywacza i gwałciciela, równie dobrze mogli go oskarżyć jeszcze o morderstwo.

Gdy założono, że ojciec zabił Łowcę, nie oponowałam. Mogłam nie znać się na sprawach zewnętrznego świata, ale rozumiałam dostatecznie dużo, aby wiedzieć, że przyznanie się do zamordowania Łowcy niczego nie zmieni, za to zrujnuje mi życie. Ojciec był złym człowiekiem i miał trafić do więzienia na bardzo długie lata. Wszyscy tak mówili. Ja miałam przed sobą całe życie,

ojciec zmarnował swoje na własne życzenie.

Mimo to mogę zaręczyć, że zapłaciłam za swoją zbrodnię. Zabójstwo zmienia człowieka. Nieważne, ile zwierząt się zastrzeliło, złapało we wnyki, usidliło, obdarło ze skóry, wypatroszyło i zjadło. Zabicie człowieka to co innego. Gdy odebrało się życie innej istocie ludzkiej, nigdy nie jest się takim, jak przedtem. Łowca w jednej chwili żył, a w następnej już nie. Poniósł śmierć z mojej ręki. Myślę o tym za każdym razem, gdy czeszę włosy Iris, zapinam pasy Mari w foteliku samochodowym, mieszam dżem na piecu albo przesuwam dłońmi po piersi męża. Patrzę na swoje dłonie, kiedy wykonuję te zwyczajne, codzienne czynności i myślę: *Oto ręce, które to zrobiły. Te ręce odebrały życie drugiemu człowiekowi.* Nienawidzę ojca za to, że przez niego musiałam dokonać tego wyboru.

Nadal nie rozumiem, jak ojciec może zabijać tak łatwo i bez wyrzutów sumienia. Codziennie myślę o Łowcy. Miał żonę i troje dzieci. Gdy patrzę na swoje córki, myślę o tym, co by było, gdyby musiały dorastać bez ojca. Po opuszczeniu mokradeł chciałam powiedzieć wdowie po Łowcy, że bardzo mi przykro z powodu tego, co przydarzyło się jej mężowi, i że jestem mu wdzięczna za to, jak bardzo się poświęcił dla mojej matki i mnie. Myślałam, że powiem jej to, gdy zobaczę ją w sądzie w dniu skazania ojca, ale dziadkowie mi nie pozwolili, bo wcześniej złożyła przeciwko nim pozew, domagając się części pieniędzy, które zarabiali na sprzedawaniu naszej historii tabloidom. W ostatecznym rozrachunku otrzymała sporą sumę tytułem ugody, dzięki czemu poczułam się lepiej. Chociaż, jak narzekali dziadkowie, żadne pieniądze na świecie nie mogły zwrócić życia jej mężowi.

Ani mojemu psu. Czasem płaczę — jak już pewnie wiecie, rzadko to robię — gdy myślę o Rambo. Nigdy nie wybaczę ojcu, że go zastrzelił. Więcej razy, niż zdołam policzyć, odtwarzałam w głowie zdarzenia, które doprowadziły do tamtego dnia. Zastanawiałam się przy tym, w którym momencie zrobiłabym coś

inaczej, gdybym wiedziała, jak to wszystko się skończy. Najbardziej oczywista jest chwila, w której Łowca poprosił mnie o pomoc następnego ranka po tym, jak ojciec skuł go kajdankami w drewnutni. Zapewne żyłby teraz, gdybym go posłuchała, zanim zupełnie stracił siły po torturach.

Śmierć Łowcy nie jest jednak moją winą. Znalazł się w złym miejscu o niewłaściwym czasie, tak jak ktoś, kto ginie w wypadku drogowym, strzelaninie czy w samobójczym zamachu bombowym. To Łowca postanowił jeździć na skuterze po pijaku, nie ja. To on się zgubił i podjął serię decyzji, które doprowadziły go na nasze wzniesienie. Skręcił w lewo zamiast w prawo, ominął taki zagajnik, a nie inny, a gdy dostrzegł dym z komina, wjechał na nasze podwórze, żeby prosić o pomoc. Ruszając na szlak po popijawie z kumplami, nie miał pojęcia, że przyplaci życiem swoją decyzję. Jednak to on ją podjął.

Podobnie rzecz się miała, kiedy matka i jej przyjaciółka postanowiły pobawić się w opuszczonym domu przy torach. Biegając po pustych pokojach, z pewnością nie sądziły, że koniec końców, minie ponad czternaście lat, zanim moja matka ponownie zobaczy się z rodziną. Gdyby o tym wiedziały, poszłyby się bawić gdzie indziej. Ale nie poszły.

Na tej samej zasadzie mój ojciec raczej nie miał pojęcia, że prowadząc mnie nad wodospad na rzece Tahquamenon, uruchamia ciąg zdarzeń, które w ostatecznym rozrachunku pozbawią go rodziny. A gdy ja postanowiłam opuścić mokradła, nie wiedziałam, jak źle wszystko się ułoży. Naprawdę sądziłam, że najzwyczajniej w świecie odjedziemy, a tymczasem ojciec postrzelił moją matkę i zabił mi psa. Gdy wyruszałam w nieznane, przez myśl mi nie przeszło, że Rambo skończy martwy w śniegu u stóp mojego ojca.

Czy postąpiłabym inaczej, wiedząc to wszystko zawczasu? Oczywiście. Ale trzeba przyjąć odpowiedzialność za swoje decyzje, nawet jeśli nie kończą się oczekiwanym rezultatem.

Wypadki chodzą po ludziach. Dotykają ich katastrofy lotnicze, wykolejenia pociągów, śmiertelnie niebezpieczne powodzie, trzęsienia ziemi i trąby powietrzne. Kierowcy skuterów się gubią, psy giną od kul, a młode dziewczyny padają ofiarą porywaczy.

Ruszam biegiem. Sucha ziemia ustępuje pola grząskiemu gruntowi, który z kolei zmienia się w mokradła. Osłaniam oczy przed deszczem i przyglądam się przeciwnej stronie rozlewiska. Ani śladu ojca. Nie sposób stwierdzić, czy udało mi się go wyprzedzić, czy już jest w moim domu.

Skęcąc na zachód, na mokradła, i kieruję się ku gąszczowi olszy szarych, nieopodal końca szlaku, tam, gdzie zbierają się jelenie. Poruszam się szybko, skaczę z jednego trawiastego wzgórek na drugi i trzymam się skrawków ziemi pokrytych suchym torfem, wystarczająco mocnym, żeby nie zapadły się pod moim ciężarem. Człowiek, który nie zna mokradeł tak dobrze jak ja, nie byłby w stanie dostrzec zagrożeń, z mojego punktu widzenia równie oczywistych jak znaki drogowe. Zwracam uwagę na obszary pokryte warstwą drobnego mułu, który wydaje się twardy jak suchy grunt, ale zapada się pod stopami jak lotne piaski. Omijam głębokie sadzawki, bo mogą w ułamku sekundy pochłonać człowieka. Grząskie trzęsawisko zamknęło się nad księżniczką. „Na powierzchni pojawiły się tylko wielkie, czarne bąble powietrza”, głosiła baśń mojej matki. „Potem nie było już nic”.

Kiedy docieram do olszyny, padam na brzuch i czołgam się przez resztę drogi, pomagając sobie stopami i jednym łokciem. Ziemia jest mokra, błoto pokryte tropami, ale żaden z nich nie wydaje się świeży i żadnego nie pozostawił człowiek. Możliwe, że ojciec zszedł ze szlaku, kiedy zrobiło się grząsko, i ruszył na przełaj. Niewykluczone, że jest już w moim domu, że wślizguje się tylnymi drzwiami — nigdy nie zamykamy się na klucz — skrada się korytarzem, zmusza Stephena, żeby dał mu kluczyki do cherokee, bo chce

pojechać po nasze córki. I że strzela do mojego męża, kładąc go trupem za to, że Stephen nie wyjawia, gdzie są ukryte dziewczynki.

Wzdrygam się, odpycham od siebie tę wizję i kładę się w najbardziej błotnistym miejscu, jakie zdołam znaleźć. Tarzam się, dopóki nie pokryję błotem każdego centymetra mojego ciała, po czym brodzę w wodzie po kolana równoległe do szlaku, żeby nie pozostawić śladów, i szukam najlepszego miejsca na zasadzkę.

Porośnięty mchem zwalony pień leżący w poprzek ścieżki wygląda na dostatecznie duży, żeby się za nim ukryć. Drzewo zapada się pośrodku, co oznacza, że jest w większości spróchniałe. Ojciec na pewno nie wejdzie na przegniłą kłodę, spróbuje ją przeskoczyć, a wtedy będę gotowa.

Odlamuję ostrą sosnową gałąź i układam się po drugiej stronie pnia, z uchem przy ziemi i prowizoryczną włócznią u boku. Wyczuwam kroki ojca, nim jeszcze je usłyszę: lekkie wibracje w podmokłej ziemi pod ścieżką. Wstrząsy są tak delikatne, że ktoś inny mógłby je uznać za bicie swojego serca, gdyby w ogóle cokolwiek wyczuł. Przytulam się do kłody i zaciskam dłonie na włóczni.

Kroki ustają. Czekam. Jeśli ojciec podejrzewa, że zastawiłam na niego pułapkę, zawróci i zostawi mnie w błocie albo przechyli się przez kłodę i mnie zastrzeli. Wstrzymuję oddech i po chwili znowu wyczuwam kroki. Nie potrafię powiedzieć, czy się przybliżają, czy oddalają.

W następnej chwili but mocno uderza mnie w ramię. Turlam się i zrywam na nogi, po czym ruszam naprzód, a nacierając, celuję prowizoryczną włócznią w brzuch ojca.

Włócznia pęka.

Ojciec wyrywa mi z rąk pozostałości bezużytecznej broni, odrzuca je na bok i celuje we mnie z mojego magnum. Rzucam się na nogi ojca, a on się chwieje i rozkłada ręce, żeby nie stracić równowagi. Magnum upada. Usiłuję chwycić

rewolwer, ale ojciec wkopuje go do wody i przydeptuje mi skute kajdankami dłonie. Nie waham się. Chwytam za but ojca i unoszę jego nogę wysoko. Ojciec pada obok mnie, tarzamy się, siłujemy. Przekładam ręce nad jego głową w taki sposób, żeby łańcuch kajdanek zacisnął mu się na szyi. Ciągnę najmocniej jak zdołam, a wtedy zadyszany ojciec wyszarpuje mój nóż z pochwy, którą ma przytwierdzoną do pasa, i kierując ostrze za siebie, na oślep usiłuje skaleczyć lub przeszyć mi ręce, nogi, nerki, twarz.

Ciągnę mocniej. Glocki z tyłu spodni mojego ojca wciskają mi się w brzuch. Gdybym mogła sięgnąć po jeden z nich, w okamgnieniu doprowadziłabym walkę do końca, ale nie mogę tego zrobić z rękami na wysokości szyi ojca. Jednocześnie on również nie może złapać za glocka i mnie wykończyć, bo przyciskam się do niego od tyłu i duszę go kajdankami. Utknęliśmy w klinczu niczym para łosi szepionych rogami. Wyobrażam sobie swoją rodzinę, jak wędruje tym szlakiem za ileś dni lub tygodni i znajduje nasze rozkładające się ciała, zastygłe w ostatnim uścisku. Ciągnę mocniej.

Słyszę szczeknięcie psa. Rambo biegnie ścieżką od strony domu, mocno pracuje łapami, jego uszy łopoczą.

— Bierz go! — krzyczę.

Rambo podbiega i zaciska szczęki na nodze ojca, ciągnie i warczy. Ojciec ryczy i przeszywa psa nożem.

Rambo gryzie go jeszcze mocniej, szarpie, rozdziera, rozrywa. Ojciec wrzeszczy, zatacza się, a ja wraz z nim. Gdy po chwili leży na brzuchu, z powrotem przekładam ręce nad jego głową, łapię jeden z glocków i przyciskam go do pleców ojca.

— Trzymaj! — rozkazuję psu.

Rambo zamiera, ale nie puszcza nogi ojca. Już nie jest zwierzęciem rozdzierającym ofiarę, stał się sługą posłusznym swojemu panu. Potrzeba wyjątkowej rasy i długiej tresury, żeby pies znieruchomiał w bitewnym zapale.

Widywałam zwykle psy tak ogarnięte żądzą krwi, że atakując łosie lub niedźwiedzie, doszczętnie niszczyły ich skórę.

Ojciec się nie rusza, kiedy na nim przyklękam. Dobrze wie, że nie wolno mu nawet drgnąć.

— Nóż — mówię.

Wrzuca mój nóż do sadzawki przy ścieżce.

Zrywam się na równe nogi.

— Wstawaj.

Ojciec wstaje, unosi ręce nad głowę i odwraca się do mnie.

— Siadaj. — Wskazuję zwalone drzewo.

Robi, co mu każę. Poczucie klęski widoczne na jego twarzy jest niemal warte tego, przez co przeszłam. Nie próbuję ukryć niesmaku.

— Naprawdę sądziłeś, że z tobą odejdę? — pytam. — Że pozwolę ci zbliżyć się do moich córek?

Ojciec nie odpowiada.

— Kluczyk do kajdanek. Rzuć tu.

Sięga do kurtki i wrzuca kluczyk do tej samej sadzawki, w której wcześniej wylądował mój nóż. To bezsensowna próba buntu. Ostatecznie mogę strzelać nawet w kajdankach.

— Wiedliśmy dobre życie, *Bangii-Agawaateyaa* — mówi. — Dzień, w którym poszliśmy obejrzeć wodospad. Noc, kiedy zobaczyliśmy rosomaka. Pamiętaj, *Bangii-Agawaateyaa*.

Nie chcę, aby wypowiadał to imię. Wiem, że robi to tylko po to, by przejąć kontrolę nad sytuacją, jak zawsze, chociaż musi zdawać sobie sprawę z przegranej. Tyle tylko, że przywołał wspomnienia i teraz nie mogę przestać o nich rozmyślać. To było jakiś czas po tym, jak zastrzeliłam pierwszego jelenia, ale zanim pojawił się Rambo, więc miałam wtedy siedem lub osiem lat. Serce waliło mi jak oszalałe, gdy obudziłam się z głębokiego snu.



Usłyszałam na dworze hałas podobny do płaczu dziecka — tak przynajmniej wyobrażałam sobie jego płacz — ale głośniejszy i bardziej przypominający wrzask. Nigdy wcześniej się z tym nie spotkałam i nie miałam pojęcia co to. Zwierzęta potrafią wydawać z siebie okropne dźwięki, zwłaszcza w trakcie godów, ale jeśli to było zwierzę, nie potrafiłam go zidentyfikować.

W drzwiach pojawił się ojciec. Podeszedł do mojego łóżka, narzucił mi koc na ramiona i zaprowadził mnie do okna. Na podwórzu, na tle księżycowego blasku, ujrzałam cień.

— Co to? — wyszeptałam.

— *Gwiingwa'aage*.

Rosomak.

Szczelniej otuliłam się kocem. Ojciec często powtarzał, że rosomaki są niesłychanie dzikie i zjedzą wszystko: wiewiórki, bobry, ursony, a także chore lub ranne jelenie czy łosie. Może nawet małą dziewczynkę.

*Gwiingwa'aage* przybliżył się ostrożnie. Miał długą, zmierzwioną, czarną sierść. Cofnęłam się o krok. *Gwiingwa'aage* uniósł łeb, podniósł wzrok na moje okno i wrzasnął.

Z krzykiem pobiegłam do łóżka. Ojciec podniósł koc, przykrył mnie, po czym położył się na nim obok mnie i trzymał mnie w ramionach, opowiadając zabawną historię o rosomaku i jego starszym bracie niedźwiedziu. Potem krzyki rosomaka już mnie tak nie przerażały.

Teraz wiem, że w Michigan niezwykle rzadko widuje się rosomaki. Zdaniem niektórych nigdy nie zamieszkiwały w tym stanie, choć bywa określany mianem rosomakowego. We wspomnieniach nie zawsze chodzi o fakty, lecz o uczucia. Ojciec nazwał mój strach i przestałam się bać.

Opuszczam wzrok na ojca. Rozumiem, że robił okropne rzeczy. Mógłby odsiedzieć sto wyroków dożywocia, a i tak sprawiedliwości nie stałoby się zadość. Tamtej nocy był jednak tylko tatą, moim tatą.

— Okej — mówi. — Wygrałaś. Już po wszystkim. Odejdę. Obiecuję, że nie zbliżę się ani do ciebie, ani do twojej rodziny.

Unosi ręce spodami dłoni do góry i wstaje. Nadal celuję z glocka w jego pierś. Mogłabym go wypuścić. Bóg mi świadkiem, że nie chcę go skrzywdzić. Kocham go mimo całego zła, które nam wyrządził. Tego ranka, gdy wyruszyłam na poszukiwania, myślałam, że chcę wsadzić go z powrotem do więzienia, i chcę. Uświadamiam sobie jednak, że mój związek z ojcem jest głębszy, niż to sobie kiedykolwiek wyobrażałam. Może prawdziwym powodem, dla którego postanowiłam wytropić ojca, było to, że chciałam go zobaczyć po raz ostatni, zanim zniknie. Teraz jednak osiągnęłam swój cel i chyba to wystarczy. Obiecuję, że odejdzie. Mówi, że już po wszystkim. Może i tak.

Ale przecież jego obietnice nic nie znaczą. Myślę o tym, że *wendigo* nigdy nie jest usatysfakcjonowany mordem i nieustannie poszukuje nowych ofiar. Rośnie za każdym razem, gdy się pożywia, więc nie potrafi się nasycić, a jeśli ludzie go nie zabiją, zniszczy całą wioskę.

Zdejmuję palec ze spustu, ojciec się śmieje.

— Nie strzelisz do mnie, *Bangii-Agawaateyaa* — mówi i z uśmiechem robi krok w moim kierunku.

*Bangii-Agawaateyaa*. Mały Cień. Przypomina mi, jak chodziłam za nim krok w krok. Jak niczym cień należałam do niego. Bez niego nie istnieję.

Odwraca się i odchodzi. Sięga za plecy, wyciąga drugiego glocka zza paska i wsadza go z przodu dzinsów. Idzie coraz pewniejszym krokiem, tak jakby naprawdę wierzył, że go puszcze.

Cicho gwizdzą dwa dźwięki. Rambo zamiera z uniesioną głową. Jest gotowy wykonać każde moje polecenie.

Wykonuję szybki ruch dłonią.

Rambo rzuca się w pościg za ojcem, który się odwraca, chwytając glocka

i strzela, ale nie trafia. Rambo skacze i zatapia zęby w nadgarstku ojca. Glock upada na ziemię.

Ojciec wymierza pięścią cios w bok Ramba, który zwalnia uścisk. Wtedy ojciec uderza go raz jeszcze i naciera na mnie, ale nie ruszam się z miejsca. W ostatniej sekundzie unoszę ręce nad głowę, a on wpada na mnie z rozpędu. Skute kajdankami dłonie przekładam za głowę ojca i szybko opuszczam, unieruchamiając mu ręce wzdłuż ciała. Oboje padamy na ziemię. Obracam glocka lufą do siebie i wbijam ją ojcu w plecy, starając się celować tak, żeby kula, którą wystrzelę, uśmierciła jego, a nie mnie.

Nagle jego ciało wiotczeje, zupełnie jakby wiedział, że już po wszystkim, i że mogę to zakończyć tylko w jeden sposób.

— *Manajiwin* — szepcze mi do ucha.

Szacunek. Wypowiedział to słowo po raz drugi w moim życiu. Nagle ogarnia mnie spokój. Już nie jestem cieniem ojca. Jestem mu równa. Jestem wolna.

— Musisz to zrobić — mówi Cousteau.

— W porządku — dodaje Calypso. — Rozumiemy.

Kiwam głową. Zabicie ojca to słuszna decyzja, nie mogę podjąć innej. Muszę go zabić przez wzgląd na moją rodzinę, moją matkę. Dlatego, że jestem córką Króla Moczarów.

— Ja też cię kocham — szepczę i pociągam za spust.

Kula, która zabiła ojca, przeszła także przez mój ranny bark. Biorąc pod uwagę inne scenariusze, nie było to takie złe. Ostatnie miesiące wyglądałyby o wiele gorzej, gdybym miała niesprawne obie ręce. Tak czy owak, zdrowienie okazało się niespecjalnie przyjemnym procesem. Operacja, rehabilitacja, następna operacja, znowu rehabilitacja. Najwyraźniej bark to kiepskie miejsce na ranę postrzałową. Lekarze twierdzą, że nie ma powodu, dla którego nie miałabym odzyskać pełnej sprawności w lewej ręce, a tymczasem Stephen i dziewczynki przywykli do połowicznych uścisków.

Siedzimy razem wokół grobu mojej matki. Jest piękny wiosenny dzień. Słońce świeci, chmury mkną po niebie, ptaki śpiewają. Na górnej krawędzi skromnej płyty nagrobnej stoi donica z kaczeńcami i różnobarwnymi irysami. Wnuczki, nazwane na cześć dwóch ulubionych kwiatów mojej matki, siedzą u jej stóp.

Kwiaty to mój pomysł. Przyjazd tutaj — Stephena. Powiedział, że pora, aby dziewczynki dowiedziały się czegoś więcej o swojej babci, i że historie, które będę im opowiadała o swojej matce, zrobią na nich większe wrażenie nad jej grobem. Nie jestem tego taka pewna, ale terapeuta małżeński, do którego chodzimy, twierdzi, że obie strony muszą być skłonne do kompromisu, jeśli związek ma funkcjonować, więc przyjechaliśmy.

Stephen wyciąga rękę nad grobem i ściska moją dłoń.

— Gotowa?

Kiwam głową. Nie bardzo wiem, od czego zacząć. Myślę o tym, jak czuła się matka, gdy dorastałam. Zastanawiam się nad tym wszystkim, co dla mnie

robiła i czego wówczas nie doceniałam. Przypominam sobie, jak próbowała sprawić, żeby moje piąte urodziny były wyjątkowe, i ogrzała mnie po tym, jak ojciec wrzucił mnie do studni. Jak trudno musiało jej być, gdy wychowywała dziecko będące kopią mężczyzny, który ją porwał. Dziecko, którego bała się szczerze i instynktownie.

Mogłabym opowiedzieć córkom o dniu, w którym zastrzeliłam pierwszego jelenia, albo o tym, jak ojciec zabrał mnie nad wodospad, albo jak zobaczyłam wilka, ale te historie bardziej dotyczą ojca niż matki. Gdy patrzę na niewinne, pełne wyczekiwania buzie dziewczynek, uświadamiam sobie, że każda opowieść z mojego dzieciństwa ma swoją ciemną stronę.

Stephen zachęcająco kiwa głową.

— Kiedy miałam pięć lat, mama upiekła mi ciasto — zaczynam. — Gdzieś wśród zapasów puszek oraz toreb ryżu i mąki w spiżarni znalazła pudełko mieszanki na tort. Czekoladowy z tęczową posypką.

— Mój ulubiony! — krzyczy Iris.

— Ubiony — powtarza Mari.

Mówię im o kaczym jajku, o niedźwiedzim sadle, o lalce, którą matka zrobiła mi w prezencie, i na tym kończę. Nie mówię, jak potraktowałam lalkę i jak moja bezduszna reakcja na niezwykły prezent musiała zranić matkę.

— Opowiedz resztę historii — odzywa się Cousteau. — Wspomnij o nożu i o króliku.

Razem z siostrą siedzi cicho za plecami moich córek. Od śmierci ojca Cousteau i Calypso pokazują się coraz częściej.

Z uśmiechem kręcę głową, wspominając resztę tamtego dnia i to, jak się zakończył, gdy ojciec po raz pierwszy wyraził dla mnie *manajiwini*. Szacunek.

Iris szczerzy się radośnie. Myśli, że uśmiecham się do niej.

— Jeszcze! — wykrzykuje razem z Mari.

Kręcę głową i wstaję. Pewnego dnia opowiem córkom wszystko o swoim

dzieciństwie, ale jeszcze nie dziś.

Składamy koce i ruszamy do samochodu. Mari i Iris biegną przodem, Stephen rusza za nimi. Od ucieczki ojca rzadko spuszcza dziewczynki z oczu.

Ja idę powoli, Cousteau i Calypso podążają obok mnie. Calypso bierze mnie za rękę.

— Helga wszystko zrozumiała — szepcze, a jej oddech muska moje ucho niczym puch pałki wodnej. — Uniosła się nad ziemię w strumieniu tonów i myśli. Coś świeciło i dźwięczało nie tylko wokół niej, ale także w niej. Nie da się tego wypowiedzieć słowami. Zaświeciło słońce i jak w zamierzczłym czasie przy jego promieniach opadła z niej żabia powłoka i pojawiła się cudowna postać pięknej dziewczyny. Ciało żaby zamieniło się w proch: tam, gdzie stała Helga, leżał zeschnięty kwiat lotosu.

Końcowe słowa baśni mojej matki. Myślę o tym, że baśń podpowiedziała mi, co robić, że ocaliła mnie i matkę. Ojciec może być powodem, dla którego istnieję, ale dzięki matce nadal żyję.

Myślę o ojcu. Kiedy lekarz sądowy spytał mnie, co chcę zrobić ze zwłokami, najpierw zadałam sobie pytanie, czego chciałby ojciec. Potem pomyślałam o tym, że całe życie kierował się wyłącznie własnymi życzeniami i pragnieniami, więc może zrobię coś wbrew niemu. W końcu wybrałam najbardziej praktyczne i najtańsze rozwiązanie. Nie powiem nic więcej. Niedługo po śmierci ojca ktoś założył stronę poświęconą jego wyczynom. Mogę sobie wyobrazić, co robiliby „moczarzyści”, gdyby wiedzieli, gdzie pochowano ojca. Kilka razy próbowałam doprowadzić do zamknięcia strony, ale FBI twierdzi, że dopóki fani ojca nie złamią prawa, nie da się nic zrobić.

Stephen dobiega do dziewczynek i czeka, aż do nich dołączę.

— Dziękuję ci za to — mówi i bierze mnie za rękę. — Wiem, że to dla ciebie trudne.

— Wszystko w porządku — kłamię.

Myślę o tym, co jeszcze powiedział terapeuta małżeński. Jego zdaniem dobre małżeństwo powinno być zbudowane na szczerości i zaufaniu. Pracuję nad tym.

Wspinamy się na małe wzgórze. U jego stóp, dokładnie przed naszym cherokee, parkuje auto. Tuż za naszym samochodem stoi furgonetka wiadomości, obok czekają reporterka i kamerzysta.

Stephen patrzy na mnie i wzdycha. Wzruszam ramionami. Odkąd rozeszły się pogłoski, że córka Króla Moczarów zabiła ojca, dziennikarze nie dają nam spokoju. Nie udzieliliśmy nawet jednego wywiadu i nauczyliśmy dziewczynki nie odzywać się ani słowem do nikogo z notatnikiem lub mikrofonem, ale to nie powstrzymało ludzi od robienia nam zdjęć.

Kręcę głową, gdy schodzimy ze wzgórza, a reporterka wyciąga długopis z kieszeni i robi krok w moim kierunku. Nie wie tego, ale wszystko, co pamiętam z dzieciństwa, spisałam w dzienniku, który ukrywam pod naszym małżeńskim łóżkiem. Nazwałam tę opowieść *Chata* i dedykowałam dziennik córkom, na pierwszej stronie, jak prawdziwą książkę. Pewnego dnia pozwolę im przeczytać moje wspomnienia. Powinny znać swoją historię, muszą wiedzieć, skąd pochodzą i kim są. Przyjdzie czas, kiedy dam ten pamiętnik także Stephenowi.

Mogłabym sprzedać dziennik i dostać za niego mnóstwo pieniędzy. „People”, „National Enquirer” i „New York Times” wielokrotnie wyrażały chęć kupienia tej historii. Wszyscy twierdzą, że skoro moi rodzice nie żyją i tylko ja wiem, co się naprawdę wydarzyło, powinnam się podzielić tą wiedzą z innymi. Jestem to winna matce i ojcu.

Nigdy jednak nie sprzedam dziennika, bo to nie jest ich historia, tylko nasza.

## PODZIĘKOWANIA

Pisarz ma pewien pomysł. Pomysł ten rozrasta się w historię, a historia w końcu staje się książką, a to dzięki pomocy wielu twórczych, uzdolnionych, niebywale wnikliwych i zdumiewająco pracowitych ludzi, którym jestem wdzięczna. Na podziękowania zasłużyli:

Ivan Held i Sally Kim, wydawca i szef redakcji w wydawnictwie Putnam. To za Waszą sprawą powstała ta książka. Dziękuję ogromnie, z całego serca.

Mark Tavani, mój redaktor. Praca z Tobą była prawdziwą przyjemnością, a Twoje wnikliwe oko i niebywale trafne spostrzeżenia okazały się nieocenione.

Zespół z Putnam: Alexis Welby, Ashley McClay, Helen Richard, ekipa produkcyjna, dział artystyczny i wszyscy odpowiedzialni za sprzedaż oraz promocję. Dziękuję Wam za stworzenie tak pięknej książki.

Jeff Kleinman, mój niesamowity agent literacki. Nie potrafię wyrazić słowami, ile dla mnie i dla mojej kariery znaczyło siedemnaście minionych lat. To Ty ukształtowałaś mnie jako pisarkę.

Molly Jaffa, moja utalentowana i niezmordowana agentka, odpowiedzialna za sprzedaż praw wydawnictwom zagranicznym.

Kelly Mustian, Sandra Kring i Todd Allen, moi pierwsi czytelnicy. Wychwalaliście mnie pod niebiosa, kiedy tekst miał sens, i zwieszaliście nosy na kwintę, gdy nie miał. Nie poradziłabym sobie bez Was.

David Morrell. Twoje przenikliwe oko i wielkie serce wiele zmieniły.



Christopher i Shar Grahamowie, Katie i John Mastersowie, Lynette Ecklund, Steve Lehto, Kelly i Robert Meisterowie, Linda i Gary Ciochetto, Kathleen Bostick i Leith Gallaher (nie ma Cię wśród nas, ale pamiętamy), Dan Johnson, Rebecca Cantrell, Elizabeth Letts, Jon Clinch, Sachin Waikar, Tina Wald, Tim i Adele Woskobojnikowie, a także Christy, Darcy Chan, Keith Cronin, Jessica Keener, Renee Rosen, Julie Kramer, Carla Buckley, Mark Bastable, Tasha Alexander, Lauren Baratz-Logsted, Rachel Elizabeth Cole, Lynn Sinclair, Danielle Younge-Ullman, Dorothy McIntosh, Helen Dowdell, Melanie Benjamin, Sara Gruen, Harry Hunsicker, J.H. Bográn, Maggie Dana, Rebecca Drake, Mary Kennedy, Bryan Smith, Joe Moore, Susan Henderson i całe mnóstwo innych cudownych przyjaciół, którzy mnie wspierają i mobilizują. Znajomość z Wami to zaszczyt.

Jestem wdzięczna swojej rodzinie za miłość i pomocną dłoń, a w szczególności z całego serca i gorąco dziękuję mojemu mężowi Rogerowi. Twoja niezachwiana wiara w to, że jestem w stanie stworzyć tę książkę, znaczy dla mnie więcej, niż zdołałabym wyrazić słowami.